

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

*Gracie Laureatów III edycji
konkursu historyczno-literackiego*

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

*Gracie Laureatów
III edycji konkursu historyczno-literackiego*

*Archiwum Państwowe w Szczecinie
Kuratorium Oświaty w Szczecinie*

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

*Gracie Laureatów
III edycji konkursu historyczno-literackiego*

Szczecin 2022

Redakcja: Iga Bańkowska, Janina Kosman

Korekta: Anna Cichy, Janina Kosman

Skład, łamanie, projekt okładki: Iga Bańkowska

Konsultacja: Małgorzata Duras, Daniel Wróbel

Konkurs zrealizowany według pomysłu Małgorzaty Duras

Na okładce wykorzystano fragment fotografii ilustrujący tekst
Laureatki I edycji konkursu Dominiki Puzio pt. „Smaki przeszłości, czyli o zeszycie
mojej praprababci”



Copyright by Archiwum Państwowe w Szczecinie © 2022

Copyright by Kuratorium Oświaty w Szczecinie © 2022

ISBN 978-83-66028-19-7 (wersja papierowa, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

ISBN 978-83-66028-20-3 (wersja pdf, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wydanie I

Nakład: 500 szt.

Spis treści

Od Wydawców	7
Laureaci III edycji konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”	11
Prace Laureatów III edycji konkursu historyczno-literackiego	13
Kacper Samulak, <i>Moja pamiętka rodzinna – odznaka 15 Pułku Piechoty „Wilków”</i>	15
Piotr Niemcewicz, <i>Pognieciona kartka</i>	21
Hanna Rasztubowicz, <i>Poplamiona książka</i>	25
Maximilian Sima, <i>Obozowa epistolografia</i>	29
Nadia Majchrzak, <i>Bez wiedzy o przeszłości nie zrozumiemy przyszłości</i>	33
Tomasz Rożek, <i>Organy dziadka Rudolfa</i>	39
Bartosz Popławski, <i>Mój skarb rodzinny</i>	45
Aleksandra Jendryczka, <i>Moja pamiętka rodzinna</i>	59
Kamila Zdebska	65
Gabriela Jurkaszowicz, <i>Skrzypce weź</i>	73
Hanna Czerkasiewicz, <i>Dzieli nas tylko czas... Opowieść o miłości silniejszej niż śmierć</i>	77
Hanna Ciasnocha, <i>Istniejemy, póki ktoś o nas pamięta</i>	87
Martyna Liszewska, <i>Mój pradziadek – policjant z fotografii</i>	109
Oliwia Białkowska	115
Wiktoria Stępczyńska, <i>Historia pamiętki rodzinnej</i>	121
Michał Pancielejko, <i>Dowód osobisty dziadka – niewyjaśniona zagadka</i>	133
Nehir Scarlett Duran, <i>Pamiętnik z Syberii</i>	137
Hanna Kozłowska, <i>Kryształowa wdzięczność</i>	147
Olaf Łukaszewicz, <i>Szmaragdowe w jej oczach iskiereki radości</i>	151
Prace uczniów Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Chojnie	155
Sandra Kuballek	157
Tomasz Halikowski	159
Patryk Stańczak	163
Mateusz Dopierała	167
Kamil Pitura	171
Gala rozdania nagród Laureatom III edycji konkursu historyczno- -literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”	173

Od Wydawców

Pamięć to pamiętnik, który stale nosimy ze sobą

Oscar Wilde

Szanowni nauczyciele i rodzice!

Drodzy uczniowie!

Za nami III edycja konkursu historyczno-literackiego pt. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”. Przekazujemy Wam kolejną antologię z pracami laureatów przedsięwzięcia, które zorganizowałam wspólnie z Dyrektorem Archiwum Państwowego w Szczecinie dr. hab. Krzysztofem Kowalczykiem.

Pamiętki rodzinne budzą serdeczne wspomnienia o naszych bliskich. Choć niektóre bywają bardzo stare i mogą mieć wartość archiwalną, to dla nas przede wszystkim liczy się ta sentymentalna. Dzięki przedmiotowi, który należał do bliskiej osoby, nadal możemy czuć jej obecność i wsparcie. Wiemy że nic nie zastąpi bezpośredniej obecności, lecz posiadanie pewnego symbolu pomaga nam „ocalić od zapomnienia”. Dobre wspomnienia wywołują dobre emocje. Wracając do nich myślami, jesteśmy szczęśliwi. To дума, która nas uskrzydla.

Pamiętki rodzinne łączą pokolenia. Dzieci i młodzież ze starych zdjęć, czy listów mogą dowiedzieć się, jak wyglądali ich krewni, jak żyli, czym się trudnili w życiu, jaka była ich historia i jak ona wpłynęła na losy innych ludzi.

Dokumenty, naczynia, biżuteria, pojedyncze meble, instrumenty muzyczne... Wydawałoby się, że to „tylko” zwykły przedmiot. Ale za każdą z tych rzeczy stoi historia człowieka. Niekiedy tragiczna, czasami radosna, ale zawsze warta uwagi i zapamiętania. Dlatego z wielkim wzruszeniem czytałam prace laureatów konkursu, ponieważ wiedziałam, że mam często do czynienia z historią ludzi, dzięki którym dzisiaj, ja i moi bliscy, żyjemy w niepodległej Polsce.

Przeczytałam 170 prac, które do nas wpłynęły z różnych części naszego regionu. I wiem, że zachodniopomorscy uczniowie nadal chcą poznawać losy swoich pradziadków, babć, czy rodziców. Nadal interesują się przedmiotami, które stały się symbolem ich tradycji, a także upamiętnieniem

czasów, w których żyli ich przodkowie. To napawa optymizmem i serdecznie dziękuję, że kolejny raz podzieliliście się swoimi historiami rodzinnymi.

Sukces trzeciej edycji konkursu skłonił mnie i dyrektora Archiwum do kontynuacji przedsięwzięcia. W roku szkolnym 2022/2023 ogłosimy kolejną, już czwartą, zapowiedź konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.

Słowa podziękowania chciałabym skierować również do współorganizatora – Pana Krzysztofa Kowalczyka. Kolejny raz utwierdziłam się w przekonaniu, że nasze podpisane, w październiku 2019 r., porozumienie o współpracy miało sens, ponieważ wszystkie nasze wspólne przedsięwzięcia popularyzują wśród uczniów wiedzę kulturową, historyczną, archiwalną i regionalną.

Magdalena Zarębska-Kulesza
Zachodniopomorski Kurator Oświaty

Życie jest podróżą, która prowadzi do domu.

Herman Melville

Drodzy Rodzice, Nauczyciele i Uczniowie!

Oddajemy w wasze ręce publikację prac osób nagrodzonych w trzeciej edycji konkursu, dotyczącego opisanego przez uczniów rodzinnej pamiętki. Jest to inicjatywa realizowana wspólnie przez Kuratorium Oświaty i Archiwum Państwowe w Szczecinie. Dzięki zaangażowaniu Zachodniopomorskiej Kurator Oświaty Magdaleny Zarębskiej-Kuleszy, pracownikom kuratorium i archiwum, konkurs cieszy się nieustającym zainteresowaniem uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych z województwa zachodniopomorskiego. W tej edycji napłynęło około 170 prac. Zwycięzcą konkursu został Kacper Samulak z Publicznej Szkoły Podstawowej w Bezrzeczu, przyznano 19 wyróżnień.

Opisanie cennego przedmiotu, będącego w posiadaniu rodziny, może być istotną przesłanką do poznania jej przeszłości. Źródłem wiedzy o historii rodziny mogą być materiały archiwalne, biżuteria, ruchome działa sztuki, przedmioty codziennego użytku, sprzęty gospodarstwa domowego. Są one kluczem do odkrywania historii rodu, wsi, miasta, regionu i kraju. Niezwykle inspirujące mogą być rozmowy z pradziadkami, dziadkami, osnute wokół historii wybranych przedmiotów. Dzięki tym opowieściom poszerzamy swoją wiedzę o przeszłości, kształtujemy i umacniamy więzi rodzinne. W XXI wieku, w rzeczywistości sieciowej jest to szczególnie wartościowe i unikatowe. Poznając dzieje własnej rodziny, łatwiej jest nam zrozumieć historię miejsca, w którym żyjemy. Znajomość naszych korzeni, „małej ojczyzny” pomaga i jest spoiwem tożsamości narodowej, obywatelskiej, państwowej. Ma to istotne znaczenie na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski, w tym na Pomorzu Zachodnim. Tu bowiem od 1945 r. pojawili się Polacy ze Wschodu i Zachodu. Wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, przesiedleńcy z Polski centralnej, Wielkopolski, Małopolski, dawnego województwa pomorskiego, reemigranci z Zachodu, byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, obozów pracy przymusowej, sowieckich łagrów (GUŁAG-u), żołnierze Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, 1. i 2. Armii Wojska Polskiego (osadnicy wojskowi). Pomorze Zachodnie stało się również miejscem

zamieszkania dla m.in. Żydów, Ukraińców czy Greków. Wszyscy oni tworzyli nową regionalną tożsamość.

Dziękuję wszystkim uczestnikom konkursu za udział w tym przedsięwzięciu. Zachęcam do zgłaszania prac w kolejnych edycjach. Tylko poznając i pamiętając o przeszłości, kształtujemy naszą teraźniejszość i przyszłość. Dziękuję Zachodniopomorskiej Kurator Oświaty Magdalenie Zarębskiej-Kuleszy za naszą kolejną, wspólną inicjatywę edukacyjną.

dr hab. Krzysztof Kowalczyk
Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie

*Laureaci III edycji konkursu historyczno-literackiego
Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię*

I miejsce:

Kacper Samulak, Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

Laureaci:

Piotr Niemcewicz, Szkoła Podstawowa nr 48 w Szczecinie,
Hanna Rasztubowicz, Szkoła Podstawowa nr 7 w Kołobrzegu,
Maksymilian Sima, Szkoła Podstawowa nr 4 w Kołobrzegu,
Nadia Majchrzak, Szkoła Podstawowa nr 11 w Szczecinie,
Tomasz Rożek, Szkoła Podstawowa w Kobylance,
Bartosz Popławski, Zespół Szkół nr 1 w Choszczynie,
Aleksandra Jendryczka, Szkoła Podstawowa nr 53 w Szczecinie,
Kamila Zdebska, Społeczna Szkoła Podstawowa nr 1 w Szczecinie,
Gabriela Jurkaszewicz, I Liceum Ogólnokształcące w Szczecinie,
Hanna Czerkasiewicz, Szkoła Podstawowa w Gardnie,
Hanna Ciasnocha, Szkoła Podstawowa w Gardnie,
Martyna Liszewska, Zespół Szkół w Kaliszu Pomorskim,
Oliwia Białkowska, Szkoła Podstawowa w Widuchowej,
Wiktoria Stępczyńska, Szkoła Podstawowa nr 4 w Stargardzie,
Michał Pancielejko, Szkoła Podstawowa nr 5 w Koszalinie,
Nehir Scarlett Duran, Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie,
Janina Poradzevska, Szkoła Podstawowa nr 45 w Szczecinie,
Hanna Kozłowska, Szkoła Podstawowa nr 2 w Sianowie,
Olaf Łukaszewicz, Szkoła Podstawowa w Daszewie

Prace uczniów Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Chojnie

Sandra Kuballek

Tomasza Halikowski

Patryk Stańczak

Mateusza Dopierała

Kamil Pitura

Prace Laureatów

III edycji konkursu historyczno-literackiego

*Znajdź swoją pamiątkę rodzinną
i opisz jej historię*

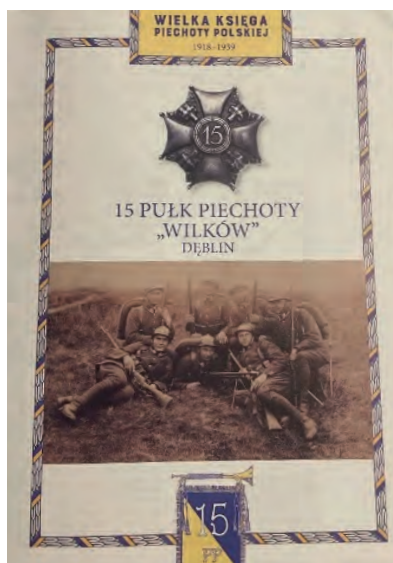
Kacper Samulak

Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

Moja pamiątka rodzinna - odznaka 15 Pułku Piechoty „Wilków”

Kiedy czytałem ogłoszenie o konkursie, od razu wiedziałem, że powinienem wziąć w nim udział. Temat wydawał się naprawdę interesujący. Nie miałem jednak pojęcia, czy mam jakąś pamiątkę w domu. Nigdy nie interesowałem się historią mojej rodziny. Konkurs mnie bardzo zainspirował, zacząłem szukać. Zdecydowałem spytać się babci, czy może ona ma jakąś pamiątkę rodzinną. Babcia nie miała żadnej, ale powiedziała mi, żebym zapytał wujka Tomka. Okazało się, że wujek ma i to nie jedną. I to właśnie od niego dowiedziałem się też o moim pradziadku, Władysławie Fiecie, do którego należało wiele z naszych rodzinnych pamiątek. Pradziadek zmarł 15 sierpnia 1995 r., więc nie miałem okazji go poznać, a szkoda, bo z opowieści wujka wynika, że był bardzo interesującym człowiekiem. Dziś opowiem o jednej z jego pamiątek.

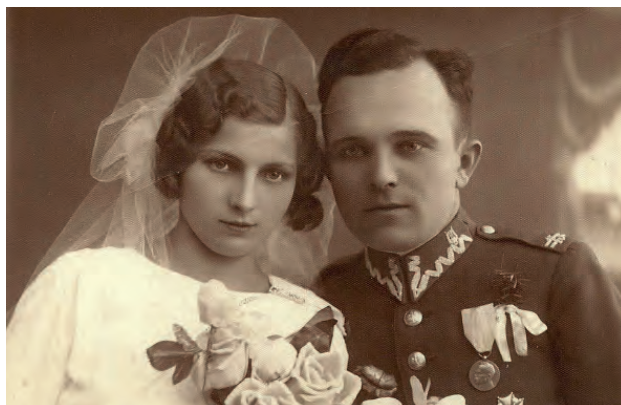
Historia pamiątki jest naprawdę interesująca. Wujek Tomek, opowiadając mi ją, wspominał również trochę o życiu prywatnym pradziadka m.in. o miłości jego życia. Słuchając jego opowieści, nie mogłem wyjść z podziwu, jakie tajemnice mogą się kryć w naszej rodzinie i jak to możliwe, że mało kto w ogóle był zainteresowany tą historią. Ani moja babcia, ani moja mama nie знаły jej dobrze. A jest to historia o odznace pułkowej należącej do mojego pradziadka, który służył w 15 Pułku Piechoty „Wilków”.



Pradziadek urodził się 7 sierpnia 1906 r. w Dęblinie. Służbę wojskową rozpoczął w 1927 r. jako żołnierz służby czynnej w 15 Pułku Piechoty „Wilków”. Stacjonował on w twierdzy „Iwanogród” w Dęblinie, rodzinnym mieście pradziadka. Pradziadek został przydzielony etatowo do orkiestry

pulkowej, która wchodziła w skład kompanii administracyjnej, gdzie grał na sakshornie tenorowym i skrzypcach. Orkiestra występowała służbowo na paradach, mszach polowych, a także na uroczystościach z oficjalnym udziałem wojska m.in. na pogrzebach, capstrzykach, koncertach na placach publicznych. Występowano również dla ludności cywilnej na rautach, zabawach tanecznych czy balach karnawałowych. Orkiestrant wyróżniał się spośród innych żołnierzy dodatkowymi ozdobnikami na swoim mundurze. Na patkach kolnierzowych pomiędzy wężykami miał wyszytą lirę oraz wypustki na rękawach potocznie nazywane „jaskółczym gniazdem”. Od 1929 r. po ukończeniu pulkowej szkoły podoficerskiej i otrzymaniu stopnia kaprała, trafił do służby zawodowej.

Pradziadek swoją pierwszą miłość przeżył na początku 1936 r., kiedy to poznał Feliksę, moją prababcie. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Już po miesiącu, pradziadek poprosił ją o rękę. Ślub wzięli w czerwcu tego samego roku. Na ślub pradziadek założył swój mundur galowy z odznaką na lewej piersi. Była to naprawdę wielka miłość. Razem przeżyli ponad 50 lat tzn. do momentu śmierci mojej prababci. Każdą wolną chwilę spędzali ze sobą. Lubili bardzo spędzać czas na łonie przyrody. Wierzyli, że przyroda dodaje siły i uspokaja umysł.



Zanim przejdę do odznaki, opowiem krótko o tym, czym był 15 Pułk Piechoty „Wilków”. Pułk sformowany został w 1919 r. jako pułk piechoty Ziemi Bocheńskiej. Walczył w wojnie polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. Szczególnie wslawił się w boju pod Stepankowicami. 3 lipca 1920 r. dowódca pułku swoim rozkazem nadał pułkowi przydomek „Wilków”. W 1927 r. Józef Piłsudski ustalił i zatwierdził dzień 5 września, jako datę święta pulkowego. Pułk obchodził swoje święto w rocznicę boju

stoczonego w 1920 r. właśnie pod Stepankowicami. Pradziadek bardzo lubił swoją pracę. Wykonywał ją rzetelnie i dokładnie. W 1928 r. otrzymał „Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości”, natomiast w 1932 r. uhonorowany został odznaką pamiątkową 15 Pułku Piechoty „Wilków”, o której właśnie jest ta opowieść.



Odnazka pułkowa miała jeden wzór, przy czym dla oficerów wykonana była ze srebra z wybitym numerem na odwrocie. Nie była ciężka, dlatego łatwo można było przyczepiać ją do munduru galowego. Do każdej odznaki nadawany był dyplom uprawniający daną osobę do jej noszenia. Prawo do noszenia odznaki przyznawał dowódca pułku za „wzorową pracę żołnierską”. Odnazka miała być symbolem przynależności do „Rodziny Wilków” oraz wzmocnieniem więzów koleżeństwa w gronie oficerów i żołnierzy pułku. Wręczenia odznak miały zawsze bardzo uroczysty charakter. Najczęściej odbywało to się przy okazji święta pułkowego lub innych uroczystości państwowych. Z tego co mi wiadomo, oryginalnych odznak zachowało się do dzisiaj tylko kilka sztuk. Nasza odznazka jest praktycznie w nienaruszonym stanie, co świadczy o tym, że pradziadek bardzo szanował ten przedmiot i darzył go wielkim sentymentem.

W marcu 1939 r. awansował na plutonowego, co go bardzo podbudowało. Czuł, że idzie w górę. Niestety po beztróskim okresie międzywojennym nastąpiły trudne chwile w życiu pradziadka. Wybuchła II wojna światowa. Wszystko stanęło, nikt nie wiedział, co będzie dalej. Pradziadek, jeszcze przed wybuchem wojny, 27 sierpnia 1939 r. w składzie 28 Dywizji Piechoty w stopniu plutonowego wyruszył z Dębli na front do Wielunia, gdzie kilka dni później III Rzesza po raz pierwszy zaatakowała nasz niepodległy kraj. 1 września 1939 r. samolot niemiecki w godzinach porannych ostrzelał żołnierzy 15 pp, którzy akurat w tym momencie przebywali w Wieluniu

i wspomagającą ludność cywilną przy pracach inżynierskich. Został on jednak zestrzelony przez żołnierzy 15 pp. Później pradziadek stanowił tylną straż wycofującej się 28 Dywizji Piechoty na nową linię obronną nad rzekami: Wartą i Widawką. Tam udało się przelamać główną pozycję obronną Armii „Łódź”. „Wilki” były również świadkami ataku III Rzeszy na Pabianice. Panika, jaka wdarła się w szeregi w pierwszym momencie zaskoczenia ogniowego, była trudna do opanowania. Ale gdy oficerowie, podchorążowie i podoficerowie na czele grup żołnierzy z pomieszanych pododdziałów dali rozkaz do parcia naprzód – wojsko się opanowało. Niektóre grupy zdołały przedrzeć się przez zaporę ogniową. Wielu ominęło zasadzkę, wielu innych przeczekalo w polu i po zejściu nieprzyjaciela z zasadzki skierowało się na Łódź. Straty 15pp były ogromne – poległo około 300 żołnierzy. Pułk stracił swoją artylerię i prawie cały tabor. Wielu było rannych. Pułk zakończył swoje walki w obronie Modlina.

Wtedy właśnie mego pradziadka wzięto do niewoli. Był to ranek 22 września 1939 r. Pradziadek zdążył wrócić już do domu, kiedy przyszli po niego niemieccy żołnierze. Zabrali go do obozu jenieckiego w Lublinie. Nietrwało to jednak długo. Pradziadek po dwóch dniach, niezauważony uciekł z obozu. Później nie chciał już wracać do swojej macierzystej jednostki. Wybrał dom i rodzinę. Potrzebował spokoju. 29 września dowiedział się, że 15pp złożył broń. „Wilki” jednak pozostały słynne do dziś.

Po wrześniu 1939 r. pradziadek rozpoczął pracę na kolei w Lublinie, gdzie pracował do 1944 r. Po pracy spędzał czas z moją prababcią. To właśnie w okresie wojny spędzali ze sobą najwięcej czasu. Odznaka, z racji tego, że pradziadek nie walczył już na froncie, leżała w szafie. Przypinał ją tylko na ważne uroczystości. W tym czasie działał również w konspiracji Armii Krajowej. Miał pseudonim „Fagot”, lecz z tego co mi wiadomo, pradziadek nie lubił się nim chwalić.

Po II wojnie światowej urodziła się moja babcia, a niedługo potem jej brat. I to właśnie w jego ręce trafiła odznaka pradziadka. Syn pradziadka służył w lotnictwie. Pamiątkę przechowywał przez prawie 20 lat. Później przekazał ją swojemu synowi, mojemu wujkowi, który natomiast służył w straży granicznej. Marzeniem pradziadka było, żeby jego wnukowie byli wojskowymi, co się spełniło. Dlatego też odznaka wędruje z rąk do rąk, ale tylko po męskiej stronie naszej rodziny. Wujek mieszka w Poznaniu i do dzisiaj przechowuje tę pamiątkę i inne pamiątki w domu na honorowym miejscu. Oprócz odznaki, jedną z nich jest lira, którą pradziadek dostał na pamiątkę gry w orkiestrze, gdzie grał jeszcze długo po wojnie.



Piotr Niemcewicz

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Szczecinie

Pognieciona kartka

Pierwszy raz usłyszałem takie imię – Adolfina. Urodziła się na początku XX wieku. Czytać uczył ją mąż, który był nauczycielem. Nie chciał jej sprawiać przykrości, dlatego starannie przemyślał, w jaki sposób to zrobić. Nie było łatwo, bo zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa i nie miała czasu i siły na nic. Pisał do niej na małych kartkach liściki. Krótkie, po dwa słowa. Mówili na nie sekreciki. W ten sposób nauczył ją czytać. Pisać już nie zdążył, bo wybuchła II wojna światowa i został aresztowany przez sowietów.

Po Adolfinę i jej dwójkę dzieci – 8-letnią Elwirę i 10-letnią Reginę – przyszli niedługo później. Był rok 1940, kiedy usłyszała walenie kolbą w drzwi. Po chwili od żołnierzy dowiedziała się, że musi się pakować. Razem z dziećmi została wsadzona do wagonu i rozpoczęła podróż, która trwała wiele dni i nocy. Nie wiedziała, jak długo jechali i dokąd. Pewnego dnia pociąg stanął w szczerym polu, drzwi się otworzyły i kazano wszystkim wysiadać, bo dotarli do miejsca, w którym mieli mieszkać. Był to północny Kazachstan, oblas Pietropawłowskaja, Mamluckij rejon.

Na początku robili zupy z lebiody i pokrzywy, ale później, jak przyjechało więcej osób, nawet tego nie było. Do końca życia zapamiętały bezkresną dal i kilkudniowe burzany przelatujące po stepie. Po zarejestrowaniu przez miejscowe władze, pozwolono im poszukać sobie miejsca, w którym mogłyby zamieszkać. Dzięki zabranym z domu rzeczom, których część została sprzedana, zamieszkały w ziemiance, we wsi Stanowoje. Razem z nimi były jeszcze trzy rodziny, każda zajmowała jeden ką.

Adolfina była silna fizycznie, dlatego podejmowała się ciężkich prac polowych, trwających cały tydzień. Mogła za nie otrzymać dodatkowe dwie kromki chleba. Suszyła je i przemycała dla córek, które w tym czasie były pod opieką innej rodziny, przebywającej w ziemiance. Kiedy Adolfina odmówiła, jak wielu innych zesłanych Polaków, przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, trafiła na dwa miesiące do więzienia. Czowała, że jeśli zrzecze się obywatelstwa polskiego, zostaną w tym miejscu na zawsze, a nie traciła

nadziei, że kiedyś może uda się wrócić do domu. Jedną wojnę już przeżyła jako nastolatka.

Żeby przeżyć, musiały nauczyć się naśladować mieszkańców tych terenów. Ziemianka była opalana wysuszonym krowim łajnem zmieszonym z trawą. Pozwalało to przeżyć zimę, pomimo braku drewna na opał. Czasem opady śniegu były tak obfite, że przez tydzień nie można było otworzyć zasypanych śniegiem drzwi. Dokuczaly pluskwy, wszy i wszechobecny głód.

Kiedy szli w pole pracować, nadzorca przeszukiwali kieszenie pracujących, pilnując, żeby żadne jedzenie nie było wynoszone. Kary dla przyłapanych ludzi były surowe, ale żeby przeżyć, musiała ryzykować. Udawało jej się przenosić po parę kłosów zboża ukrytych w przeciętym kołnierzu. Czasem nocą wychodziły, szukać pozostawionych na polach kolchozu ziaren zbóż lub ziemniaków. Niekiedy otrzymywały od Kazachów obierki, które następnie gotowały. Chociaż na chwilę zmniejszały głód. Również woda była problemem. Niedaleko było jezioro. Z jednej strony piły krowy, a z drugiej przez zaciśnięte zęby ludzie. Robili tak, żeby nie pić robaków, które pływały w wodzie.

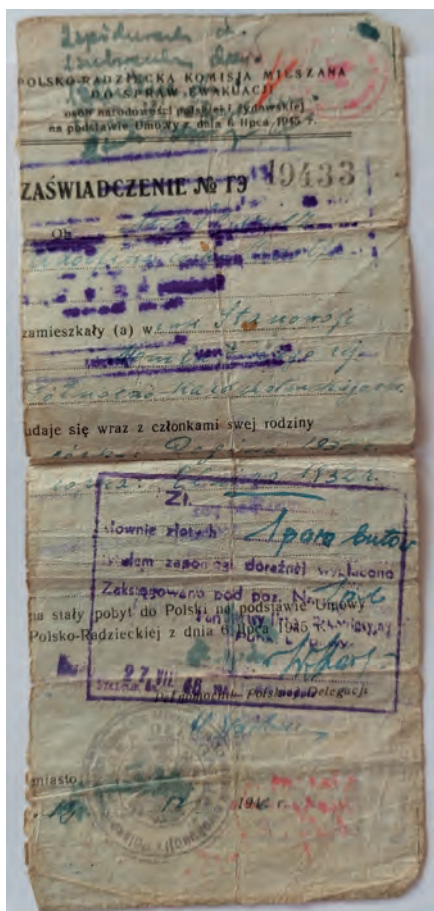
Pomimo głodu, które cierpiały, starały się odkładać porcje jedzenia. Adolfina wysyłała je do męża, który był w więzieniu. Robiła to tak długo, aż przestała otrzymywać informacje, że jeszcze żyje.

Regina i Elwira musiały chodzić do szkoły, takiej samej jak inne okoliczne dzieci. Na początku nie miały butów. Chodziły boso, aż zaczęły się przymrozki. Później stopy miały owijane szmatami, a Adolfina nosiła je do szkoły na plecach, bo mróz dochodził do -40 st. C. Szkoła była zamknięta dopiero przy -50 st. C. Wiedziały, kiedy to jest, bo gdy pluli, ślina zamarzała przed dotarciem do ziemi.

Zanim opuściły Kazachstan minęło sześć długich lat. Przyjechały we trójkę do dalekiego Szczecina. Był 1946 rok. Mogły zamieszkać domu na Pogodnie, ale bały się napadów szabrowników. Poza tym zostawiły dom, więc nie chciały zamieszkać w cudzym, który ktoś musiał zostawić i wyjechać. Wojna i zsyłka zmieniły całe dalsze życie Adolfiny. W Szczecinie dalej ciężko pracowała, żeby utrzymać rodzinę, w cegielni na Stolczynie. Jeszcze wiele lat później gromadziła i suszyła chleb, żeby być gotową, gdyby ponownie wybuchła wojna. Jak oka w głowie pilnowała też dokumentu, który pozwolił na powrót do Polski. Zaświadczenie wydane przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszana do spraw ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1946 r. Wystawiono je dla Adolfiny i córek. Potwierdzało, że udają się na pobyt stały do Polski.

W roku tym jeszcze wiele innych instytucji dokonywało na niej wpisów o udzielonych zasiłkach, wydanej odzieży i butach. Niektóre pieczętki są już nieczytelne, ale kilka pochodzi ze Szczecina. Teraz przechowuje je wujek – syn Reginy, który jest kuzynem mojej Babci i opowiedział mi historię życia swojej Mamy.

Mała, niepozorna i mocno zużyta kartka papieru. Pokreślona, pozginiata w wielu miejscach. A jednocześnie dowód na to, jak wiele cierpień zniosły osoby na niej wymienione. Była to przepustka do lepszego świata, dającego szansę na kontakt z rodziną i przeżycie. Może w innym miejscu, ale wytęsknionym. W Polsce.



Hanna Rasztubowicz

Szkoła Podstawowa nr 7 im. Zjednoczonej Europy w Kołobrzegu

Poplamiona książka

Był ponury, deszczowy dzień. Pogoda nie nastrajała zbyt optymistycznie. Jedyne, co poprawiało mi humor to fakt, że czekałam na kuriera. Zamówiłam przez Internet pięć książek. Dwie poleciła mi koleżanka, a trzy wybrałam sama. Kupiłam kontynuację przygodowej serii, od której trudno mi było się oderwać. Nie mogłam się doczekać, aż je przywiozł. Pomyślałam, że warto zrobić dla nich specjalne miejsce na półce. Spojrzałam na regał.

– Czas zrobić porządek z tymi starociami – powiedziałam głośno, patrząc na książki postawione na półce przez rodziców. Co to w ogóle za rupiecie...

Postanowiłam zapakować wszystkie stare książki do kartonu. Po chwili był wypełniony po brzegi. Oczyma wyobraźni już widziałam na półce te nowe, pachnące i kolorowe książki prosto ze sklepu. Nie mogłam się doczekać, aż przyjadą.

Usłyszałam samochód, podbiegłam do okna.

– Może to kurier? – pomyślałam z nadzieją.

Zobaczyłam jednak, że to babcia powoli wysiada z samochodu.

– To też fajnie, pewnie przywiozła coś pysznego do jedzenia – pomyślałam. Po chwili wpuściłam babcię do domu. Przygotowałam herbatkę i zaczęłam wypytywać o jej koty. Uwielbiałam te jej futrzaki i zawsze z przyjemnością słuchałam o ich psotach. W pewnym momencie babcia spojrzała na karton i zapytała:

– Robisz porządki?

– Tak – odpowiedziałam. – Potrzebuję miejsca na nowe książki, które zamówiłam. Zresztą, po co nam takie starocie. Widziałam, że w bibliotece miejskiej jest taki regał, na którym można zostawiać książki, a ktoś inny może je sobie wziąć do domu.

Po chwili pożałowałam moich słów. Miałam wrażenie, że babcia posmutniała. Podeszła do kartonu i wyciągnęła jedną ze spakowanych książek z poplamioną okładką.

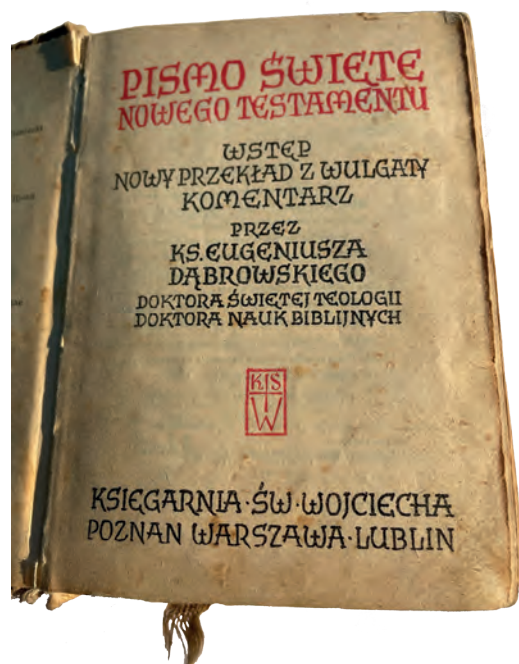


– Zaglądałaś kiedyś do tej książki? – zapytała.

– Nie... – odpowiedziałam cicho.

– W takim razie opowiem ci jej historię. To książka, która została podarowana mi przez moją mamę z okazji 18 urodzin. Została wydana w 1966 r., czyli właśnie wtedy, gdy wkraczałam w dorosłość. Twoja prababcia chciała, żebym wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi albo pocieszenia, kiedy przyjdą złe chwile. Bardzo zależało jej na tym, żebym ją regularnie czytała. Kiedy byłam młoda, nie zaglądałam do niej zbyt często, ale pamiętam, że co roku czytałam z niej głośno fragmenty przed kolacją wigilijną. Twoja prababcia mówiła często, żebym pamiętała, że to „Księga nad księgami”, bo tak mówi się o Biblii. Najważniejszą rolę ta książka odegrała jednak zimą 1981 r. W grudniu do naszego domu wkroczyli milicjanci, którzy aresztowali mojego brata. Miał 34 lata i pracował w fabryce materiałów budowlanych. Zaangażował się w działalność „Solidarności”, rozprawdzał ulotki i buntował przeciwko władzom podporządkowanym Rosjanom. Nie wiedzieliśmy, co się z nim stało. Przez kolejne tygodnie czekaliśmy na jakąś wiadomość dotyczącą miejsca pobytu Zbyszka. W tym czasie utrudniony był kontakt z rodziną, nie działały telefony, nie można było swobodnie podróżować po kraju. Bardzo wiele osób internowano, czyli wywieziono w nieznane. Na ulicach stało wojsko, pozamykano kina, biblioteki, nawet szkoły. Bardzo

się baliśmy, poza tym trwała mroźna zima, bardzo wcześnie robiło się ciemno, a przez to jeszcze smutniej w domu. Mijały dni, a my nie wiedzieliśmy, co stało się ze Zbyszkciem. Nadeszły święta, ale były inne niż zawsze. Wszyscy z rodziny rozmawiali tylko o stanie wojennym, myśleli o sytuacji w kraju i losie mojego brata. Zanim zasiedliśmy do stołu, twoja prababcia jak co roku przeczytała z Biblii fragment o narodzeniu Chrystusa. Podzieliliśmy się opłatkiem, a wtedy ona powiedziała, że od wigilii będziemy codziennie czytać fragmenty Pisma Świętego, bo wierzy w to, że dzięki temu Bóg nas pocieszy i pomoże wrócić Zbyszkowi do domu.



Kiedy babcia skończyła, nie wiedziałam, co powiedzieć. Pomyślałam o tym, jak wyglądał mój ostatni wieczór wigilijny, kiedy po kolacji wysyłałyśmy sobie z koleżankami zdjęcia prezentów i umawiałyśmy na imprezę sylwestrową.

– I co było dalej? – zapytałam.

– Od 24 grudnia 1981 r. rzeczywiście przez kilka tygodni cała rodzina zbierała się w salonie i codziennie inna osoba czytała wybrane fragmenty. Najbardziej zapamiętałam różne przypowieści np. o miłosiernym Samarytaninie albo synu marnotrawnym, bo później rozmawialiśmy o tym, co oznaczają w czasach współczesnych. Wierzyliśmy w to, że Bóg nam pomoże. I tak się stało! W marcu 1982 r. mój brat Zbyszek wrócił do domu

cały i zdrowy, chociaż jeszcze długo bał się, że znowu zostanie przymusowo zabrany z domu. Od tamtej zimy Biblia podarowana mi przez twoją prababcie zawsze zajmowała honorowe miejsce w naszym domu. A kiedy twoja mama skończyła 18 lat, podarowałam jej tę szczególną książkę, aby pamiętała, gdzie szukać wartości i pocieszenia w razie potrzeby. Na pewno staniesz się jej oficjalną właścicielką w dniu swoich 18 urodzin.

Kiedy babcia skończyła, podeszłam do niej i przytuliłam mocno.

– Babciu, nie wiedziałam, że z tą starą, poplamioną książką wiąże się tyle wspomnień... Na pewno za chwilę powróci na swoje miejsce. Nigdy się jej nie pozbędę! Dziękuję, że mi o tym wszystkim opowiedziałas.

– A może przeczytasz mi jakiś fragment? – zapytała babcia.

– Oczywiście!

Po chwili otworzyłam na dowolnej stronie, a następnie przeczytałam fragment o *Uzdrowieniu cierpiącej niewiasty*. Po chwili porozmawiałyśmy sobie z babcią o tym, że nigdy nie należy tracić nadziei w trudnych chwilach, np. wtedy gdy ktoś jest bardzo chory.

To było wspaniałe spotkanie.

PS

Kiedy babcia pojechała już do domu, przyjechał kurier z moimi nowymi książkami. Ustawiłam je pięknie na półce obok Pisma Świętego przekazywanego w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenia. Super razem wyglądały!

Maximilian Sima

Szkoła Podstawowa nr 4

im. Bohaterów I Armii Wojska Polskiego w Kołobrzegu

Obozowa epistolografia

O tym, jak dowiedziałem się,
że w posiadaniu mojej rodziny jest niezwykła pamiątka...

Pamiątka rodzinna, którą chciałbym opisać to listy, nie takie zwykłe z wakacji, jakie każdy chciałby otrzymywać, tylko listy mojej prababci z tułaczki po więzieniach i obozach koncentracyjnych XX wieku.



O listach dowiedziałem się podczas lekcji języka polskiego prowadzonych wiosną zeszłego roku online z powodu pandemii Covid. Temat lekcji dotyczył właśnie pamiątek rodzinnych. Moja babcia Mirka, która usłyszała pytanie pani od języka polskiego o nasze pamiątki rodzinne, wkroczyła do pokoju i zaczęła na forum klasy opowiadać o listach mojej prababci do rodziny. Moi koledzy i pani słuchali z zaciekawieniem tej niezwykle wojennej historii. Widziałem nawet w kamerze, jak w oku mojej pani zakręciła się łza. Po lekcjach zapytałem babcię o te listy. Całej historii nie mogę zdradzić, jest tego bardzo wiele, niektóre zapiski są bardzo osobiste, ale postaram się wskrzesić pamięć o mojej prababci, opowiadając o jej niezwyklej życiu.

Krótką historią życia mojej prababci...

Moja prababcia ze strony mamy, Bronisława Wierzbicka urodziła się 10 grudnia 1918 r. we Włocławku. Jej rodzice Salomea i Antoni wywodzili się z prostej, robotniczej rodziny. W 1934 r. Bronisława skończyła szkołę powszechną i podjęła pracę w drukarni. Po jakimś czasie zmieniła ją na pracę w księgarni. Książki były jej życiem, uwielbiała je czytać, zawsze zagłębiała się w świat bohaterów literackich i wraz z nimi odbywała różne podróże. W czerwcu 1940 r., księgarnię przejął okupant. Tam właśnie prababcia działała w organizacji o nazwie „Kujawski Związek Polityczno-Literacki”. Jej zadaniem była działalność propagandowa, antyhitlerowska, sabotaż oraz pomoc jeńcom wojennym. Rozprowadzała pismo „Ogniwo”, dostarczała też papier i farbę drukarską do jego produkcji. Niestety w szeregi organizacji wkradł się donosiciel, kolaborujący z okupantem, przez co nastąpiły masowe aresztowania.

O historii pewnych listów obozowych...

7 lutego 1941 r. prababcia Bronia, jak i wielu z jej przyjaciół, padła ofiarą kolaboranta i została osadzona w więzieniu we Włocławku. Po trzech miesiącach została odesłana do Inowrocławia, gdzie mieścił się obóz przejściowy. Po pięciu miesiącach przewieziono ją do ciężkiego więzienia w Zwickau. Cały ten czas prowadzono śledztwo w jej sprawie, które trwało około roku. 14 października 1942 r., wyrokiem sądu na sesji wyjazdowej w Dreźnie, została skazana na 5 lat obozu karnego za przygotowywanie zdrady stanu.

To właśnie dzięki listom wysyłanym przez prababcię Bronisławę ze wszystkich tych miejsc, dowiedziałem się o jej życiu w niewoli. Listy te podlegały cenzurze, więc mogę tylko domyślać się, jak trudny i okrutny był to czas w jej życiu i w ogóle w historii całego narodu polskiego. Po wyroku

sądu z Drezna, była wożona od więzienia do więzienia. Przetrzymano ją w Poznaniu, Fordonie, Krotoszynie i we Wronkach, skąd ostatecznie została przewieziona do Oświęcimia.

W jednym z listów, prababcia przesłała do swojej rodziny zasuszony kwiat – był to goździk. Moja mama powiedziała, że to taki symbol nadziei i wskazówka dla nas wszystkich, że nigdy nie powinniśmy się w życiu poddawać, że najważniejsze jest to, aby umieć cieszyć się z najprostszych rzeczy.

Prababcia nigdy nikomu nie opowiedziała dokładnie, co ją spotkało we wszystkich tych miejscach. Mogę domyślać się, że było to dla niej tak trudne, że nigdy nie chciała do tego wracać. Z listów wiemy, że jako młoda i drobna dziewczyna musiała pracować na przykład przy rozbiorce domów, budowaniu dróg i odwadnianiu terenu wokół obozu czy produkcji kauczuku syntetycznego. W Oświęcimiu moja prababcia była do 18 stycznia 1945 r. W wyniku ewakuacji całego obozu, w środku zimy, szła pieszo wraz z innymi więźniami bez odpowiedniego ubrania i butów. Jej droga wiodła do następnego obozu w Ravensbrück. Ostatnim obozem, w którym przebywała był tzw. prowizoryczny na obszarach lotniczych „Komando Neustadt-Glewe”, skąd 2 maja 1945 r. została wyzwolona! Przeżyła wszystkie te okropności, wróciła do Włocławka, gdzie założyła rodzinę, urodziła dwoje dzieci, w tym mojego dziadka ze strony mamy – Andrzeja.

Obozowa epistolografia źródłem refleksji...

Listy te to najcenniejsza pamiątka, jaka znajduje się w mojej rodzinie. Gdy moja babcia Mirka opowiadała mi ich historię i koleje życia prababci Broni, trudno mi było uwierzyć w to, ile człowiek może wytrzymać. Skąd czerpie siłę, by trwać i zwyciężyć? Zresztą nadal jest mi trudno to rozumieć, ale dziś wiem, że „człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”. Jeśli mamy w sobie wolę walki, siłę i determinację, to tak jak, moja prababcia zwyciężymy. Domyślam się, że historii takich jak jej jest wiele. Po wydarzeniach II wojny światowej nikt już nie powinien przechodzić przez tragedię wojny. Dorastając, niestety dowiaduję się o różnych aktualnych wydarzeniach na świecie, wojnach i okrucieństwach nie do wyobrażenia. Dziś w wiadomościach telewizyjnych widzę ludzi, dzieci, które cierpią i umierają z powodu kolejnej wojny. Listy mojej prababci dają mi jednak nadzieję, że znowu zapanuje pokój... To właśnie takie pamiątki są najcenniejszym darem historycznym. Moja rodzinna pamiątka stała się świadectwem triumfu dobra nad złem, a obozowe listy prababci Broni, sprawiają,

Nadia Majchrzak

Szkoła Podstawowa nr 11 im. UNICEF-u w Szczecinie

Bez wiedzy o przeszłości nie rozumiemy przyszłości...

Zawsze chciałam wiedzieć, kim jestem, skąd pochodzę, kim byli moi przodkowie i czym się zajmowali. Wydawało mi się to rzeczą naturalną. Już od najmłodszych lat wraz z mamą tworzyłam drzewa genealogiczne mojej rodziny, poszukując jej korzeni. To z nich dowiedziałam się na przykład, że mama mojego pradziadka miała bardzo niespotykane imię – Petronela, a moja prababcia, na którą zawsze wszyscy mówili: „Babcia Dana”, ma tak naprawdę na imię Zeniferda. Przy okazji poszukiwań tożsamości swojej rodziny natrafiłam na różne pamiątki, w postaci starych zapisków pradziadka Michała, jego skórzanej walizki, z którą nie rozstawał się od czasów młodości, czy starych zdjęć, na których poznawałam swoich przodków. Te wszystkie cenne pamiątki znajdowałam w różnych zakamarkach domu moich pradziadków. Niektóre z nich były naznaczone czasem, zakurzone, z wypłowiałym papierem, inne znajdowały się w tekturowych pudełkach w szafie, którą mój pradziadek zawsze zamykał na klucz. To właśnie ta szafa interesowała mnie najbardziej. Czulałam, że może kryć coś wspaniałego, niezwykłego i cennego zarazem...

Pewnego razu, a było to w Święta Bożego Narodzenia, miałam wtedy może 6–7 lat, poprosiłam pradziadka Michała, aby pokazał mi, co trzyma w swoim tajemniczym kredensie. Spodziewałam się zdjęć z czasów jego młodości, może jakichś książek z żółtymi kartkami, czy starego zegarka, którego mechanizm dawno temu przestał działać. Pradziadek dumnie wyjął malutkie, brązowe, lekko sfatygowane pudeleczko, owinięte jutowym sznurkiem. Stało się dla mnie jasne, że nie będzie tam pamiątek, na które czekałam. W pudeleczku był za to święty obrazek, ukazujący Matkę Boską. Prosty, papierowy, jaki zazwyczaj księża rozdają domownikom, odwiedzając ich domy w czasie wizyty duszpasterskiej. Nie ukrywam, że w pierwszej chwili poczułam lekki zawód. No, bo jak to? Obrazek? Miałam takich dużo w domu! Najczęściej wklejałam je na pierwsze strony zeszytów od religii, by potem dumnie pochwalić się nimi w trakcie kolędy. W dodatku obrazek był stary, lekko zniszczony, ale wyróżniało go jedno – na odwrocie widniał już prawie wytarty, ale nadal czytelny, zanotowany

niebieskim atramentem napis: *Michałowi – ks. Palica*. Nie spodziewałam się, że ten, na pozór zwykły obrazek, który stał się pierwszym krokiem ku poznaniu drogocennej pamiątki rodzinnej, zabierze mnie w sentymentalną podróż pełną wrażeń, dzięki której zrozumieć, z jak ważnym i wartościowym dziedzictwem przyjdzie mi się zmierzyć.

Ta droga rozpoczyna się w trudnych czasach II wojny światowej, okresie, zarówno mnie jak i mojej mamie, znanym tylko z opowieści, z jednej strony tak odległych, a z drugiej tak realnych, z uwagi na toczącą się teraz wojnę w Ukrainie. Obraz konfliktu zbrojnego bardzo wstrząsnął życiem mieszkańców Kalusza, niewielkiej miejscowości, położonej w Ukrainie, niedaleko Lwowa. Sowieci zajęli miasto 21 września 1939 r. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej miasto przeszło okupację niemiecką. W październiku 1941 r. Niemcy dokonali mordu tysięcy Żydów z Kalusza i okolic, a pozostałych wywieźli z miejscowego getta do obozów w Bełżcu i Stanisławowie. Miasto zostało wyzwolone dopiero w 1945 r. przez 11 Karpacką Dywizję Piechoty AK, w ramach słynnej akcji „Burza”. Po wytyczeniu nowych granic, w 1945 r. przymusowo wywieziono polskich mieszkańców Kalusza na ziemie zachodnie PRL (ówczesnej Polski). W kronice parafialnej ksiądz Palica, tamtejszy proboszcz parafii w Kaluszu i jeden z przesiedleńców zanotował: *Po ewakuacji całej swojej parafii na Zachód w różne strony Ziemi Odzyskanych, sam z garstką swoich wiernych zostałem „wyłączony” w Gryfinie.*

Wśród pionierów był mój pradziadek, Michał Rubczak, wraz ze swoją matką, bratem, jego żoną i dwójką dzieci. Ocaleni tylko dlatego, że kiedy banderowcy „wpadli” do ich rodzinnego domu, nikogo wtedy nie było. Wszyscy wraz z księdzem Palicą modlili się w kościele o wolne miasto. Przymusowo musieli w jednej chwili opuścić swoje domy, zostawić całe dotychczasowe życie i wszystko, czego się „dorobili”. Pojechali z niczym, w dodatku w nieznane. Pradziadek opowiadał mi o długiej podróży, bardzo wyczerpującej i pełnej obaw o przyszłość. Wagony były odkryte, przystosowane do przewozu węgla, a nie ludzi. Jechali jednym transportem wraz ze wspomnianym duchownym, który miał potem ogromny wpływ na życie naszej rodziny. Przez całą podróż pokrzepiała ich tylko jedna myśl – wieźli ze sobą najcenniejszą pamiątkę – ŚWIĘTY OBRAZ. Dzieło, które w czasie wojny zagrzewało do walki, wspierało i wzmacniało mieszkańców, a w trakcie podróży miało uchronić ich od złego. To przy nim trwali, modlili się i bronili swojego miasta. Jako jedno z niewielu malowideł ocalało w kościele w Kaluszu, nie ulegając żadnemu zniszczeniu. Uznano

je za świętość i znak od Boga. Dzieło stało się dla nich symbolem wiary, polskości, nadziei i walki. Podczas transportu było chronione najmocniej. Przesiedleńcom nie pozwolono zabrać ze sobą mebli czy przedmiotów codziennego użytku. Jedyne, co mój pradziadek zdołał zabrać, to ogromny, drewniany stół, przy którym jego mama świadczyła przez kilkadziesiąt lat usługi krawieckie dla mieszkańców, a potem jego dzieci odrabiały przy nim lekcje, a także krowę i skórzaną walizkę. Stół z jednej strony miał dla niego wartość sentymentalną, a z drugiej – chronił święty obraz, który był pod nim przewożony i w taki sposób zabezpieczony podczas podróży, na wypadek choćby deszczu. Malowidło przez całą drogę było ukrywane i pilnie strzeżone przez Kresowian, aby nie zostało zarekwirowane przez wojska radzieckie. Po wyczerpującej podróży, 26 sierpnia 1945 r., osadnicy zatrzymali się w Gryfnie, mieście, które również uległo potwornym zniszczeniom w czasie wojny. Ksiądz Palica, po obejrzeniu gryfińskiego kościoła, który jako jeden z niewielu dobrze zachował się po wojnie, zdecydował, że zostaną na ziemi gryfińskiej.

To właśnie do kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny w Gryfnie trafił transportowany, święty obraz pod tytułem: „Hold stanów”, namalowany w 1930 r. przez lwowskiego malarza Stanisława Kaczora-Batowskiego, urodzonego w 1866 r. Płótno, oprawione w brązowe ramy, zajęło symboliczne miejsce w oltarzu głównym kaplicy w Gryfnie. Obraz do dziś znajduje się w gryfińskim kościele. Pierwotnie dzieło zostało stworzone dla świątyni pod wezwaniem św. Walentego w Kaluszu i poświęcone 3 maja 1932 r. Ciekawostką jest, że funkcjonuje ono pod różnymi nazwami. W Gryfnie przyjęto tytuł: „Hold stanów”, natomiast we współczesnym mieście w Ukrainie widnieje jako: „Matka Boska wszystkich narodów”. W inwentarzu parafii w Kaluszu, wykonanym przez księdza Palicę, obraz jest wymieniany jako: „Matka Boska Królowa Polski”. Maryja ukazuje swojego boskiego Syna przedstawicielom wszystkich stanów Rzeczypospolitej. Dzieło jest symbolem i pokłonem wszystkich stanów dla Królowej Korony Polskiej, którzy ofiarują Matce Boskiej to, co każdy z nich ma najlepszego. Jest ono typowo związane z Kaluszem, gdyż znajduje się na nim chociażby robotnik, który trzyma topkę soli – a pod tym miastem była jej kopalnia. Artysta na obrazie łączy wymiar teologiczny z historycznym (szczególnie śluby króla Jana Kazimierza i czas potopu) oraz współczesnym dla twórcy i zawiera wiele wieloznacznej symboliki. Król Jan Kazimierz, składając wspomniane śluby przed obrazem „Hold stanów” i obierając Maryję za Królową, użył takiego sformułowania:

Wielka Boga Człowieka Matko, Najświętsza Dziewico. Ja, Jan Kazimierz, za zmiłowaniem Syna Twojego, Króla królów, a Pana mojego i Twoim miłosierdziem, do Najświętszych stóp Twoich przypadłszy, Ciebie dziś za patronkę moją i za Królestwo państw moich obieram. Tak samego siebie, jak i moje Królestwo polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, smoleńskie, czernichowskie oraz wojsko obu narodów i wszystkie moje ludy Twojej osobliwej opiece i obronie polecam [...].

Kompozycja obrazu jest skonstruowana na osi i dzieli całość na pół: z lewej strony (oglądając obraz) widnieje Dzieciątko, duchowny, husarz oraz tarcza, zaś z prawej strony Maryja z koroną i z całym obliczem, górnik oraz rolnik. Dzieło w układzie horyzontalnym przedstawia symbolikę nieba i ziemi – u góry Matka Boska z Dzieciątkiem, a na dole cztery osoby modlące się. Obraz jest zbudowany na wyraźnych dwóch kregach oraz trzecim, niezaznaczonym. Pierwszy tworzą nimby nad głową Maryi – najbardziej świetlisty punkt, oddzielony poświęcą, z którego wychodzą 24 promienie, przedzielone 12 gwiazdami. Drugi jest związany z Dzieciątkiem, podtrzymywany przez Matkę Boską, którego wzrok skierowany jest ku modlącym się, a rozłożone ręczki wyraźnie chcą objąć postać rolnika. Ponadto wydawać się może, że Dziecko chce zejść do przybyłych ludzi. Trzeci natomiast jest niezaznaczony i tworzą go postacie modlących się.

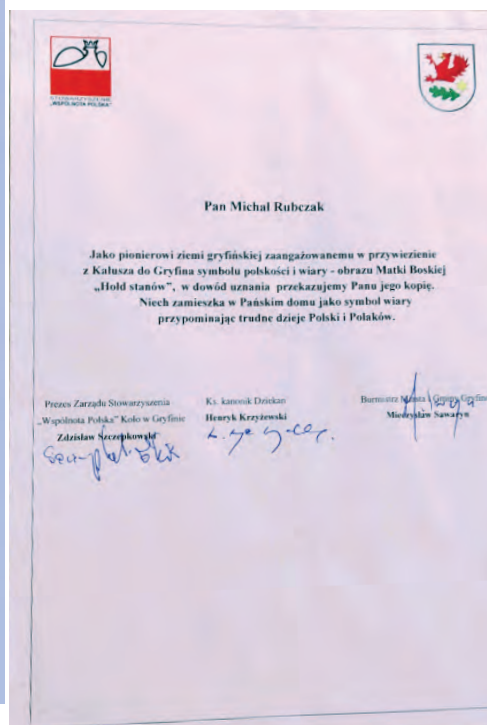


Maryja jest przedstawiona na obrazie jako osoba majestatyczna i dominująca, a jednocześnie pełna spokoju i łagodności. Namalowana w jaśniejszych barwach, wzywa odbiorcę w swoją przestrzeń i zupełnie inną rzeczywistość. Ponadto postać Maryi umiejscowiona jest tak, jakby wyrażała z kręgu ziemskiego, idąc ku niebu. Matka Boska odbiera hold i zawierzenie stanów polskich, jednak nie patrzy już tylko na zgromadzone osoby, ale spogląda daleko w przyszłość, na następne polskie zawierzenia, co ukazuje jej zadumany i smutny wzrok. Postać odziana jest w błękitną szatę, symbolizującą niebo. Na obrazie znajduje się również ukazujący wiarę duchowny, który może przedstawiać kapelana króla Jana Kazimierza, rolnik, symbolizujących tych, którzy karmią naród, przynoszący w darze Maryi kłosa zboża, a także górnik, bezpośrednio związany z Kaluszem i będący przedstawicielem środowiska kopalni soli. Postać husarza-szlachcica, stanowiąca czwartą osobę spośród modlących się, czyni wymowne pokłony ku Maryi. Jego wzrok jest skierowany na tarczę z herbami, co pokazuje szczególną troskę i odpowiedzialność za ojczyznę.

W dniu 2 września 1945 r. ksiądz Jan Palica, już jako proboszcz parafii, odprowadził pierwszą po wojnie mszę świętą w Gryfinie. W swojej kronice napisał: *Pamiętny dzień 2 września można uznać za dzień narodzin parafii gryfińskiej, w tym bowiem dniu odbyło się uroczyste poświęcenie tegoż kościoła.* Mój pradziadek również uczestniczył w tym nabożeństwie.

Powróćmy do mojego znaleziska. W tym samym dniu, w którym zobaczyłam obrazek dziadka, tak skrzętnie ukrywany w jego szafie, udałam się wraz z nim i rodziną do kościoła. Usiedliśmy w pierwszej ławce. Moim oczom ukazał się piękny, majestatyczny obraz w głównym oltarzu, który przywiózł mój pradziadek. Pamiętam, że nie mogłam wtedy skupić wzroku i myśli na niczym innym. Gdy zobaczyłam dumę i lzy, spadające na pomarszczoną twarz mojego pradziadka, zrozumiałam, jak cenną wartością dla niego była ta ikona i jak ważnym przewodnikiem duchowym stał się w jego życiu ksiądz Jan Palica. Mój pradziadek zawsze powtarzał, że święty obraz uchronił jego rodzinę przed śmiercią, że dodawał otuchy i siły do walki w czasach, kiedy wszyscy się poddawali. To dzieło malarza stanowi dla mnie i mojej rodziny, a także całej społeczności gryfińskiej najwyższą wartość, a ja jestem dumna, że mogę przytoczyć historię tego obrazu, który stał się również moją pamiątką rodzinną, symbolem wiary i miłości Boga, ale też wielkiego trudu i poświęcenia. Dzieło pozostanie na wieki w świętym miejscu, a każde następne pokolenie będzie poznawać jego dzieje, a tym samym historię mojego pradziadka i rodziny.

5 lipca 2018 r. nastąpiło uroczyste przekazanie przez Burmistrza Miasta Gryfina kopii obrazu, który od tego czasu pozostał w domu moich pradiadków i do dnia dzisiejszego wisi na ścianie na honorowym miejscu. Mój pradziadek otrzymał również odznaczenie w postaci medalu za wkład w budowanie polskości na ziemi gryfińskiej. Przypominam sobie moment, kiedy mój pradziadek, po wręczeniu mu kopii obrazu mówił ze wzruszeniem: *To mój piękny obraz*.



W dniu 5 września 2020 r. w gryfińskim kościele odbyła się uroczysta koronacja obrazu. Niestety, mój kochany pradziadek Michał jej nie doczekał. Zmarł we wrześniu 2018 r. Kiedy tylko jestem w Gryfinie, zawsze wchodzę do kościoła, by choć na chwilę poczuć jego obecność. Siadam w tej samej ławce, w której niegdyś siedzieliśmy, kiedy moim oczom ukazało się te niezwykle dzieło. I, choć mojego pradziadka już z nami nie ma, wciąż słyszę jego głos, gdy opowiada ze wzruszeniem historię pamiętki, widzę jego twarz we łzach, gdy dumnie patrzy w kierunku obrazu. Została po nim przeogromna wartość, w postaci świętego obrazu, który już na zawsze pozostanie, tak jak pradziadek, w moim sercu.

Tomasz Rożek

Szkoła Podstawowa w Kobylance

Organy dziadka Rudolfa

Pamiętki rodzinne są przedmiotami z przeszłości, które współcześnie nabierają nowego, symbolicznego znaczenia. Każda rodzina ma swoją historię i każda posiada pamiętki po rodzicach i krewnych. W naszych domach znajduje się wiele nieużywanych już, wręcz zbędnych przedmiotów, które z różnych powodów są zachowywane. Również i w mojej rodzinie jest taka szczególna rzecz. Są to piękne, stare organy piszczałkowe – instrument muzyczny, który należał do mojego pradziadka Rudolfa Rożka.



Organy stoją w salonie mojej prababci Leokadii (żony pradziadka Rudolfa, z którym dane mi było spędzić 6 lat mojego życia). Instrument jest w naszej rodzinie od ponad stu lat i nadaje domowi dziadków unikalnego klimatu. Prababcia zawsze powtarza: „Kiedy ja umrę organy otrzyma twój tata, a potem ty, a następnie twoje dzieci. W tej organowej szafie pradziadek zamknął część historii naszej rodziny oraz fragment muzycznej – organowej – historii Polski, dlatego kolejne pokolenia muszą znać swoje dziedzictwo.”

A było to tak...

14 stycznia 1932 r. w Przyszowicach na Śląsku urodził się Rudolf Rożek (dziadek mojego taty i mąż prababci Łodzi). Jeszcze przed II wojną światową przeprowadził się z rodzicami (Ludwikiem i Martą z domu Mateja) i starszym bratem Pawłem do Gierałtowic, gdzie w 1946 r. ukończył szkołę podstawową. Ojciec jego, Ludwik (mój prapradziadek) był organistą w miejscowym kościele, skąd pochodzą te wspaniałe organy. Wtedy pojawiła się u mojego pradziadka miłość do muzyki, szczególnie organowej i do instrumentu.

Nieznana jest nam data produkcji tego urządzenia, ale sądzymy, że został on wyprodukowany około 1900 r. w Niemczech (w tym właśnie roku zostały kupione i przywiezione do parafii, w której organistą był mój prapradziadek Ludwik). Niegdyś była do nich przymocowana mosiężna plakietka z oznaczeniem roku produkcji oraz nazwą i numerem producenta, lecz podczas jednego z transportów tabliczka odpadła i zgubiła się. Organy mają brązowy kolor i kształtem przypominają szafę. Są masywne i ciężkie. Wykonano je z twardego, mocnego drewna. Widać, że nadgryzione zostały zębem czasu. W wielu miejscach są podrapane, a gdzieś tam nawet wgniecione. W tej olbrzymiej obudowie zamknięte zostały grupy piszczałek, mechanizm gry oraz aparaty tłoczące powietrze. Dobrze widoczny jest stół gry (kontuar) z klawiaturą, klawiaturą nożną (pedałami) oraz różnorodnymi przyciskami. Reszta elementów tego „cuda” została ukryta wewnątrz dużej, drewnianej obudowy. Babcia kiedyś wspomniała, że pradziadek, jeszcze za życia, wymienił drewniane piszczalki, na cynowe, po czym na karteczce zapisał informacje, i przykleił ją z tyłu organowej szafy.

Pradziadek w 1952 r. został absolwentem Liceum Muzycznego w Katowicach, do którego uczęszczał razem z Wojciechem Kilarzem. Następnie wyjechał na studia do Poznania. Tam poznał moją prababcie i ożenił się z nią (rok później urodził się Marek – mój dziadek). Aby utrzymać rodzinę, podjął pracę organisty w kościele św. Anny. Równocześnie kontynuował naukę w klasie organów prof. Pawlaka, a po jej ukończeniu rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Wówczas mój prapradziadek Ludwik stwierdził, że jest on „godny” i przekazał mu te organy w posagu. Dla dziadunia była to wielka radość, że doczekał chwili, kiedy jego ojciec oddaje w jego ręce instrument. Był nim zafascynowany.

Dziadek, miłość i pasję do muzyki wyniósł z rodzinnego domu. Był przekonany, że cały kunszt muzyki organowej ujawnia się w kościele, gdzie organowe głosy działają na zmysły i kierują nasze myśli w stronę

pozaziemską. Twierdził, że w Domu Bożym dźwięk organów nabiera najbardziej niezwykłego wyrazu. Łączy się z architekturą. Grając, oddawał chwałę Bogu i przenosił się w zupełnie inny świat – świat dźwięku. W każde wydobywane z organów brzmienie, wkładał całe swoje serce. Uwielbiał muzykę Jana Sebastiana Bacha, którą sam często grał. Wielokrotnie cytował słowa poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z wiersza „Zamieć”:

*Liryka, muzyka coraz to wyższa, | do nieba by się szło, [...] | Organy w chmury,
w chmurach cherubin | chmurom krzyczący: «Grajcie». | Wszystko, coś stracił,
wszystko, coś zgubił, | w Bachu, bracie, odnajdziesz;*

Rudolf w 1957 r. skończył studia z tytułem magistra sztuki i 3 lata później przeniósł się do Szczecina, gdzie podjął pracę organisty w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Przez jakiś czas organy znajdowały się właśnie w tym kościele.



Rudolf Rożek w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, Szczecin 1979

W portowym mieście szybko poznano się na talencie pradziadka i zaproponowano mu występ otwierający cykl koncertów organizowanych w katedrze w Kamieniu Pomorskim, które odbywały się w ramach imprez muzycznych „Szczecińskiego lata”. 23 czerwca 1964 r. pieśnią „Gaude Mater Polonia” wykonaną wraz z chórem Politechniki Szczecińskiej pod dyrekcją Jana Szyrockiego i „Preludium organowym” Jana Podbielskiego zainaugurował pierwszy koncert organowy w Kamieniu Pomorskim. Po roku koncerty te przekształciły się w Festiwal Muzyki Organowej

i Kameralnej. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w całej Polsce i cieszyło się dużym zainteresowaniem mediów. W „Głosie Szczecińskim” po pierwszym koncercie donoszono o prawie pięciuset słuchaczach obecnych w kamińskiej katedrze. Jeszcze tego samego lata w koncercie udział wzięły takie osobowości jak prof. Romuald Sroczyński z Wrocławia czy prof. Józef Pawlak z Poznania. Pradziadek podczas tego koncertu za kontuarem zasiadł dwukrotnie, raz zagrał właśnie na „naszych” organach. Dziadek występował także podczas kolejnych edycji festiwalu. Wydarzenie szybko zyskało renomę i zaczęło cieszyć się ogromnym zainteresowaniem artystów z Polski i z zagranicy. W 1970 r. telewizja transmitowała kamiński koncert organowy tuż po głównym wydaniu dziennika. Pradziadek był bardzo szczęśliwy i dumny, że może z pomocą swoich organów współtworzyć to wydarzenie. Należał wówczas do czołówki polskich organistów.

X FESTIWAL MUZYKI ORGANOWEJ I KAMERALNEJ W KAMIENIU POMORSKIM I SZCZECINIE • LATO 1974			
W PIĄTKI KONCERTY ODBYWAŁY SIĘ W KATEDRZE W KAMIENIU POMORSKIM W NIEDZIELĘ WYKONANE SĄ W ZAMKU KŁAZIAŁ POMORSKIM W SZCZECINIE			
Początek wszystkich koncertów o godz. 19 ⁰⁰			
21 23 VI	INAUGURACJA X FESTIWALU Feliks Baczkowski Łódzka Orkiestra Kameralna Zdzisław Friedman Stanisław Firlej	W programie: „PRO MUSICA” organista (Polska) współtwórca (USA)	
28 30 VI	ROMUALD SROCZYŃSKI organista (Polska) Hosotceker Nonet (N.R.D.) Janek Murawski	W programie: Kwartet smyczkowy Kwartet smyczkowy Kwartet smyczkowy	2 4 VIII
5 7 VII	LARISSA BULAWA organista (Z.S.R.) Członkowie kwartetu Igor Bomin Kwartet (Z.S.R.)	W programie: I. S. BACH WV 1028 Kwartet smyczkowy Ludwig van Beethoven Kwartet smyczkowy	9 11 IX
12 14 VII	VLADIMIR RUSSO organista (Z.S.R.) Zbigniew Zienkowski skrzypce (Gdańsk)	W programie: I. S. BACH WV 1028 Kwartet smyczkowy Piotr I. Czerwikowski Kwartet smyczkowy	16 18 VIII
19 21 VII	ANDRZEJ CHODORSKI organista (Polska) Krzyszta Szostek-Radkova Mezzosopran (Wrocław) Madrugałscy Kamienscy Tadeusz Pawłowski saksofon (Gdańsk)	W programie: I. S. BACH WV 1028 Kwartet smyczkowy Ludwig van Beethoven Kwartet smyczkowy	23 25 VIII
26 28 VII	JÓZEF SĘRAFIN organista (Gdańsk) Krzyszta Suchecka skrzypce (Gdańsk) Roman Suchecki wieloletni (Gdańsk)	W programie: I. S. BACH WV 1028 Kwartet smyczkowy Ludwig van Beethoven Kwartet smyczkowy	30 31 IX

Internationale Sommerkonserter

<p>Onsdag den 19. juli kl. 20.00.</p> <p>JAN HORA professor, Prag, Tjeckoslovakien</p> <p>Onsdag den 25. juli kl. 20.00.</p> <p>ALBERT L. CAMPBELL professor, Californien, USA</p> <p>Onsdag den 1. august kl. 20.00.</p> <p>BENGT CIMBRELIOUS musikdirektör, 61. kant., Hvidebølsholm, Sverige</p> <p>Onsdag den 8. august kl. 20.00.</p> <p>PETER BACKENS organist, Lüttichse, BRD</p>	<p>Onsdag den 15. august kl. 20.00.</p> <p>LUIGI TOJA professor, Milano, Italien</p> <p>Onsdag den 22. august kl. 20.00.</p> <p>RUDOLF RÖZEK organist, Szczecin, Polen</p> <p>Onsdag den 29. august kl. 20.00.</p> <p>GERMAIN DESBONNET organist, Paris, Frankrig</p> <p>Onsdag den 5. september kl. 20.00.</p> <p>FLEMMING GRÜTZMEIER organist, Rom</p>
--	--

Sommer 1973 Entre kr. 8,-



SCT. NICOLAI KIRKE, RØNNE

Zaczął otrzymywać zaproszenia z wielu europejskich krajów. Był to jego ogromny zawodowy sukces. Najczęściej koncertował w Niemczech, Danii i Szwecji. Łącznie dał 77 recitali, 42 za granicą i 35 w kraju. Podczas występów zawsze towarzyszył mu jego instrument. Darzył go szczególnym sentymentem. Uważał, że praca organisty jest ważna. Umiał zaprezentować

walory instrumentu oraz sztuki. Twierdził, że wszystko w życiu ma swój czas, a niezwykle jest to, że muzyka również związana jest z czasem.

„Pojedyncze dźwięki trwają określony czas. Czyż nie oznaczają one naszych dni? Tygodnie, miesiące i lata to przecież nasze życie.” – powtarzał.

Wirtuoz – jak nazywała go prababcia – poza sceną dbał o rozwój edukacji artystycznej w naszym kraju. Uczyl w Ognisku Muzycznym i w Zespole Szkół Muzycznych oraz w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu (punkt konsultacyjny w Szczecinie kl. organów), za co został uhonorowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Pradziadek był także dyrygentem szczecińskiego chóru Pax Christi, któremu akompaniował podczas prób. Pracował również jako organista na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie.

W 1992 r. na zamkowych organach koncertował dla naszej rodziny po raz ostatni i w tym też roku (ze względów zdrowotnych) przeszedł na „muzyczną” emeryturę. Tata opowiadał mi, że koncert ten zakończył się owacjami na stojąco, a dziadek „bisował” trzykrotnie. Bardzo żałuję, że nie było mnie jeszcze wtedy na świecie i nie mogłem uczestniczyć w tym wzruszającym wydarzeniu, które okazało się pięknym podsumowaniem twórczości mojego dziadka Rudolfa.

ZAMEK KSIĄŻĄT POMORSKICH W SZCZECINIE

4. 10. 1992 r.
(niedziela)

godz. 12.00
Sala Bogusława

RUDOLF ROŻEK

Recital organowy

z okazji 40-lecia pracy artystycznej

**W programie: J. Podbielski, D. Buxtehude, J.S. Bach, M. Roger, C. Franck,
T. Albinoni i inni.**

Wstęp wolny

W 2014 r., w trakcie 50. jubileuszowej edycji kamieńskiego festiwalu pradiadek został uhonorowany jako jeden z twórców tego wydarzenia. Otrzymał Odznakę Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego i piękny pamiątkowy album.



Obchody 50-lecia kamieńskiego festiwalu. Na zdjęciu jego współtwórcy: Zbigniew Pawlicki, Jan Duda i Rudolf Rożek

Organy pradiadka nie są obecnie wykorzystywane, gdyż nikt z naszej rodziny nie potrafi grać tak, jak robił to nasz mistrz. Po jego śmierci do babci zgłosiło się kilka osób, które były zainteresowane odkupieniem tego instrumentu, lecz dla naszej rodziny było oczywiste, że nikt, nigdy, nie sprzeda ich nikomu za żadne pieniądze. Dobrze wiemy, że historia naszej rodzinnej pamiątki wydobywa ją ze „zwyyczajności” trwania, nadaje jej rangę i podkreśla nieocenioną wartość. Dodaje nam sił i pomaga oswoić tęsknotę za tym, którego już z nami nie ma. Przypomina o miłych chwilach. Przywołuje dobre skojarzenia, a te budują pozytywne emocje. Jestem przekonany, że do dziś między piszczałkami można usłyszeć piękno organowych głosów epoki, kiedy za kontuarem zasiadał wirtuoz z Przyszowic. W tej „muzycznej szafie” już zawsze będzie mieszkał duch organowych recitali minionego stulecia.

Będę dbał o ten instrument i o zachowanie jego historii tak, abym mógł przekazać je kiedyś swoim dzieciom, a one swoim, aby kolejne pokolenia mogły poznać fragment rodzinnej muzycznej historii i być dumne ze swojego przodka. To wzmocni więź między nami i zintegruje pokolenia. Kto wie, może i we mnie drzemie nieodkryty, muzyczny talent...

Bartosz Popławski

Technikum Informatyczne

w Zespole Szkół nr 1 im. Bolesława Krzywoustego w Choszcznie

Mój skarb rodzinny

Nazywam się Bartosz Popławski. Najcenniejszą pamiątką mojej rodziny jest korespondencja pradziadka Franciszka Popławskiego, którą wysyłał z obozu w Kozielsku oraz rodzinne fotografie, upamiętniające szczęśliwe życie rodziny Popławskich w Łużkach.

Historia tego pamiątkowego zbioru jest długa, tragiczna i obrazuje nie tylko losy moich przodków, ale także pokoleń Polaków. Niektórzy uczą się o tym z podręczników historii, ja znam ją także z opowiadań rodzinnych.

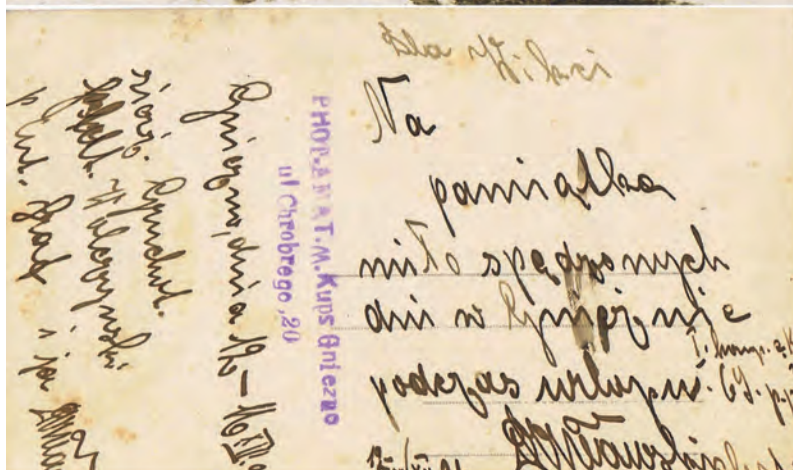
Przedstawię życie bohatera tej historii. Jest nim mój pradziadek, Franciszek Popławski. Był mężem, ojcem, synem, zięciem, polskim żołnierzem. Dobrym, kochającym i pracowitym człowiekiem. Wiodącym szczęśliwe życie. Do czasu, kiedy wybuchła II wojna światowa.

Gimnazjum, legiony, powstanie wielkopolskie, wojna polsko-bolszewicka

Franciszek urodził się w 8 września 1900 r. w Inowrocławiu. Był synem Michała Popławskiego i Józefy Popławskiej z domu Jopek. Jego ojciec był żołnierzem, tak jak i dziadek Martinus (Marcin), który służył w armii pruskiej.

W latach 1906–1916 pradziadek uczył się w dziesięcioletnim, męskim gimnazjum w Inowrocławiu, na terenie zaboru pruskiego. Od 1907 r., gdy całkowicie zlikwidowano naukę języka polskiego w szkołach, dalszą naukę pobierał w języku niemieckim. Jako gimnazjalista, mój pradziadek, Franek należał do harcerstwa. W czasie I wojny światowej służył w Legionach Polskich. W styczniu 1919 r., w Inowrocławiu, wstąpił do oddziałów biorących udział w powstaniu wielkopolskim. Jednostki powstańcze składały się z ochotników: Polaków z byłej armii niemieckiej oraz młodzieży należącej do grupy „Sokołów” i harcerstwa. Oddziały te tworzyły 59 Pułk Piechoty Wielkopolskiej. Następnie przeniósł się do Pułku Strzelców Wielkopolskich, który 5 lutego 1920 r. przemianowano na 69 Pułk Piechoty. W lutym 1920 r., w czasie wojny polsko-bolszewickiej, pułk przetransportowano na wschód do Lidy, gdzie wszedł w skład 17 Dywizji Piechoty Wielkopolskiej.

W sierpniu 1920 r. oddział dziadka przerzucono pod Modlin. Walki rozpoczęły się 15 sierpnia. Zaatakowano wówczas wieś, która nazywała się Wólka. Wieś ta podczas krwawych walk przechodziła z rąk do rąk. Żołnierze walczyli o każdy dom. 19 sierpnia 1920 r. miała miejsce potyczka pod Przemiarowem. Była ona dalszym etapem walk 69 Pułku Piechoty w Bitwie Warszawskiej. Walka toczyła się pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim, na otwartym polu. W trakcie tych starć mój pradziadek został ranny w płuca. Podczas walki żołnierze zdobyli 6 karabinów maszynowych oraz wzięli do niewoli ok. 100 jeńców. Po okresie rekonwalescencji pradziadek wrócił do 69 Pułku Piechoty do Gniezna. Tam też spędzał często z kolegami swój urlop.



Franciszek Popławski (drugi od prawej) na urlopie ze swoimi kolegami, Gniezno, 12–16.12.1926 r.

W 1924 r. oddział dziadka Franciszka został przeniesiony do Łużek, do 3 Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza. Składała się ona ze szwadronów i batalionów granicznych: „Budslaw”, „Łużki”, „Podswile”, „Krasne”. Siły te rozlokowane zostały na Wileńszczyźnie. Pas, chroniony przez brygadę, liczył 344 kilometry. Sztab brygady kwaterował w Wilejce, a jej dowódcą był plk Kazimierz Rumsza. Decyzja, o utworzeniu Korpusu Ochrony Pogranicza, została podjęta podczas specjalnego posiedzenia Rady Ministrów z udziałem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego. Stało się to 21–22 sierpnia 1924 r., a było potrzebne do kontrolowania działań ZSRR na wschodniej granicy z Polską. Już 12 września Ministerstwo Spraw Wojskowych, pod dowództwem Władysława Sikorskiego, wydało rozkaz o utworzeniu tej formacji wojskowej, w skład której weszły bataliony i szwadrony: „Podswile” i „Łużki”. Batalion „Łużki” składał się z 3 kompanii granicznych, kompanii odwodowej, plutonu łączności oraz plutonu kompani ciężkich karabinów maszynowych. Mój pradziadek był dowódcą plutonu ckm.



Łużki, 11.11.1934 r. Raport przed defiladą. Franciszek Popławski stoi w szyku pierwszy od lewej z szablą



Łużki. Pluton ciężkich karabinów maszynowych, w środku dowódca Franciszek Popławski (z lornetką)



Łużki. Żołnierze KOP, na zdjęciu Franciszek Popławski siedzi pierwszy od lewej

Szczęście rodzinne

W Łużkach pradziadek Franciszek poznał, pochodzącą z bogatego domu, Wiktorię Kośnikowską. Pochodziła z bogatego domu. Jej rodzina miała gospodarstwo i dwie kamienice. On młody, postawny, w mundurze. Zaimponował jej i zakochali się w sobie.

Kośnikowscy pochodzili z Rygi, gdzie za czasów carskich ojciec ukochanej mojego pradziadka, Piotr Kośnikowski, pracował w arsenale (zbrojownia). Tam też, 18 grudnia 1900 r., urodziła się Wiktoria. W czasie rewolucji październikowej w Rydze panował wielki głód i trzeba było walczyć o przetrwanie. Kośnikowscy spakowali się i uciekli do Łużek. Tam kupili przy ulicy Kościelnej gospodarstwo, drewniany dom kryty

gontem, postawiony na fundamentach z kamienia. Składał się z dwóch pokoi, kuchni, korytarza. Obok znajdowała się drewniana obora również kryta gontem i pięć hektarów ziemi.

W 1926 r. odbył się ślub Franciszka i Wiktorii oraz urodził się im najstarszy syn Henryk. Dwa lata później na świat przyszła córka Anna, zwana Hanką. W 1930 r. dołączył do rodziny mój przyszły dziadek – Jan. A Regina, zwana Kurdulką, urodziła się w 1932 r. To właśnie ona była ukochaną córeczką pradziadka Franciszka.

Prababcia Wiktoria i pradziadek Franciszek przez dziewięć lat mieszkali z rodzicami Wiktorii. Po śmierci Piotra Kośnikowskiego w 1935 r., Franciszek i Wiktoria wybudowali się na dwuipółhektarowej działce przy ulicy Nabrzeżnej. Zamieszkała z nimi praprababcia Magdalena. Dom był drewniany, usytuowany na fundamentach z kamienia, kryty blachą. Był większy od poprzedniego, bo składał się już z trzech pokoi, kuchni, oszklonej werandy, dobudówki na spiżarnię i strychu. Obora stała na kamiennych fundamentach i miała drewniany dach, a pod nią znajdowała się wybetonowana piwnica. Przy domu znalazło się również miejsce na ogródek. Wszystko było otoczone drewnianym płotem. Małżonkowie żyli dostatnio i szczęśliwie. W każdą niedzielę, Wiktoria chodziła na dobroczynne kwesty, a Franciszek z dziećmi na lody.



Franciszek Popławski, Łużki, 5.03.1925 r.



Boże Narodzenie – 1938 r. Na zdjęciu: Franciszek Popławski, Wiktoria, Reginka, Janek, piesek Bobik, Haneczka, babcia Wiktoria i Henryk

Nieuchronnie zbliżała się wojna. 20 sierpnia 1939 r. pradziadek wraz ze swoimi współtowarzyszami wyruszył na manewry w okolice Augustowa. Franciszek Popławski szybko jednak wrócił do domu. Wszyscy się bardzo ucieszyli, a w szczególności dzieci. Gdy dziadek wracał do domu, rodzeństwo mojego dziadka Jana, często sprzeczało się, które z nich ma ściągnąć tacie oficerki. Zdejmowanie oficerek to był cały rytuał. Jak wspominał dziadek Jan: „...*tata siadał na kanapie, któreś z czwórki dzieci stawalo tyłem do niego, chwytało but między nogi, a tata dawał „kopniaka”*”. W tę niedzielę, 27 sierpnia, zjedli razem obiad, a potem poszli na długi spacer. Nikt nie przypuszczał, że to była ich ostatnia taka wspólna niedziela. Już w poniedziałek, 28 sierpnia 1939 r., dziadek Franciszek otrzymał rozkaz powrotu do pułku.

Wojna, niewola, Kozielsk

1 września 1939 r. wybuchła wojna. Tu, na wschodzie, o wojnie się tylko mówiło. Wiedzieli, że na Pomorzu jest Hitler, ale wszyscy byli przekonani, że zaraz pomogą nam Anglicy, Francuzi i wojna szybko się skończy. Byli spokojni, niczego się nie spodziewali. Przez pierwszych kilkanaście dni września 1939 r. pułk nie prowadził żadnych walk. W dniu 13 września oddział pradziadka, przez Baranowicze, Sarny, Łuniniec, dotarł do Równego. Do 17 września pociąg stał na stacji w Kostopolu, gdzie utknął ze względu na zniszczenia torów kolejowych. Tu dziadka zastała informacja o ataku Związku Radzieckiego na Polskę. W nocy z 17 na 18 września pułk rozpoczął marsz w kierunku Dereźna, gdzie dotarli 18 września wieczorem. Tam zapadła decyzja o dalszym marszu na zachód, za Bug, w kierunku grupy gen. Kleeberga. W czasie marszu pułk stoczył walkę w miejscowości Kolki nad rzeką Styr (20 września).

Na pułk KOP uderzył sowiecki 16 pułk strzelecki wzmocniony batalionem czołgów i wspierany przez 212 pułk artylerii i haubic. Po ciężkich walkach bataliony, ponosząc znaczne straty, utrzymywały swoje pozycje. 22 września pułk dziadka podjął próbę opanowania przepraw przez Stochód koło Janówki. W wyniku działań radzieckiego lotnictwa, artylerii i broni maszynowej natarcie załamało się. Pułk poniósł duże straty. Zabitych zostało 35 kolegów dziadka i około 80 zostało rannych. Pułk przerwał walkę i wycofał się w rejon Mielnica–Wilecko. Pod osłoną nocy z 22 na 23 września szeregi pułku opuścili prawie wszyscy żołnierze z mniejszości narodowych. Zdezercerowali. 23 września resztki pułku dotarły do Radoszyna, gdzie zostały okrążone przez sowieckie jednostki pancerne. Pułkownik Zajączkowski podjął decyzję o kapitulacji i sam wyjechał

w cywilnym ubraniu. Wynegocjowane i podpisane przez pplk. Lachowicza warunki kapitulacji przewidywały zwolnienie wszystkich oficerów oraz szeregowych i odesłanie ich do domów. Rozpoczęto składanie broni. Umowa kapitulacyjna została jednak złamana. Wbrew ustaleniom wszystkich oficerów i podoficerów zawodowych zatrzymano jako jeńców. 30 września pplk Lachowicz, prawdopodobnie razem z moim dziadkiem, znalazł się w obozie w Szeptówce na Ukrainie. Następnie jeńców przewieziono przez Kijów do obozu w okolicach Sum, a w początkach listopada 1939 r. do Kozielska.



Portret Franciszka Popławskiego, Kozielsk, 31.12.1939 r.

Listy do żony i dzieci

W tym samym czasie do Łuzek wkroczyli Rosjanie. Mieszkańcy musieli ich przenocować i nakarmić. Wkrótce babcia Wiktoria w liście dowiedziała się, że jej mąż jest w radzieckiej niewoli. W pierwszym liście dziadek namawiał babcie na wyjazd z dziećmi do Warszawy do siostry – tak pisał: „[...] weź dzieci i jedźcie do siostry w odwiedzinę. Dawno u niej nie byłaś. Musicie ją odwiedzić”.

Babcia Wiktoria nie rozumiała, dlaczego mąż tak upierał się na ten wyjazd. Zrozumiała to dopiero po latach, podczas pobytu w Kazachstanie, że dziadek chciał uchronić rodzinę. Babcia Wiktoria uznała, że wojna nie jest najlepszym czasem na podróż. Wolą pilnować domu i dobytku. Na początku 1940 r. z Kozielska nadeszła do żony kartka z Sylwestra 1939. Kartka była własnoręcznie narysowana przez kolegę dziadka z celi. Znajdował się na niej portret Franciszka z dopiskiem: „Rozłączeni przestrzenią przez Los. Lecz serc naszych nikt nie rozłączy. Twój wierny Franek”.

Później nadszedł list i druga kartka. Na drugiej kartce znajdowała się postać w mundurze i na niej dziadek Franciszek napisał do najmłodszej córki Reni:

„Moja kochana Reginko Kurdulko!

Jak Twoje zdrowie? Tatuś jest zdrow i stale myśli o swojej kochanej córuchnie. Tatuś stoi w swoim mieszkaniu przy piecu, na którym stoi wiaderko

i menażka. To podarunek dla Kurdulki na gwiazdkę od kochającego swoją córuchnę Tatusia”.



Portret Franciszka Popławskiego. Kozielsk, styczeń 1940 r.

Ostatni list został napisany 17 stycznia 1940 r. do babci:

„Droga i kochana Wikciu,

Z niecierpliwością oczekiwany list otrzymałem 16 bm, za który serdecznie dziękuję. Kochana, jestem nieograniczenie rad, że jesteście wszyscy zdrowi i na miejscu. Wiem, że jest Wam ciężko bez mojej pomocy, gdyż 6 osób wyżywić jest ciężko, w dodatku w tych czasach. Prawie każdą noc śnię o Was, czyli nocą jestem jakby w domu. Niestety, rano wielkie rozczarowanie. Ale to nic. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kiedy będziemy razem, to będziemy się lepiej szanować i miłość wzajemna wyrośnie. Na razie nic, że jest Ci ciężko moja Kochana. Musisz sobie sama radzić. Los rozłączył nas, musiałem Was zostawić, choć serce moje płacze, a nie wiem, kiedy cię zobaczę. Może wkrótce. Chętnie bym przyjechał do Ciebie, Kochanie, jak najprędzej. Trudno, nie ode mnie to zależy. Przyjdzie czas, że będziemy razem. Nie przejmuj się tym, Kochana, bądź dobrej myśli, staraj się żyć. Nie żałuj sobie niczego, nie patrz na mnie. Sprzedaj co możesz, aby nie głodować i nie marznąć. Najważniejsze, nie martw się o mnie. Ja sobie daję radę, nic mi nie dolega, jestem zdrow i czuję się dobrze. Życzę Wam zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności w '40 r. Byśmy się w tym roku spotkali, a dawnośmy się nie widzieli.

Kochanie, co do mnie bądź dobrej myśli. Kocham Cię więcej niż dawniej. Napisz mi jak życie, czy dom opalony.

Gdybym był w domu nie miałabyś kłopotu. Dasz sobie radę. Pamiętasz, zawsze mówiłaś: bez ciebie też dam sobie radę. Ot i zabrakło Ci Franka. Sprawę krawca i tartaku z Wilna nie załatwiał, jak wrócę, to załatwię. Niech poczekają. Napisz mi koniecznie, czy otrzymałaś we wrześniu wszystkie pieniądze – 37 250 zł pierwszej raty z Augustowa, druga z Baranowicz...

Proszę Cię Kochana, nie wysyłaj mi żadnej paczki. Buty mam, dałem sobie tu podzelować za 7 rubli. Ubranie mam jeszcze dobre i bieliznę. Piżamę sprzedałem. Spytaj się o zegarek, bo bym swój sprzedał tutaj przed wyjazdem. A moje ubranie czy jest w domu?

Pisz Kochanie często i dużo. Na mnie nie zwracaj uwagi. Obawiam się o Twoje zdrowie, Kochana. Proszę bardzo, nie przejmuj się niczym. Koń ma duży łeb, niech się martwi. Biedna nasza Reginka kochana. Cieszy mnie, że Hania się dobrze uczy, dobrze, że chodzi do szkoły. Kochanej Regince przesyłam oddzielną pocztówkę. Będzie się cieszyć, że tatuś do niej napisał. A jak pozostałe dzieci, czy posłuszne i czy się dobrze uczą? Ucz i Reginkę.

Jaka tam pogoda bieżącego roku? Tutaj mamy silne mrozy, ale można wytrzymać. Masz się nie przejmować. Dobrze, że się uczyłem po rosyjsku, teraz się przydaje.

Jak mieszkanie, czy piec dobrze grzeje i jest cieplej jak przedtem?

Jak z mieszkańcami? Czy jeszcze ktoś mieszka z Tobą? Dziwi mnie, że Hanka nic nie pisze.

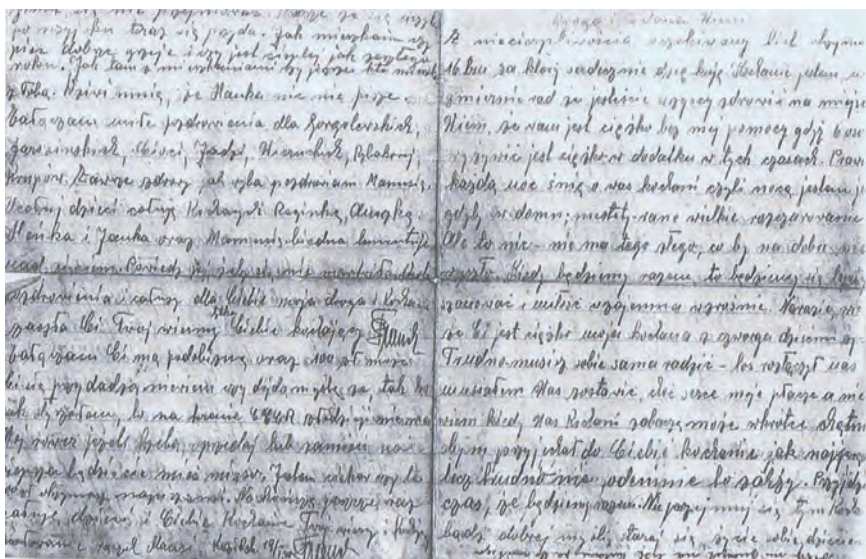
Dołączam mile pozdrowienia dla Dorgolewskich, Jaźwińskich, Ubiereńni, Jadzi... Zawsze zdrowy jak ryba pozdrawiam Mamusię. Pozdrów dzieci. Całuję Reginkę, Aneczkę (Hanke), Heńka, i Janka oraz Mamusię. Biedna lamentuje nad zięciem. Powiedz jej, żeby się nie martwiła. Pozdrowienia i całusy dla Ciebie Kochana.

Zawsze wierny i kochający Franek

Wysyłam podobiznę wraz ze 100 zł. Nie wiem czy dojdą, myślę że tak, bo jak słyszałem na terenie ZSRR złodziejstwa nie ma.

Co możesz, sprzedaj lub zamień na wieprza. Będziecie mieć mięso. Jestem ciekaw czy te 100 zł otrzymasz. Napisz mi.

No, kończę na razie. Całuję dzieci i Ciebie Kochana. Twój kochający. Ucałowania rąk Mamusi”.



List Franciszka Popławskiego do Wiktorii. Kozielsk, styczeń 1940.

Pradziadek w swoich listach bardzo martwił się o losy swojej rodziny i jej przyszłość. Pocięszal prababcie, a przecieź i jemu nie było lekko.

Kozielsk, las katyński, Syberia, Kazachstan

W obozie w Kozielsku jeńcy mieszkali w budynkach poklasztornych.

Klasztor liczył kilkanaście budynków, przeważnie murowanych, w tym kilka cerkwi. Otoczony murem i fosą. W grubych murach klasztornych zimą (mróz przekraczał 40 stopni), mimo pieców, było zimno. Spali po 500 osób w pomieszczeniach na 3 piętowych pryczach. Listy wolno było pisać raz na miesiąc. Więźniowie musieli podać swój adres pocztowy jako „dom wypoczynkowy imienia Gorkiego” w Kozielsku. To miejsce pobytu musiała po latach potwierdzić babcia Wiktorii, kiedy w Kazachstanie była przesłuchiwana.

Wiosną 1940 r. w obozie zaczęto mówić o przewidywanym powrocie do Polski. Jeńcy cieszyli się, że wracają do domu. W Kozielsku transporty rozpoczęły się i trwały od 3 kwietnia do 11 maja. Jeńców dowożono pociągami do stacji Gniazdowo, a następnie w lesie katyńskim mordowano. Dokładnej informacji, w którym transporcie pradziadek Franciszek dotarł do stacji Gniazdowo i kiedy zginął, nie udało się ustalić. Dopiero podczas ekshumacji zbiorowych mogił w lesie katyńskim, w 1943 r., zwłoki pradziadka Franciszka Popławskiego zostały zidentyfikowane i zarejestrowane pod numerem PCK (AM) 02363. Przy zwłokach znaleziono znak tożsamości, list i kalendarzyk kieszonkowy.

Natomiast w Łużkach, 13 kwietnia 1940 r. o godzinie 3.30 nad ranem, żołnierze NKWD załomotali do drzwi prababci Wiktorii. Otrzymała pół godziny na spakowanie rzeczy.

Wóz czekał na nich przed domem. Dziadek Jan, wspominał ten dzień po latach. Prababcia Wiktoria wraz ze swoją mamą załamywały ręce i błagały o zmiłowanie i gdyby nie pomoc sąsiadki, żony rosyjskiego oficera, nie poradziłyby sobie w transporcie na Syberię, która domyślała się, dokąd pojedą sąsiedzi. Przybiegła, spakowała trochę pościeli, ciepłych ubrań, oczywiście listy Fanka i kilka zdjęć. Wiktorię i jej matkę enkawudziści wrzucili siłą na wóz, a także czternastoletniego Heńka, dwunastoletnią Annę, dziesięcioletniego Janka i ośmioletnią Reginę-Kurdulkę. Potem, gdy dotarli na stację kolejową Podświle, zaczęła się droga na Syberię.

„Podróżowali” w wagonie towarowym. Było w nim 18 osób dorosłych i 35 dzieci. Początkowo jechali w zamkniętych wagonach pod eskortą. W czasie transportu dostawali trochę chleba i dwa wiadra wrzątku. W Pawłodarze załadowano ich na barki i Irtyszem popłynęli do Semijarska, a dalej samochodami i furmankami rozwieziono ich do poszczególnych miejscowości.

Mieszkali po kilka rodzin w prymitywnych lepiankach z glinianą podłogą. Spali na podłogach. Nie było tam łóżek, stołu ani krzeseł, ani kawałka chleba. Każdego dnia Wiktoria wspominała sąsiadkę z Łużek, bo przez nią spakowane rzeczy były jedynymi, jakie mieli w Kazachstanie. Podczas pobytu na tamtych terenach, jak wspominał dziadek Jan, zetknęli się z potomkami zesłańców z powstania styczniowego. Otrzymali od nich trochę otrębów, trochę zmrożonych ziemniaków, jakieś wiaderko, żeby mieli w czym zagotować wodę i by nie pomarli z głodu.

Kiedy dzieci: Ania, Heniek i Janek podrosły, musiały razem z mamą i babcią pracować w lesie albo w cegielni. Kiedy wieczorem wszyscy wracali do domu, nie mieli nawet siły by się modlić, ale wtedy przypominali sobie tatusia, który w domu zawsze klękał przy łóżku przed świętym obrazem i modlił się. To im dodawało sił. W Kazachstanie obrazu świętego nie było, modlitwy były zakazane, a oni modlili się o powrót do Polski i żeby najęść się do syta. Pewnego razu prababcia Wiktoria poskarżyła się, że jej dzieci tak ciężko pracują i nawet nie mogą się porządnie najęść, a już wieczorem zabrano ją i dzieci kibitką na komisariat NKWD. Dzieci zostały przed bramą, a ją poddano przesłuchaniom. Pytano gdzie mąż. Ona powiedziała prawdę – zginął w Katyniu. Enkawudziści krzyczeli, że tak nie wolno mówić i chcieli ją aresztować. Błagała, żeby ją wypuścili, bo dzieci same

na świecie. Musiała przysiąc i podpisać, że nie będzie o tym rozpowiadać. Wysłuchali i wypuścili. Listy i fotografie stały się jedyną pamiątką, jaką miała po mężu.

Łobez, Świdwin, Dęblin, Korytowo, Granowo, Choszczno, Gorzów Wielkopolski, Szczecin, Smoleńsk

Kiedy wojna się skończyła prababcia Wiktoria chciała wracać do Polski. 7 lutego 1946 r. polsko-radziecka komisja do spraw Ewakuacji Osób Narodowości Polskiej i Żydowskiej na podstawie umowy z 6 lipca 1945 r. wydała zaświadczenie nr 15055, że obywatelka Wiktoria Popławska, córka Piotra, udaje się wraz z członkami swej rodziny Anną, Janem, Reginą na pobyt stały do Polski. Nie było już z nimi matki Wiktorii, Magdaleny Kośnikowskiej. Zmarła na nieprzyjaznej ziemi i na zawsze już tam pozostała. Tak jak jej zięć Franciszek oddalony o tysiące kilometrów od swoich potomków.

Najstarszy syn Popławskich – Henryk 30 września 1944 r. został powołany do wojska i był w 1. Armii Wojska Polskiego generała Berlinga. Przyłączył się do niej nad Oką i dotarł do Berlina, stamtąd wrócił do Polski, do rodziny.

Prababcia Wiktoria z dziećmi dojechała pociągiem do Łobza. Tam dostała poniemiecki dom, najgorszy w okolicy, bo wszystkie lepsze były już zajęte. Dostali na początek kopiec ziemniaków, deputat na mleko oraz pracę w PGR. Bardzo się z tego cieszyli, bo nie byli wreszcie głodni. We wszystkie święta, gdy zbierała się cała rodzina, prababcia Wiktoria zawsze wspominała pradziadka Franciszka i szczęśliwe życie, jakie wiedli w Łużkach. Czytali wtedy jego ostatnie listy.

Wujek Henryk po wojnie skończył szkołę w Dęblinie, został zawodowym wojskowym i pracował tam jako nawigator. Później przeniósł się do jednostki w Świdwinie. Po kilku latach, ze względu na problemy ze zdrowiem, musiał zrezygnować z wojska. Podjął pracę w PGR. Ożenił się, miał troje dzieci: Jacka, Mariolę i Małgorzatę. Mieszkał w Granowie. Zmarł w 1976 r.

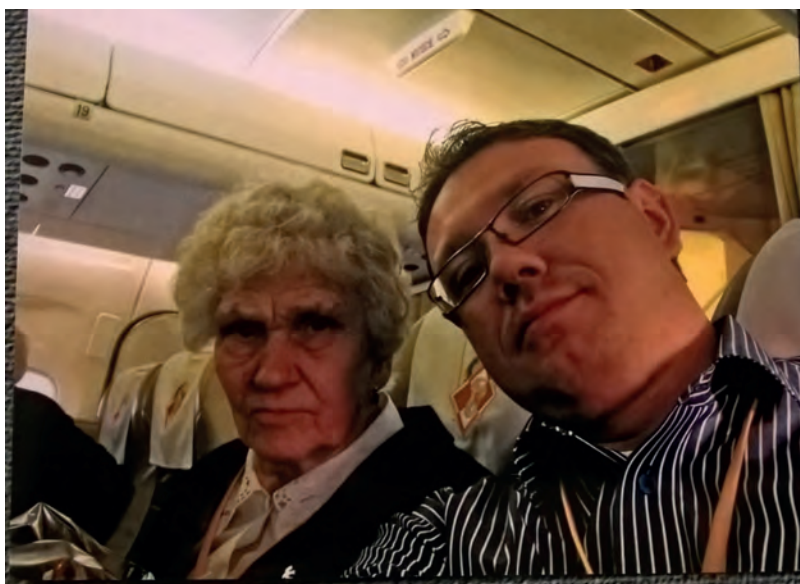
Ciocia Regina, zwana Kurdulką, skończyła szkołę średnią i pracowała w PGR jako księgowa. Wyszła za mąż i miała syna Jana. Zmarła w 1990 r.

Mój dziadek Jan ukończył technikum rolnicze i studia na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Był przez kilkanaście lat kierownikiem zakładu rolnego, a przed emeryturą rewidentem. Ożenił się z Genowefą Kościukiewicz, która również w czasie wojny była deportowana do Wołożyna. Mieli czworo dzieci: Teresę, Elżbietę, Grażynę i mojego tatę Marka. Dziadek

zmarł 17 października 2002 r., miesiąc po moich narodzinach. Najstarsza córka dziadka Franciszka, Anna (w domu zwana Hanką), wyszła za mąż za Stanisława Borowskiego i miała syna Franciszka. Mieszkała w Gorzowie Wielkopolskim, nie zdobyła wykształcenia, pracowała jako dozorca i palacz.

Anna w 2000 r. była pierwszy raz na grobie ojca w Katyniu. Pojechała tam pociągiem. Podróż, trwała cztery dni i była bardzo męcząca.

W 2010 r. bardzo chciała ponownie pojechać na grób ojca. Czuli, że to będzie jej ostatnia podróż, bo miała już 82 lata. Ze względu na jej stan zdrowia i wiek, cici Haneczce udało się zdobyć dwa miejsca w samolocie prezydenckim. Miał z nią polecieć syn Franciszek, który nigdy nie był na grobie dziadka, ale nie dostał urlopu w pracy, dlatego na wyjazd zdecydował się jej wnuk Bartosz. Nigdy nie dotarli na miejsce. Zginęli w katastrofie lotniczej 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem.



Ciaćka Haneczka Borowska i jej wnuk, Bartosz Borowski, na pokładzie samolotu prezydenckiego – 10 kwietnia 2010 r.

Nie żyją już moi pradziadkowie Wiktoria i Franciszek oraz ich wszystkie dzieci. Pozostały po nich wspomnienia, listy i zdjęcia.

I tak historia mojej rodziny splotła się już nie tylko z przeszłością, ale i z teraźniejszością. Te wszystkie wydarzenia historyczne – Bitwa Warszawska, wojna obronna, agresja radziecka, obóz w Kozielsku, egzekucja w Katyniu, pobyt w Kazachstanie i losy powojenne aż do tragedii pod Smoleńskiem w 2010 r., są nie tylko częścią mojej tradycji rodzinnej, to także historia Polski. W tych wydarzeniach uczestniczyli ludzie mi niezwykle bliscy, bohaterowie i patrioci. Osoby godne pamięci i szacunku, dla których liczyły się takie wartości jak – BÓG, HONOR, OJCZYZNA. Dowodami tych wydarzeń są zdjęcia i korespondencja.

Aleksandra Jendryczka

Szkoła Podstawowa nr 53 im. Fryderyka Chopina w Szczecinie

Moja pamiątka rodzinna

Tradycyjny zegarek kieszonkowy to niewielki przenośny przyrząd do odmierzenia czasu. Mój szwajcarski czasomierz został wyprodukowany w 1930 r. przez firmę Gallone. To dumnie brzmiący model – Favor. Dla mnie jest najcenniejszą pamiątką, kryjącą w sobie prawdziwe historie i niezwykle tajemnice. Zegarek należy do mnie od dwóch lat. Jestem typową nastolatką, mam piętnaście lat i bardzo chciałabym opowiedzieć historię niezwykle kieszonkowego zegarka.

Anna Heger urodziła się w 1878 r. w zamożnej niemieckiej rodzinie. Niewiele wiem o jej życiu przed rozpoczęciem drugiej wojny światowej. W momencie jej wybuchu mieszkała w Chemnitz, miejscowości położonej w południowo-wschodnich Niemczech. Miała wtedy 61 lat. Zaangażowała się w pomoc jeńcom wojennym w tamtejszym szpitalu.

Zygmunt Makowski przyszedł na świat w 1918 r. w Pułtusku, w zamożnej polskiej rodzinie. Kiedy wybuchła druga wojna światowa miał 21 lat. Postanowił walczyć – zaciągnął się do pułku ułanów. Trafił na front niemiecki, a w 1942 r. został ranny i znalazł się w szpitalu w Chemnitz.

To miejsce połączyło losy starszej Niemki i młodego Polaka. Anna pracowała w szpitalu jako wolontariuszka. Pomagała Polakom jak tylko mogła, nie godziła się na śmierć młodych ludzi bez względu na ich pochodzenie. Swoimi działaniami ryzykowała własne życie.

W czerwcu 1942 r. do szpitala trafił młody Polak imieniem Zygmunt. Annę bardzo zainteresowała jego otwartość na świat. Niestety, był ciężko

ranny w nogę, co groziło jej amputacją. Anna wykorzystwała wszystkie możliwości, aby ocalić młodego mężczyznę. Pewnego dnia Zygmunt zapytał ją o godzinę. Wtedy Anna postanowiła, że sprezentuje mu zegarek. Kiedy wróciła do domu, przeszukała szkatułki i w jednej z nich znalazła upragniony czasomierz.

Teraz to równie niezwykle zegarek kieszonkowy o średnicy 4,5 cm, z podwójnie zamykaną kopertą. Wykonany ze srebra, a na zewnątrz złocony. Cechuje go misternie zdobiony motyw roślinny. Mechanizm zegarka charakteryzuje się szwajcarską precyzją. Z boku znajduje się pokrętło do nakręcania i ustawiania czasu. Jest to niewielka gałeczka zamknięta w owalu, zdobiona grawerunkiem w paski. Tarcza zegarka wykonana została z białej ceramiki. Na niej widnieją liczby oznaczające godziny od 1.00 do 12.00, zapisane czarną, pochylą czcionką. Ciekawostką jest, że na obwodzie zewnętrznym znajduje się drobniejszy zapis liczb w kolorze czerwonym wskazujący godziny od 13.00 do 24.00. Pod liczbą 12 na tarczy znajduje się zapisana nazwa modelu: FAVOR. Pod logo zamocowano wskazówki: godzinową i minutową. One również są wykonane ze srebra i dodatkowo złoczone. Wśród nich znajduje się jeszcze sekundnik z jedną wskazówką. Został mistrzowsko wyrysowany czarnym kolorem na białej tarczy. Ten model zegarka szczególnie upodobali sobie również esesmani. W jaki sposób Anna weszła w posiadanie tego czasomierza? Nie wiem, czy był to przypadek, czy ktoś z rodziny był w SS? To pozostanie na zawsze tajemnicą.

Kolejnego dnia Anna podarowała zegarek Zygmuntowi. Od tej pory towarzyszył mu on w jego codziennym życiu. Anna, która nie była przeciętną Niemką, szczególnie upodobala sobie Zygmunta. Pomogła przenieść go na oddział z najwyższym poziomem opieki, gdzie był tam bardzo dobrze traktowany, o czym świadczą zdjęcia wykonane na łóżku szpitalnym wraz z personelem tego szpitala. Zegarku, ty już byłeś świadkiem tych wydarzeń? Po długim pobycie w szpitalu, Zygmunt nie wrócił od razu na front, Anna uznała, że potrzebuje rekonwalescencji, aby mógł odzyskać siły. Zaprosiła go do swojego domu. Anna, która nie miała własnych dzieci, traktowała Zygmunta jak syna. Chciała za wszelką cenę go ocalić i zaproponowała,

że go zaadoptuje. Niestety, Zygmunt nie zgodził się, mimo tego że bardzo lubił Annę i był wdzięczny za opiekę. Anna nauczyła Zygmunta mówić po niemiecku. Bardzo, bardzo chciała go chronić. Ale Zygmunt chciał wracać do Polski. W dniu wyjazdu, na tylnej kopercie zegarka pojawił się wygrawerowany napis: Synowi – Matka. Wręczyła mu również własne zdjęcie z odręczną dedykacją zapisaną ołówkiem: *Meinen lieben Sigmund zur freundlichen Erinnerung an Ihre Anna Heger* (Mój drogi Zygmuncie – jako przyjazne wspomnienie twojej Anny Heger).

Zygmunt wrócił do Pultuska, mając zawsze w pamięci Annę i kieszonkowy zegarek, z którym nigdy się nie rozstawał.

W Pultusku na Zygmunta czekała Rozalia, młoda dziewczyna umęczona wojną. Czekala na wieści o życiu ukochanego. Od jego powrotu w rodzinne strony ich wspólny czas odliczał im mały kieszonkowy zegarek. I tak oto po zapamiętanym przez ów czasomierz bolesnym rozstaniu z Anną, stał się on świadkiem ich ślubu, jednocześnie lez radości i miłości zakazanej. Zygmunt popełnił mezalians, żeniąc się z ubogą i niewykształconą Rozalią. Rodzina Zygmunta skazała ich na ostracyzm. Mężczyzna spakował swoje rzeczy, zabrał młodą żonę i udał się na zachód. I tak oto zegarek po raz kolejny wyruszył w podróż, tym razem do Szczecina.

Miasto przyjęło małżonków z otwartymi ramionami. Potrzeba było w nim ludzi wykształconych i znających języki. Zygmunt ze względu na znajomość niemieckiego od razu dostał pracę pośrednika przydziału mieszkań dla Polaków i Niemców. Zamieszkał z żoną na terenie ówczesnej stoczni rzecznej (dzisiejsze okolice ul. Heyki) w niewielkim budynku z ogródkiem. Młode małżeństwo doczekało się pięknej córki Krystyny, która przyszła na świat w 1946 roku o godz. 5.30 – jak wskazywał maleńki zegarek. Nastaly szczęśliwe chwile, a zegarek uśmiechał się i błyszczał radością. Rok później przyszła na świat druga córka, Janina. Niestety, ta radość nie trwała długo. Janeczka zmarła jako kilkumiesięczne niemowlę – był to ogromny cios dla małżeństwa. Zegarek już nie błyszczał tak jasno.

Po burzy jednak zawsze przychodzi słońce. Wkrótce Zygmunt był coraz bardziej ceniony w mieście, został oficerem portowym. Skrywał jednak pewną tajemnicę przed żoną i córką. Ten sekret znał tylko zegarek. Otóż Zygmunt był członkiem Armii Krajowej.

Każda działalność nieakceptowana przez rządzących, była likwidowana za wszelką cenę i wszelkimi metodami. Zegarek zaczął pokrywać się patyną i pewnego wieczoru zupełnie stracił blask – wtedy Zygmunt został aresztowany przez SB w 1949 r. Za swoją działalność zesłano go do pracy w Kopalni Siemianowice. Zegarek został tam skonfiskowany wraz z innymi rzeczami i trafił do depozytu. W trakcie aresztowania Zygmunt był bity, a zegarek upadł na ziemię i się potłukł. Popękała porcelanowa tarcza, odpadła wskazówka sekundnika, a zegarek coraz bardziej pokrywał się nalotem mijających dni. Zygmunt w kopalni robił wszystko, żeby skrócić czas pobytu pod ziemią, pracował ponad siły. Walczył o sprawiedliwość do końca swoich dni. W dniu 16.09.1952 r. został zastrzelony przez służby, dla których jego niezależność i hart ducha były zagrożeniem. Trzy dni później ogłoszono amnestię dla więźniów z tej kopalni. Ksiądz, który pracował z Zygmuntem – przeżył. Przyjechał do wdowy Rozalii z rzeczami Zygmunta i rzewnie płakał. Wśród tych rzeczy znajdował się poszarzały i już zniszczony zegarek kieszonkowy.

Przez kolejne lata zegarek był własnością mojej babci Krystyny, córki Zygmunta. Dzięki niemu odkrywam historię mojej rodziny, która nie zawsze była usłana różami.

Anna Heger zmarła w 1966 r. w Chemnitz, nie miała dzieci i nigdy już nie spotkała się z Zygmuntem.

Mój zegarku, byłeś świadkiem miłości, wierności, odwagi, dobroci i oddania. Widziałeś okrucieństwo, niesprawiedliwość, cierpienie i śmierć. Skrywasz w sobie jeszcze wiele historii, których nie znam i nie poznam już nigdy. Będziesz na pewno jeszcze towarzyszył mi w mojej drodze przez świat, zobaczysz moje sukcesy, ale i porażki, zanotujesz w swojej kopercie moje wylane łzy i uśmiechy, złamane serce i szczęśliwą miłość – taką mam nadzieję. A kiedyś – po wielu latach – będziesz towarzyszył kolejnemu właścicielowi w jego podróży przez życie. Jak wiele wspomnień jesteś w stanie pomieścić, tego nie wie nikt.



Kamila Zdebska

Spoleczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Noblistów Polskich
Spolecznego Towarzystwa Oświatowego w Szczecinie

Nie był to dzień wyjątkowy. Był to taki dzień, który raczej można zaliczyć do tych ponurych, nudnych, niczym się różniącym się od pozostałych. Nic nie wskazywało na to, że właśnie tego dnia, kiedy nic wyjątkowego nie ma prawa się wydarzyć, odkryję coś, co zmieni sposób, w jaki postrzegam moją własną rodzinę...

Odwiedziny u babci również nie należały do tych nadzwyczajnych. Nie był to ten dzień, kiedy spotykamy się wszyscy razem, nawet z daleką rodziną i świętujemy jakąś okazję. Nic z tych rzeczy. Jak co tydzień udaliśmy się do naszej kochanej babulki. Zawieźliśmy zakupy, porozmawialiśmy, pomogliśmy z porządkami. Właśnie. Kto by pomyślał, że właśnie podczas wykonywania tej najprostszej czynności, bo co może być prostszego od ułożenia małych obrazeczków, które moja babcia kolekcjonuje na swojej komodzie, dokonam niezwykłego odkrycia. Żwawo zabrałam się do pracy, gdyż nie ukrywam, że miałam dużo na głowie. Sięgnęłam po nieco zakurzoną jaskrawą ściereczkę i delikatnym, ostrożnym ruchem, aby nie strącić żadnego z portrecików, zaczęłam przecierać półeczki, wszelkie najmniejsze zakamarki tak, aby ta komoda, która wydaje się być dla babci niezwykle cenna prezentowała się jak najlepiej.

Zbliżałam się już ku końcowi. Przecierałam ostatnie kąty, kąciki, cofnęłam się nawet, aby zobaczyć, czy mogę coś jeszcze ewentualnie dopieścić. Już odchodziłam, już byłam przekonana, że wszystko skończyłam, odwróciłam się, aby kończąc swój obowiązek, położyć ściereczkę na ażurowym obrusiku, lecz coś mnie powstrzymało. Nie. Zwątpiłam. Co może być wątpliwego w czymś, co wykonuję tak często, że nawet obudzona w środku nocy mogłabym z precyzją dokonać z przepaską na oczach. Przetarłam prawe oko. Bez zmian. Lewe. Bez zmian. Czyżby na komodzie babci, rzeczywiście pojawił się nowy obrazek? A właściwie, czy to jest obrazkiem? Podeszłam bliżej, aby przyjrzeć się czemuś, co z całą pewnością pierwszy raz widziałam na oczy. Ostrożnie wzięłam przedmiot do ręki. Przybliżyłam tajemniczą pamiątkę do twarzy i poczułam charakterystyczną woń rzeczy starych, przestarzałych. Woń, której nie jest się w stanie zastąpić jakąkolwiek inną. Jedyna w swoim rodzaju. Odurzona zapachem poczułam jak najdelikatniej macać przedmiot w poszukiwaniu jakichkolwiek zadrapań,

wgnieceń, uszkodzeń... Niczego nie znalazłam. Było niczym nowe, niczym świeżo z fabryki. Z pewnością był bardzo pielęgnowany i troskliwie przechowywany przez poprzedniego właściciela.

– Właśnie! – myśl wyrwała mi się na głos.

– Tak, kochanie?

Po pewnej chwili zamyślenia szybko zakończyłam dialog, gdyż na pewno nie miałam wtedy ochoty na dyskusję. Miałam coś zdecydowanie ważniejszego do roboty.

– Co to jest? – szepnęłam cichuteńko jakby sama do siebie w oczekiwaniu na odpowiedź lub jakkolwiek wskazówkę, która przybliżyłaby mnie choć troszeczkę do sedna sprawy.

Na tajemniczym czymś widniał pewien napis. Napis, którego nie mogłam przeczytać. Czy był w języku polskim? Trudno powiedzieć, gdyż każda literka była wygrawerowana inaczej. Poza tym jakieś cyfry. Przyłożyłam ostrożnie palec z nadzieją, że przynajmniej zmysł dotyku mnie nie zawiedzie. Nic z tego. Wreszcie wzięłam szmatkę i pozbyłam się grubej warstwy kurzu, która z pewnością utrudniłaby mi wszelkie próby rozszyfrowania tajemniczego napisu. Przyjrzałam się jeszcze raz dokładniej, wytyżając mój wzrok. Starannie przeczyściłam okulary w nadziei, że poprawi to trochę sytuację.

– Same litery – szepnęłam zawiedziona.

Spięłam się w sobie i skupiłam się na napisie. Tylko on dla mnie wtedy istniał. Książki, na których tle trzymałam krzyż, zaczęły się powoli rozmywać, a ja stopniowo zbliżając krzyż do moich oczu, zaczęłam szeptać: – Monte Cassino. Nie... – Niecierpliwie przetarłam oczy, gdyż z wysiłku moje pole widzenia zaczęło powoli słabnąć. – Monte Cassino maj 1944!

Mimo ogromu emocji, który kumulował się teraz we mnie, starałam się powstrzymać od podekscytowanego skakania i piszczenia z radości. Mam to! Delikatnie odłożyłam krzyż, a okulary niedbale rzuciłam na łóżko. Buch! Z impetem opadłam na fotel, wykończona tym dreszczem emocji, który od chwili odnalezienia tej rzeczy przepływał przeze mnie z coraz to większym napięciem. Odetchnęłam z ulgą. Po paru minutach zasłużonego odpoczynku przygotowałam sobie ciepłą herbatkę, która kojąco zadziałała na moje wysuszone gardło. Postanowiłam się nie poddawać. Jak tylko wypilam do końca ostatnie krople aromatycznego napoju, wróciłam do pracy. Wyjęłam z należyłą ostrożnością krzyż. Zaczęłam analizować. A konkretnie ten jeden elementu przedmiotu, a mianowicie... Właśnie... Sęk tkwi w tym, że nie byłam za bardzo w stanie zdecydować się na jedną

konkretną nazwę, która mogłaby najlepiej nazwać ten element. W każdym razie był to materiał, na którym za pomocą malutkiej zawieszki wisiał swobodnie krzyż. Wstążka ta miała dwa kolory. Niebieski i pomarańczowy. Ze względu na moje braki w plastyce, nie jestem w stanie do końca sprecyzować, jakie były to odcienie. Nie trzeba mieć na pewno wiedzy plastycznej, aby dostrzec, że obie barwy były nieco wyblakłe. Nie były to kolory intensywne. Spokojne, rozsądnie wymierzone, z umiarem. Chcąc poznać jeszcze bardziej zagadkowy przedmiot, powoli zamknęłam oczy. Poprawiłam order tak, aby nie wypadł mi z ręki i dwoma palcami zaczęłam delikatnie muskać wstążkę orderu.



– Ach! – z moich ust wyrwało się westchnienie.

Wstążeczka ta była niezwykle przyjemna w dotyku. Poczulałam przez chwilę, jakbym zatapiała się cała w jakiejś niezwykle milej i mięciutkiej kolderce, która idealnie mnie otula i zapewnia poczucie bezpieczeństwa i rozluźnienia. Leciutko zatopiłam opuszek mojego palca w tkaninie, aby docenić jeszcze raz wartość oraz doskonałość tego niezwykle odznaczenia.

Nie wytrzymując napięcia, wykrzyknęłam:

– To jest to, odznaczenie!

– Już idę skarbie, już idę! – usłyszałam zachrypnięty głos babci.

Chciałam odkrzyknąć: „Nie, nie ma takiej potrzeby! Nic się nie dzieje!”. Już otwierałam usta z chęcią odpowiedzi, gdy w ostatnim momencie zakryłam je rękoma. Nie! Zabrzmiało by to zbyt podejrzanie. Słyszac zbliżające się odgłosy kapci, upewniłam się, czy wszystko jest w najlepszym porządku. Jak najciszej odłożyłam order na szklaną półeczkę, rozglądając się jeszcze dookoła w obawie, że pozostawię coś nieodpowiedniego, co mogłoby zdradzić moje dochodzenia. Podbiegając na paluszkach do kanapy, przyjrzałam się jeszcze, czy nic nie przykuje uwagi sokolego oka babci. Znam babcię od wielu lat i wiem z mojego doświadczenia, że najmniejszy detal czy niedociągnięcie z łatwością zostanie przez nią zauważone i natychmiast wytknięte palcem. Sięgnęłam szybko po filiżankę herbaty, udając, że dopijam napój do końca. Oblizując się dookoła ust, dostrzegłam babcię stojącą w drzwiach. Widok przeraził mnie. Uczucie to zdziwiło mnie samą. W mojej głowie od razu pojawiła się myśl: Od kiedy ona tu stoi? Czyżby mogła coś zauważyć. Z jednej strony bardzo w to wątpiłam. Jakim cudem babuleńka w podeszłym wieku miałaby dostrzec coś dziwnego w moim zachowaniu. Ja siedząca na skórzanej, beżowej kanapie z poprzedniego stulecia oraz trzymająca z gracją porcelanową filiżankę. Czy jest w tym coś podejrzanego? Z drugiej strony... I w tym właśnie momencie moje przemyślenia oraz wszelkie z wątpienia zostały przerwane nagłym i krótkim chrząknięciem babci. Powiedzieć coś? Martwiłam się, że jakiegokolwiek ruchu bym nie wykonała, nawet sam fakt, że siedzę, może wzbudzać pewne podejrzenia. Wreszcie po kilkusekundowej ciszy, która z mojej perspektywy wydawała się wiecznością nieśmiało spytałam:

– Coś się stało babciu?

Nie spodziewając się tak szybkiej i jakby przemyślanej odpowiedzi, usłyszałam:

– Z tym samym pytaniem i ja do ciebie przychodzę. Czy wszystko w porządku, moja kochana?

Jej głos sprawiał wrażenie jakby bardziej zimnego i zniecierpliwionego niż zwykle. Zbierałam w myślach słowa, które brzmiałyby jak w miarę rozsądna odpowiedź, gdy nie będąc tego nawet świadoma, skierowałam wzrok na krzyż oraz jego urokliwą wstążeczkę, która spoczywała na szklanej półeczce. Szybko oderwałam wzrok od orderu, gdy..

– Ach! Przypominasz mi teraz siebie w twoim wieku, która z początku też z takim zapatrzeniem wpatrywała się w ten nietuzinkowy order. Fakt. Jest on niezwykle. A mamy go... ach... dzięki tej jednej osobie. Dumie naszej rodziny.

Od pierwszych słów babci byłam w niemalym szoku, ale po tym, co teraz wypowiedziała, włosy zaczęły jeżyć mi się na skórze. Czyżby babcia domyśliła się? Nie no to... To po prostu nie możliwe! Nie powiedziałam niczego, co mogłoby sugerować, że próbowałam rozwikłać zagadkę tajemniczego orderu.

– Stop! – wyszeptalam w końcu sama do siebie z zaciśniętymi wargami dla niepoznaki. Po ostatnich słowach babci przeraziłam się, że jakakolwiek myśl, która przeleci teraz przez moją głowę, zasugeruje babci, że dotknęłam tego... Nie! Nie mogę o tym myśleć, nie mogę o tym myśleć! Mina babci, którą bacznie obserwowałam kątem oka, nie wskazywała na dobre potoczenie się dalszej naszej dyskusji. Zamurowało mnie. Prerażona, że wpadłam w ogromne tarapaty, ujrzałam babcię zmierzająca w moją stronę. Usiadła niedaleko mnie i przyjęła pozę bardzo dla niej charakterystyczną. Jak my to nazywamy – poza hrabiny. Westchnęła i zaczęła:

– We wrześniu roku 1939 r. wraz ze swoimi rodzicami oraz dwiema siostrami mieszkaliśmy w Świecianach, miście położonym na Litwie, na Wileńszczyźnie, niedaleko Wilna. Wraz z wybuchem II wojny światowej mój tata Józef Cieśla (jak zapewne wiesz, moja kochana, jest to moje nazwisko panińskie), jako iż był dojrzałym mężczyzną, otrzymał powołanie do wojska. Natomiast my same, pozostawione na pastę losu kobiety oraz bezbronne dzieci zostaliśmy wywiezieni do Kazachstanu. – Na twarzy babci pojawił się pewien grymas. – Wspominam to jako najgorsze momenty mojego życia...

– Udało się nam opuścić tamtejsze piekło dopiero po sześciu latach! – Po twarzy babci zaczęła spływać łza. – Tygodniami jechaliśmy wagonami towarowymi w nieludzkich warunkach. Wnusi kochana, lubisz sok pomidorowy?

– Uwielbiam.

– Ach, niestety przez to piekło na ziemi, które przeżywałam z moimi siostrami, gdzie właściwie jedynym posiłkiem był właśnie ten sok, nigdy się już do niego nie przekonam. Sok ten był głównym elementem naszego pożywienia. Ale, ale moja droga nie był to sok byle jaki! Amerykański! Pożywienie, które trzymało nas przy życiu. W przeciwnym wypadku nie wiem, czy rozmawiałabym z tobą teraz. W tym czasie mój tata, a twój pradziadek, przebywał w Wielkiej Brytanii.

– Ale dlaczego tam się znalazł? – spytałam niezwykle zainteresowana.

– Twój pradziadek był żołnierzem 2 Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

11 maja 1944 r. oddziały tego korpusu po trzech nieudanych atakach aliantów na wzgórzu Monte Cassino wzięły udział w czwartym, jak się okazało, ostatecznym ataku, który zakończył się sukcesem Polaków. Po siedmiu dniach zaciekłych walk, w których straciło życie ponad tysiąc polskich żołnierzy, zostały zdobyte ruiny Klasztoru Benedyktynów, co stało się uwieńczeniem zwycięskiej bitwy. Ach, tak na marginesie, znasz piosenkę „Czerwone maki na Monte Cassino”?

– A tak słyszałam, słyszałam.

– To był maj. A w maju na zboczach wzgórza zakwitły czerwone maki. Między nimi umierali i przelewali krew polscy żołnierze. Całe szczęście, że mój tata wyszedł z tego cało. Pewnie ze względu na to, że nie brał udziału w bezpośrednim ataku na Niemców.

– Ale... jak to?

– Twój pradziadek był w batalionie transportu. Był sierżantem pierwszej kompanii zaopatrzeniowej w 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Jego zadaniem był transport zaopatrzenia a przede wszystkim amunicji i broni. Przykre w tym wszystkim było to – tu babcia na chwilę się zamyśliła – że z pola walki transportował rannych i zabitych. Za udział w bitwie oraz ogromną odwagę otrzymał krzyż pamiątkowy Monte Cassino, a na liście odznaczonych znajduje się jego nazwisko. Widnieje pod numerem 3135.

Po tych słowach zaszkliły mi się oczy.

– A co z twoim tatą?

– Po 18 maja, kiedy to ostatecznie zakończyły się walki na Monte Cassino, mój tata wraz z oddziałami 2 Korpusu Polskiego walczył dalej we Włoszech. Po zakończonej konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r., gdy jasnym stało się, że Polska stanie się krajem satelickim Związku Sowieckiego większość żołnierzy nie chciała, bądź nie mogła, wrócić do kraju. Mój tatuś był w rozterce. Trzy lata próbował podjąć właściwą decyzję. Jego powrót do kraju wiązał się z ogromnym prawdopodobieństwem, że zostanie aresztowany przez ówczesne władze. Ostatecznie wrócił w 1948 r. Ja ze swoją mamą i siostrami mieszkaliśmy już w Szczecinie. Po powrocie został jednak aresztowany. Ponad półtora roku swojego życia spędził w więzieniu.

A powiem ci jeszcze taką ciekawostkę: w latach 50-tych mieszkaliśmy na ul. Armii Czerwonej w Szczecinie, która po przemianach ustrojowych w naszym kraju otrzymała nazwę ul. Monte Cassino. Cóż za niebywały zbieg okoliczności, nieprawdaz?

– To jak strzał w dziesiątkę! Żołnierz spod Monte Cassino mieszkał na ul. Monte Cassino.

– Kamilka, śniadanie! – dał się słyszeć piskliwy głos mamy.

Ręce mi opadły. Czyżby to wszystko, co się stało, było tylko snem? Czyżby ta cała dawka emocji, która towarzyszyła mi od początku, była tylko kolejnym fantazyjnym wytworem mojej wyobraźni? Zaniepokojona podniosłam głowę. Spojrzałam na biurko. Ponad nim wisiał order. Symetryczny ciemnobrazowy krzyż z rozwidłonymi końcówkami oraz niebiesko-pomarańczowa wstążeczka, której wyblakłe barwy przynoszą ukojenie. Co było już nie ma. Minęło. Pozostało we wspomnieniach. Stało się to wszystko historią. Na szczęście z dobrym zakończeniem.

Mama z impetem weszła do pokoju. Czar moich rozmyślań i fantazji przysł. Czas powrócić do rzeczywistości.

– Ach, widzę, że order Monte Cassino dalej wywiera na tobie spore wrażenie. Cóż, nie dziwię się.

– Niesamowite jest tylko to... – próbowałam zebrać myśli – że pradziadek, który tam walczył później mieszkał na ul. Monte Cassino. Poza tym... Poza tym w Szczecinie istnieje chyba liceum im. Bohaterów Monte Cassino!

– Ba! Ja do niego uczęszczałam.

Jeszcze przed chwilą zasnęła, a teraz przebudzona sporym zastrzykiem nowych informacji i podekscytowania nie dowierzałam.

– Mało tego! Twój brat również chodził do IX LO im. Bohaterów Monte Cassino. Ach, zapomniałabym! Sama byłam na Monte Cassino. Rok 1982 – pamiętam do dziś! Spójrz! Mam nawet zdjęcie! Niesamowite przeżycie, no i ile wspomnień! Najbardziej zapadła mi w pamięć tablica na cmentarzu żołnierzy polskich na zboczu wzgórza Monte Cassino. A brzmi ona: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie”.

– Hmm, a może dla podtrzymania tradycji rodzinnej również wybrałabym się do tego liceum?

Gabriela Jurkstwicz

I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie w Szczecinie

Skrzypce weź...

*Po to do wozu trzeba konika,
żeby jechał wóz, po to potrzebna
skrzypcom muzyka, żeby wiatr ją niósł.*
Anna German

Ja

Na pozór niczym szczególnym się nie wyróżniam. Gdyby nie duże, modre oczy, wyrazisty owal twarzy i kasztanowe pasma włosów spadających na moje ramiona, rzekłabym o sobie: „przeciętna nastolatka”. Mam siedemnaście lat i jak większość rówieśników uczęszczam do szkoły. Codziennie rano z mamą i dwiema siostrami pokonuję drogę z domu do gmachu liceum ogólnokształcącego, prawdopodobnie najstarszej szczecińskiej placówki oświatowej. To tu spotykam się z koleżankami – żartujemy z siebie, denerwujemy się przed sprawdzianami, zdradzamy skrywane sekrety... Na dużych przerwach zjadamy podobne salatkę, częstujemy się słodyczkami, które uwielbiamy, a potem rozmawiamy, jak zgubić zbędne kilogramy. I wszystko jest takie podobne – z jednym wyjątkiem. Inne są bowiem moje popołudnia. Te wypełnia muzyka Mozarta, Beethovena czy Chopina, bo – oprócz szkoły ogólnokształcącej – uczęszczam też do drugiego stopnia Państwowej Szkoły Muzycznej II Stopnia w Szczecinie.

Lekcje śpiewu zawsze zaczynają się od rozśpiewania. Nauczycielka, która nie tylko uczy mnie, jak właściwie wydobywać z siebie głos, akompaniuje na fortepianie rozmaite, nierzadko karkołomne ćwiczenia. Rozśpiewanie często bywa wręcz frustrujące, kiedy przy kolejnej próbie emisji dźwięku widzi się surowy wzrok prowadzącej zajęcia. Dodatkowo smutek uczennicy pogłębia wyraz twarzy nauczycielki zdradzający jej rozczarowanie lub zniecierpliwienie.

Bywają jednak chwile, kiedy chce się skakać z radości, a idealnie wzięty oddech czy dobra pozycja krtani pozwalają jeszcze raz uwierzyć w swój talent. O tym się jednak zapomina, kiedy długie, codzienne godziny wypełnia ciężka praca. Pozostałą część zajęć przeznaczam na czytanie lub śpiewanie wcześniej wybranych utworów – pieśni, etiud, arii... Każdy z nich

opowiada inną historię, kreuje odmienne światy, ma różnych bohaterów, więc – myślę sobie – lekcji śpiewu nie należy kojarzyć jedynie z techniką – to przede wszystkim sztuka interpretacji, wcielania się w różne role, sposób zrozumienia charakteru postaci.

On

Czy podobnie myślał, grając na skrzypcach, Jan Starkowski urodzony w 1896 roku w Wielkopolsce senior rodziny mojego ojca? Jeszcze przed wojną wraz z rodziną wyjechał do Berlina w poszukiwaniu lepszej pracy. Podczas pierwszej wojny światowej walczył pod Verdun, a następnie – jako inwalida wojenny – uczył się i studiował. Pradziadek zdobył zawód księgowego, oddając się bez reszty swojej pracy. Jak wynika z relacji jego córki, w czasie drugiej wojny światowej ukrywał się także w piwnicy, by nie narażać na niebezpieczeństwo rodziny.

Jan Starkowski w Berlinie pozostał do momentu, w którym Szczecin – w wyniku porozumień jałtańskich – znalazł się po polskiej stronie. Tu spotkał swoją przyszłą żonę, dla której wrócił do ojczyzny i osiadł w rodzinnych stronach (okolicach Nowego Tomysła). Jak wspominają go moi dziadkowie, był bardzo uzdolnionym muzykiem. Śpiewał w chórze, grał amatorsko – ale biegle – na wielu instrumentach. Jednak szczególnie upodobał sobie skrzypce, które trafiły w jego ręce prawdopodobnie jeszcze w latach międzywojennych. Kiedy więc w 1945 r. moi przodkowie mogli osiedlić się już w polskim Szczecinie, pradziadek Jan zatrzymał swój ukochany instrument, by – jako „skrzypek domowy” – używać go podczas świąt, ważnych uroczystości rodzinnych, czy zwyczajnie, w niedzielne popołudnia – ku uciechu domowników – wypełniać mieszkanie dobrze znanymi dźwiękami muzyki.

Jan Starkowski był człowiekiem bardzo stanowczym. Wychowany w trudnych warunkach, zmuszony do emigracji, nie przestał jednak cieszyć się życiem. Radości dostarczała mu możliwość muzykowania. Po żmudnej pracy księgowego z przyjemnością oddawał się grze na instrumentach, przenosząc rodzinę lub przyjaciół w inny, niebanalny wymiar. Tworzony przez niego śpiewnik rodzinny na trwałe zapisał się jako element naszej tradycji i znak patriotyzmu.

Z upływem lat sędziwy wiek i choroby coraz częściej uniemożliwiały pradziadkowi Janowi grę na skrzypcach. Mimo to jego córka, a moja babcia Irena, która nie do końca podzielała pasję ojca do muzyki, postanowiła przechować tak ważny dla niego przedmiot jako rodzinną pamiątkę.

One

Skrzypce są koloru kasztanowego i wraz z czarnym, klasycznym futerałem pochodzą najprawdopodobniej z końca XIX wieku. Zakupione w niemieckiej stolicy trafiły do Szczecina wraz z przesiedleniem się moich bliskich. Jedynymi elementami, których skrzypce nie zawierają prawdopodobnie od czasu nabycia przez rodzinę, są podbródek i żeberko. Ich brak może tłumaczyć fakt, że dawniej muzycy-amatorzy grali na instrumentach smyczkowych bez wspomnianych fragmentów. Trudno też zidentyfikować ich pierwotnego wykonawcę, gdyż nie zawierają żadnego oznaczenia wskazującego jednoznacznie na miejsce lub czas pochodzenia. Restaurator z Barlinka, do którego kilka lat temu trafiły, rozpoznał w nich jednak bardzo dobry warsztat niemieckiego lutnika z poprzedniego wieku.

Po renowacji zarówno drewniane pudło, smyczek, jak i futerał, znowu odzyskały swój dawny blask, a – co najważniejsze – wciąż nadają się do koncertowania. Nowe elementy ich budowy, takie jak wymienione kołeczki, struny, czy materiał wewnętrzny futerału, sprawiają, że instrument w cudowny sposób połączył pokolenia starszych i młodszych muzyków z naszej rodziny. Rodzaj dźwięku, jaki po nastrojeniu wydają pamiątkowe skrzypce, mnie, młodej adeptce pianistyki, wydaje się typowo romantyczny. Ich niepowtarzalna barwa przywołuje nastrój czasu, w którym powstały, a każdy dźwięk wydany przez instrument niesie z sobą cząstkę historii mojej rodziny.

My

Chociaż mój pradziadek część swojego życia spędził za granicą, to głównie w Polsce zarażał innych pasją do muzyki. Może więc dlatego część jego schedy legła u podstaw kariery mojej ciotki, znanej polskiej wokalistki? Może dźwięki dziadkowych skrzypiec slychać w kompozycjach filmowych mojego kuzyna, Radzimira? Albo ja, kiedy patrzę na rodzinną pamiątkę, jestem w stanie przewyciężyć chwile zwątpienia i niewiary w swój muzyczny talent?

Po raz kolejny sięgam po nuty pieśni Stanisława Niewiadomskiego *Grzeczna dziewczynka* do słów Adama Mickiewicza. Przewracając kolejne strony teczki, czytam tekst, aby jeszcze raz lepiej zrozumieć przesłanie słów wieszczka i wartość dźwięków wybitnego kompozytora. Próbuję śpiewać pierwsze takty, lecz jeden z pasaży stanowi dla mnie nie lada wyzwanie. Mimo to doświadczona pracą na scenie nauczycielka nie traci wiary w swoją uczennicę i z uporem tłumaczy techniczne zawilości utworu.

Wówczas w myślach przywołuję postać pradziadka, Jana Starkowskiego, którego – niestety – nie miałam okazji poznać. Są za to przy mnie jego skrzypce. I wtedy oczami wyobraźni widzę, jak jego łagodne oczy spoczywają na futerałach instrumentu, a usta wydają się szeptać mi do ucha: „No, Gabrysiu, skrzypce weź... i... leć – goń – graj! Żyj!”.



Hanna Czerkasiewicz

Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Westerplatte w Gardnie

Dzieli nas tylko czas... *Opowieść o miłości silniejszej niż śmierć*

Nazywam się Hania, mieszkam w niewielkiej, ale bardzo malowniczo położonej wsi Weltyń k. Gryfina. Weltyń – to moja „mała Ojczyzna”. Przychodzi mi na myśl wiersz Tadeusza Różewicza „Oblicza Ojczyzny...”

„ojczyzna to kraj dzieciństwa
miejsce urodzenia
to jest ta mała najbliższa
ojczyzna
miasto miasteczko wieś
ulica dom podwórko
pierwsza miłość
las na horyzoncie
groby
w dzieciństwie poznaje się
kwiaty, zioła, zboża
zwierzęta
pola łąki
słowa owoce
ojczyzna się śmieje
na początku ojczyzna
jest blisko
na wyciągnięcie ręki
dopiero później rośnie
krwawi
boli”

Kiedy nauczycielka na lekcji języka polskiego przeczytała nam ten utwór i powiedziała, że dla naszych dziadków – ta „mała Ojczyzna”, „kraj dzieciństwa” były zupełnie gdzie indziej, bo ziemie, na których obecnie mieszkamy zostały przyłączone do Polski dopiero po II wojnie światowej i, że niemal każda rodzina przyjechała tutaj „skądś”, zaczęłam się zastanawiać skąd przybyli tutaj mieszkańcy Weltynia? Przypomniałam sobie o zdjęciach oprawionych

w ozdobne ramki, na które często patrzyłam, gdy byłam u mojej ciotki. Patrzyłam, to dobre określenie, bo nigdy tak naprawdę ich nie widziałam, nie przyglądałam się im uważnie. Teraz postanowiłam to zmienić! Poszłam do ciotki i poprosiłam, aby mi powiedziała, kim jest młoda para przedstawiona na fotografii oraz mężczyzna z małego zdjęcia. I tak zaczęła się moja podróż w przeszłość... Ciotka Ewa rozpoczęła swoją opowieść...

– Haniu, dom, w którym się znajdujemy należał do Babci Poważnej, która się mną opiekowała i prawie wychowała. Ten pan na zdjęciu, to mąż Babci – Witold. Choć nie łączyły nas więzy krwi, to Babcia Poważna stała się członkiem naszej rodziny i zawsze już tak pozostanie, ale po kolei...

Maria Poważna z domu Kuśtra urodziła się 12.05.1909 r. w Albigowej k. Łańcuta. Miała pięcioro rodzeństwa. Niestety bliźnięta zmarły w dzieciństwie na zapalenie płuc. Dwaj bracia zginęli w czasie wojny. Andrzej – brał udział w bitwie o Warszawę w styczniu 1945 r. i tu poległ. Pozostała jej tylko siostra Katarzyna, która również mieszkała w Weltyniu. Około roku 1915 Maria wraz ze swoją rodziną wyjechała w okolice Buczacza do wsi Bartniki. Tutaj z rodzicami pracowała na roli. Niewielkie dochody, które przynosiło gospodarstwo rolne, nie starczyły na utrzymanie rodziny,



Zdjęcie ślubne Marii z d. Kuśtra i Witolda Poważnego – styczeń 1940 r.

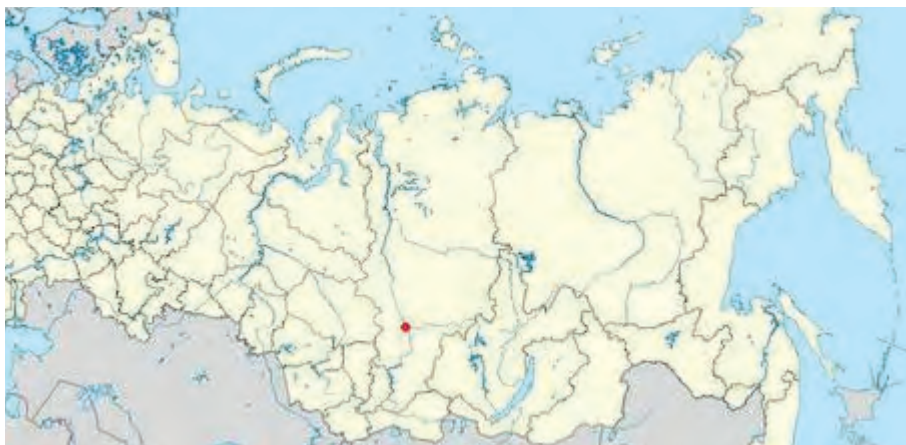
dlatego rodzice małej Marysi sprzedawali drób, mleko, owoce i wszystko to, co rodziła ich ziemia. Kiedy Marysia podrosła musiała „iść na służbę”, aby choć trochę wspomóc rodziców.

Gdy wybuchła wojna Maria miała już 30 lat i szybko doświadczyła jej okrucieństw. Mimo zawieruchy wojennej i okropności, które ze sobą niosła, były też jasne strony.

Młodzi ludzie śmiali się i kochali. To uczucie połączyło też Marię Kuśtrę i Witolda Poważnego – Tolka – jak o nim mówiła. I choć dzieliła ich znaczna różnica wieku, bo Maria była starsza od Witolda

o 12 lat, w połowie stycznia 1940 r. postanowili się pobrać. Jednak ich szczęście nie trwało długo. I znów historia wkroczyła w ich życie. Wielka historia nieodwracanie zmieniła życie dwojga ludzi, którzy mieli swoje marzenia i plany...

W lutym 1940 r. Związek Sowiecki rozpoczął masowe deportacje Polaków na Sybir. Wśród 140 tys. Polaków wywiezionych na „niehumanitarną ziemię” znalazła się również Maria i jej rodzina.



Maria i Witold zostali wywiezieni w okolice Krasnojarska – miejsce zsyłki zaznaczono czerwoną kropką

Polacy mieli tylko chwilę na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. Maria zabrała ze sobą ciepłą wełnianą chustę, która towarzyszyła jej w najtrudniejszych chwilach. Gdy było zimno, dawała tak upragnione ciepło. Gdy było źle, dawała poczucie bezpieczeństwa.

Chusta wełniana, która towarzyszyła Marii Poważnej na Syberii. Na stoliku okulary i ulubiona filiżanka oraz jej fotografia ślubna



Wśród majestatycznego piękna dzikiej przyrody rozgrywały się ludzkie dramaty. Maria z mężem pracowali przy wycince drzew w lesie. Odległość z baraku, który był ich „domem” do miejsca wyrębu wynosiła od 8 do 14 km. Wyczerpująca praca, długa droga (od 16 do 28 km dziennie), głód i zimno dziesiątkowały Polaków. Katorżnicza praca zbierała swój plon, zmarł młodszy brat Marii. Było to straszne doświadczenie dla całej rodziny. Bo choć było ciężko, byli razem. Teraz kogoś zabrakło... Wodę do picia czerpano z pobliskiego jeziora. Na dobę przysługiwała kromka czarnego chleba. Gdy wiosną pojawiały się zielone trawy i liście – to z nich gotowano zupę. Najlepsza była zupa z lebiody. Lato dostarczało jagód i innych leśnych owoców. Ten krótki czas był wytchnieniem od zimna i głodu, który nie był już tak dotkliwy jak zimą. Przy wyrębie drzew Maria pracowała dwa lata. Niestety, ciężka praca, niejednokrotnie ponad siły szczupłej kobiety, sprawiła, że Kraj Krasnojarski stał się grobem dla trojga jej nienarodzonych dzieci. Żeby złagodzić ból po ich stracie, Maria zgłosiła się do opieki nad polskimi dziećmi – pracowała jako przedszkolanka. Całe swe siły oddawała obcym dzieciom, bo swoich nie miała... I ciągle była przy niej wełniana chusta, w którą miała otulać swe dzieci. Los sprawił, że nie dane jej było zostać matką... Chusta powróciła z nią do Ojczyzny. Stała się namacalnym dowodem przeszłości. Towarzyszyła jej do końca życia, a dziś jest niezwykle pamiątką po niezwykłej osobie...

Gdy w 1943 r. na Sybir dotarła wiadomość, że tworzy się polskie wojsko, Witold i brat Marii – Andrzej – postanowili się zgłosić do nowo formowanych oddziałów polskich. Chcieli walczyć o Polskę dla siebie, dla swych żon, matek, sióstr i dzieci. Marzyli, by wrócić do Ojczyzny. Maria zmieniła pracę, została listonoszem. Codziennie pokonywała pieszo ok. 14 km, niosąc nadzieję... Sama też każdego dnia oczekiwała na listy od swego ukochanego Tola. Dzięki temu, że roznosiła pocztę, wiedziała, że do niej dotrą.

W tym miejscu ciocia przerwała swoją opowieść i sięgnęła po zwykłą tekturową – już trochę pożółkłą – teczkę... Oczywiście byłam ciekawa, co w niej jest... Przyglądałam się cioci uważnie. Ręce jej lekko drżały, gdy rozwiązywała tasiemki przy teczce... Wyjęła z nich żółte, niewielkie zapisane karteczki...

– Haniu – powiedziała ciocia przyciszonym głosem, który sprawił, że moja ciekawość stała się jeszcze większa – to są listy Dziadka Witolda do Babci Marii. Pisał je z frontu...

Z pożółkłych kartek i wyblakłych liter wylania się obraz miłości i tęsknoty za ukochaną Marią i Ojczyzną – Polską.

Ciocia zaczęła czytać:

„Dnia 16 VII 1943 rok

Kochana i droga Marysiu,

piszę do Ciebie 9. list i donoszę Ci o swoim zdrowiu i powodzeniu. Ja z łaski Boga zdrów, a powodzenie jak zwykle przy wojsku. Wczoraj, to jest 15 VII mieliśmy przysięgę całej Dywizji 1., na której widziałem się z Andrzejem, który jest razem z *[fragment nieczytelny]* przy piechocie w 9. Pułku, 7 km ode mnie. Ma się nie najgorzej, tak samo jak ja. Życie jest wesołe, tylko tęsknota za Ojczyzną i Bogiem, a najgorzej za Tobą, Marysiu, że Cię nie mogę widzieć. Mam Twoje zdjęcie od Leszka *[fragment nieczytelny]*. Gdy będziesz pisać, to mi pošlij zdjęcie swoje, może nie przepadnie w drodze. Ażebym Cię jeszcze mógł widzieć, choć na zdjęciu. Jak Bóg pozwoli, to się może ówiedzimy albo nie. Może przyjdzie zginąć za Ojczyznę. A może Bóg mi dopomoże pobić Niemca, to się zobaczymy na ziemi ojczystej. Proszę Cię, Marysiu, opisz mi, jak żyjecie z Mamą. Czy nie jesteście głodni i co robisz, i czyście zdrowi, i cała rodzina. Więcej Ci nie mam, co pisać, tylko Was pozdrawiam i pozdrów ode mnie Apanasia z rodziną i wszystkich znajomych. I napisz mi, czy Dima żonaty i z kim. Gdzie *[fragment nieczytelny]* się znajduje, czy do *[fragment nieczytelny]* nie wzięli. Więcej Ci nie mam, co pisać. Tylko Cię serdecznie pozdrawiam. Do milego zobaczenia z Tobą.

Twój mąż Poważny W.”

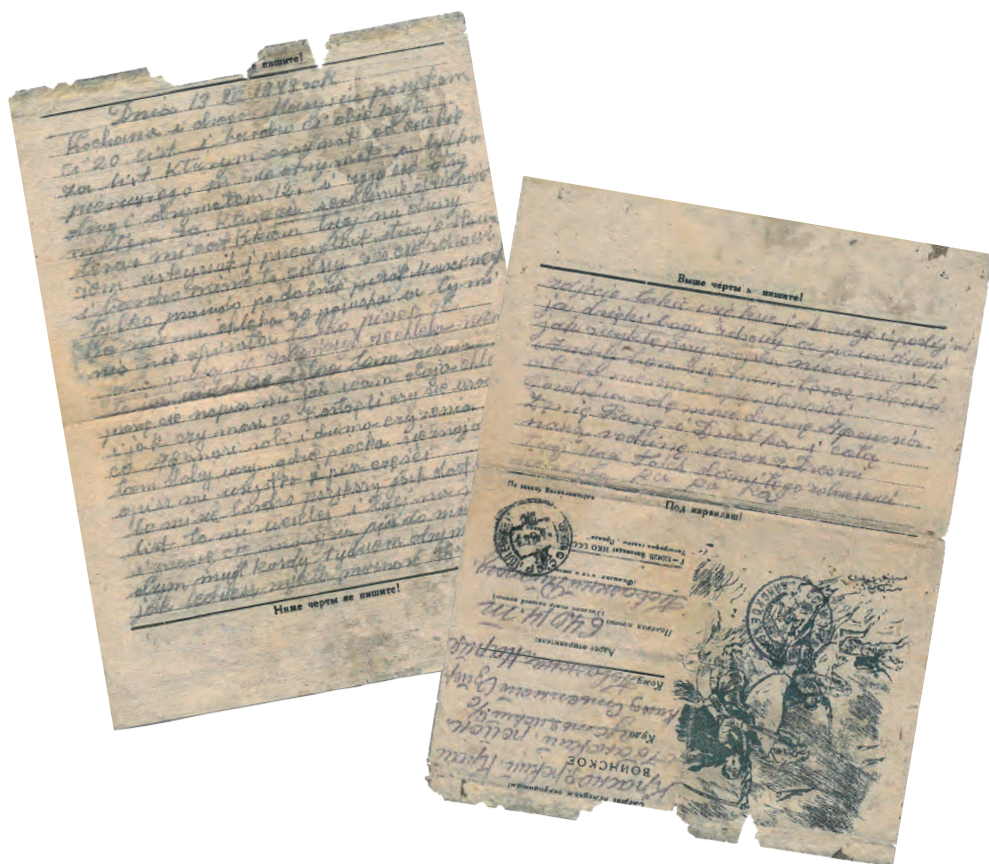
„Dnia 18 VII 1943 rok list 11.

Kochana i droga Marysiu,

posyłam Ci papier – może nie masz na czym odpisać – i poproś niech Ci ktoś napisze po rusku, to prędzej dojdzie. I opisz mi dokładnie, co tam jest nowego. Czyście zdrowi? A jak mama, czy zdrowi? Czy dają komu polską zapomogę, bo tu zapisywali. Kto ma dużo dzieci i starych, to mu dawali odzież i on sam adresował i odsyłał do domu. Mnie nie przyjęli, bo nie mam dzieci, a matka nie mają. To u nas z całej kompanii z 150 ludzi dostało. *[fragment nieczytelny]*. My tu mamy polskie dywizyjne gazety, to piszą, że jest obrany polski komitet pomocniczy dla rodzin i że mają dopomagać rodzinom. Mają zakładać polskie szkoły dla dzieci. My swoją odzież posprzedawali *[fragment nieczytelny]*. Kiedy na front pójdziemy, to nie wiedzieć, bo nie mówią, ale jest jasne, że wojować się przyjdzie. A już, co będzie, to nie wiedzieć. Może się zobaczymy albo i nie, jak Bóg pozwoli. Wszystko na Boskiej Woli, w Boskich Rękach. To wszystkie krzywdy,

com Ci wyrządził, to mi daruj, a modlij się za mną. Może Bóg nam dopomóż przeżyć to wszystko. Już bliżej jak dalej. Co tam jest, znieś Marysiu cierpliwie. Ja się modlę o Ciebie i mamę. I Ty się modlij za mnie, bo mnie czegoś serce dusi [fragment nieczytelny] płacze. Tyle jestem spokojny, gdy śpię albo na zajęciach. Jak pójdę na łąki, pola, nad rzekę, to mi serce płacze. Jak się przypatrzę na pola, to mi się zdaje, że na wolności, a tak jak w kryminale – wciąż na baczność i dowoli se pójść nie pójdziesz. Jak w domu [fragment nieczytelny] I wypisze na [fragment nieczytelny] nadszedł czas, Ojczyzna nas woła na pomstę na Niemca, za naszą ziemię zakrwawioną od niemieckiego najazdu. Więcej Ci nie mam, co pisać, tylko Cię serdecznie pozdrawiam.

Twój mąż Tolek. Do milego zobaczenia z Tobą pa pa pa”



„Dnia 13 VIII 1943 rok
Kochana i droga Marysiu,
posyłam Ci 20. list i bardzo Ci dziękuję za list, którym otrzymałam od Ciebie. Pierwszemu nie otrzymałam, a tylko drugi. Otrzymałam 12.

I zdjęcie otrzymałem, za które Ci serdecznie dziękuję. Teraz mi całkiem lżej na duszy, żem otrzymał i przeczytał Twoje słowa. I bardzo mnie to cieszy, żeście zdrowi. Tylko *[fragment nieczytelny]* pisał Marcinek, że nie ma chleba, że posucha. A Ty mi nic nie piszesz, że *[fragment nieczytelny]* mają się zakończyć, że chleba nie ma. To już widać, że dobra tam nie ma. Proszę Cię, napisz mi jak Wam dają chleba i jak, czy masz co kartofli, czy się urodzili? Co Apanasi robi i Dima, czy Żenia tam dalej uczy? Gdzie Piecka się znajduje? Opisz mi wszystko i pisz częściej, bo mi się bardzo przykrzy. Jak dostanę list, to mi weselej i lżej na sercu. I proszę Cię, Marysiu, pisz do mnie, abym mógł każdy tydzień otrzymać list. Jak będziesz mogła, to zrób zdjęcie, takie większe, jak moje i poślij mi. Ja dzięki Bogu zdrowy, a powodzenie jak zwykle przy wojsku. Nie wiem jak Andrzej, bom się z nim teraz nie widział, bo nie mam sposobności. Pozdrów ode mnie Dimę i Apanasia, Żenię, Paszę i Dziadka, i całą naszą rodzinę wraz z dziećmi.

Twój mąż Tolek.

Do miłego zobaczenia z Tobą”

„Dnia 10 XII 1943 rok

Kochana i droga Marysiu,

piszę do Ciebie parę słów, dowiadując się o Twoim zdrowiu i powodzeniu, bo ja dzięki Panu Bogu zdrowy i powodzenie nie najgorsze. Tylko jedno mi tęskno, że nie mam już drugi miesiąc listu od Ciebie. Nie wiem, co tam słyhać u Was. Jak żyjecie, czyście zdrowi, czy macie co jeść? Jak mamy zdrowie? Jak Hania *[fragment nieczytelny]* żyją, bo ja byłem cały miesiąc z Andrzejem. A teraz mnie zabrali do szkoły podoficerskiej, to się nie widzimy. *[fragment nieczytelny]*. Opisz jak Dima żyją i z kim? Jak Apanasi? Jak u Was zima, bo u nas dopiero się zaczyna, Proszę Cię, pozdrów tam wszystkich swoich i proszę Cię pozdrów Apanasia, rodzinę i wszystkich bliskich. I proszę Cię o prędko odpis.

Twój mąż Poważny Witold”

„Kochana Żono!

Listy od Ciebie otrzymałem, za które Tobie z całego serca dziękuję. Zrazem oznajmuję Tobie, że jestem dotychczas zdrowszy, którego i Tobie nawzajem życzę. Bardzo mnie to ucieszyło, że po tak długim oczekiwaniu za listem od Ciebie, nadeszła ta chwila, która przyniosła mi znak, że Ty jeszcze żyjesz i jesteś przy zdrowiu. Kochana Marysiu, piszesz mi, że jakoby ja miałem o Tobie zapomnieć. Jest to nieprawda *[fragment nieczytelny]*

Jak Ty, Kochana Marysiu, żono moja, wierna, to nigdy nie może być, żebym ja miał tak nawet pomyśleć. Wszystko to może być tylko zakłóceniem nas pomiędzy sobą. Ja dawno chciałem Ci to wszystko opisać, lecz Ty nie dawałaś o sobie żadnego znaku życia. Nie masz, Kochana Żono, pojęcia jak mi smutno bez Ciebie oraz pragnąłbym zobaczyć ukochaną matkę. Lecz miejmy nadzieję, że ten czas krytyczny się powoli kończy i że spotkamy się razem przy własnym ognisku domowym, którego my oboje nawzajem pragniemy. Wszystko to będzie, jak tylko skończy się ta zawzięta wojna, która już wszystkim dokuczyla. Teraz, kochana Żono, kończę ten list oraz proszę pozdrowić matkę i wszystkich znajomych, z którymi żyjesz.

Pozdrawia Cię o Tobie nigdy niezapominający Tolek
Poczta Polowa 55.503”

Ze wspomnień Babci Poważnej wynika, że ostatni list otrzymała od Witolda z datą 14.04.1945 r. Jak się okazało, list ten napisał na trzy dni przed śmiercią...

Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. Maria, wraz ze swoją mamą, powróciły z Syberii na Ukrainę. Ale nie był to koniec ich wędrówki. I znów historia, i wielka polityka zdecydowały o życiu zwykłych ludzi... Znów musiały się pakować i jechać w nieznane... Ich kolejnym przystankiem w życiu miały być tzw. Ziemie Odzyskane. Wraz z siostrą Katarzyną, jej mężem Michałem i ich dziećmi w 1946 r. dotarły do Chociwła, a rok później osiadła w Weltyniu. I to właśnie tutaj znalazła swoje miejsce na ziemi... Maria nie bała się ciężkiej pracy. Miała niewielkie pole i ogród. Sprzedawała jabłka, maliny, porzeczki. Zbierała zioła i glóg. To stanowiło źródło jej utrzymania. Życie toczyło się swoim rytmem. Mężczyźni wracali z wojny, żony odnajdywały swych mężów – nieraz po kilku latach. Maria ciągle czekała na swego Tola. Z bijącym sercem otwierała każdy list i drzwi, gdy ktoś do nich pukał... Czekala..., ale Witold nie wracał... Nadzieja, która kazała jej czekać, powoli nikła. W 1948 r. jeden z mieszkańców Weltynia p. Ździarski podczas przypadkowej rozmowy z Marią Poważną opowiedział jej, że kiedy był w wojsku w latach 1945–1946 przewoził wraz z kolegami ciała zabitych Polaków z terenu Niemiec na duży cmentarz w okolicy Siekierok. Maria wiedziała, że Tolo może być wśród nich, bo ostatni list, który otrzymała wysłany był właśnie z tych okolic. Zaczęła szukać swego męża. Pisała do różnych urzędów do Warszawy. I znów czekała... Jednak nie na taką odpowiedź... Rozum mówił jedno, ale serce wciąż miało nadzieję... Pewnego dnia 1950 r. otrzymała kopertę, a w niej

krótką informację, że chor. Witold Poważny zginął dnia 17 kwietnia 1945 r. podczas forsowania Odry, już na drugim jej brzegu. W 1970 r. otrzymała emeryturę wojskową, która stała się źródłem jej utrzymania.

W 1956 r. Janina Gerega – żona jej siostrzeńca – pojechała na wycieczkę, w czasie której odwiedziła też cmentarz w Starych Łysogórkach. I tam zupełnie przez przypadek – a może wcale nie? – stanęła przed grobem, na którym przeczytała nazwisko „chor. Witold Poważny”. Z początku myślała, że to zbieg okoliczności, ale swoim „odkryciem” podzieliła się z teściową, która poinformowała o tym Marię. Maria nie mogła czekać. Już nie... wystarczająco długo czekała... Z Weltnia do Starych Łysogórek jest ok. 70 km. Pojechała tak szybko, jak się dało... Po 13 latach od rozstania, znalazła wreszcie swego Tola... Mogła pomodlić się na jego grobie, mogła z Nim porozmawiać. Rozstali się na Syberii, a znaleźli na Ziemiach Odzyskanych. Czy to przypadek, czy przeznaczenie, że Maria z Syberii poprzez Ukrainę trafiła do Weltnia.



Maria Poważna przy grobie męża – Witolda Poważnego – na Cmentarzu Wojennym w Starych Łysogórkach (lata 90. XX w.)

Siekierkowski Cmentarz Żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego w Starych Łysogórkach (gm. Mieszkowice) powstał tuż po zakończeniu II wojny światowej. Spoczywają na nim żołnierze polegli podczas forsowania Odry, jak i w walkach o Berlin, w 1945 r. W kwietniu 1945 r. pomiędzy Siekierkami i Gozdowicami znajdował się pas natarcia 1. Armii Wojska Polskiego, która w ramach operacji berlińskiej uczestniczyła w forsowaniu Odry¹.

Na cmentarzu spoczywa 1987 żołnierzy, w tym 1661 znanych z nazwiska, a wśród nich chor. Witold Poważny – mąż Marii, która pozostała mu wierna do końca życia. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż... Ich miłość okazała się silniejsza niż śmierć...

Maria Poważna z d. Kuśtra zmarła 26 czerwca 2006 r. w wieku 97 lat

Gdy słuchałam opowieści cioci Ewy i czytanych przez nią listów, zrozumiałam sens słów wiersza Tadeusza Różewicza, że „ojczyzna krwawi, boli”.

¹ [http://encyklopedia.szczecin.pl/wiki/Cmentarz_wojenny_1_Armii_Wojska_Polskiego_\(Stare_%C5%81ysog%C3%B3rki\)](http://encyklopedia.szczecin.pl/wiki/Cmentarz_wojenny_1_Armii_Wojska_Polskiego_(Stare_%C5%81ysog%C3%B3rki))

Hanna Ciasnocha

Szkoła Podstawowa im. Bohaterów Westerplatte w Gardnie

Istniejemy, póki ktoś o nas pamięta

Pradziadkom
Stefanii z d. Szwedo i Józefowi Ciasnocha

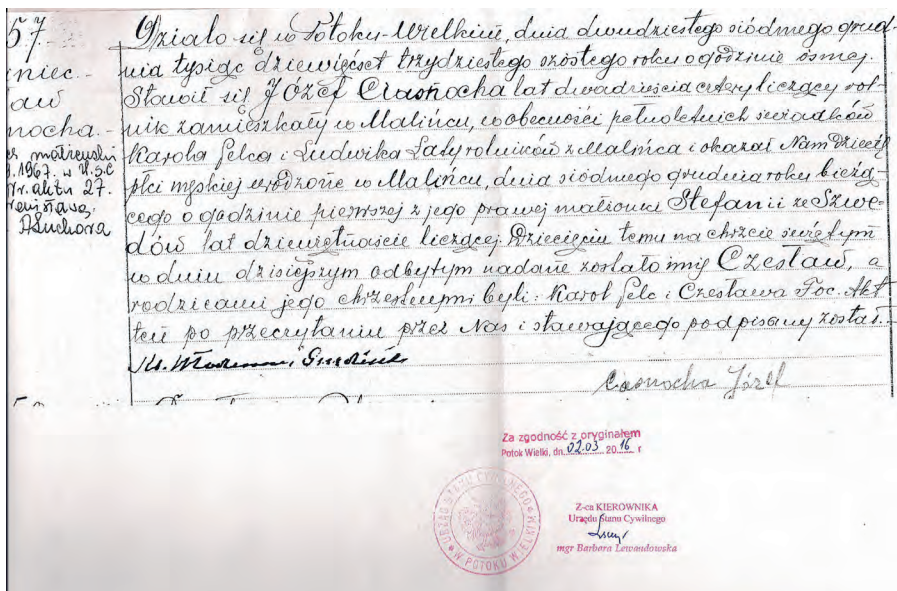
Wieltyń 2022

Pewnego razu odwiedziłam babcię Kazię. Babcia porządkowała dokumenty po dziadku, który niedawno odszedł. Z ciekawością zaczęłam wraz z nią przeglądać zawartość starych tekturowych teczek. Bardzo się zdziwiłam, bo wiele zdjęć i dokumentów widziałam pierwszy raz w życiu. Większość z nich związana była z moimi pradziadkami – Józefem i Stefanią. Poprosiłam babcię, żeby mi trochę opowiedziała o nich i o dzieciństwie dziadka Czesia. Babcia stwierdziła, że niewiele wie, ale to, co kiedyś słyszała, mieszkając z nimi, opowie mi...

A oto, czego się dowiedziałam.

Dziadziu Czesiu pierwsze lata swego życia spędził w małej wsi Maliniec położonej w lasach janowskich na Lubelszczyźnie. Na Ziemię Zachodnie przybył 10 kwietnia 1946 r., w wieku niespełna dziesięciu lat, wraz z rodzicami – Stefanią i Józefem. Osiedli w równie uroczej jak Maliniec, ale znacznie się od niego różniącej, podgryfińskiej wiosce Wieltyń.

Dziadziu urodził się 7 grudnia 1936 r. we wspomnianej już pięknie położonej wśród lasów i stawów wsi. Jego urodziny obchodzimy jednak zawsze 6 grudnia. Dlaczego? Ponieważ prababcia Stefania mówiła, że jej syn urodził się w nocy i trudno było określić dokładny czas narodzin i podano, że był to już 7 grudnia, ale ona, jako matka czuła, że ten najważniejszy moment jej życia nastąpił jeszcze 6 grudnia. Dlatego też w oficjalnych dokumentach dziadziu ma wpisaną datę urodzenia 7 grudnia, ale wszyscy świętujemy 6 grudnia. Dokument, który ostatecznie potwierdza datę urodzenia Czesława Ciasnochy to akt urodzenia, który znajdował się w teczce.



Pradziadek Józef Ciasnocha urodził się 20 stycznia 1912 r. we wsi Gwizdów w zaborze rosyjskim (dziś: powiat janowski, wojew. lubelskie) jako najmłodsze z sześciorga dzieci włościan Adama Ciasnochy i Eleonory z Kapustów. Wcześniej w rodzinie Ciasnochów na świat przyszli: Joachim, Franciszka, Władysław, Jan i Stanisław.

Treść aktu urodzenia pradziadka Józefa w tłumaczeniu z języka rosyjskiego na język polski:

„Działo się to w Potoku Wielkim 15/28 stycznia 1912 r. Stawili się Adam Ciasnocha 45 lat mający włościanin, gospodarz rolny we wsi Gwizdów zamieszkały w przytomności Błażeja Rapy, lat 40 i Franciszki Skrzypek, 28 lat mającej, włościanie, gospodarze rolni we wsi Osówek żyjący i okazali nam młodzieńca płci męskiej. Poinformowali, że on urodził się 7/20 stycznia 1912 r. o godzinie 7:00 wieczorem (19:00) z prawnej jego małżonki Eleonory z Kapustów, 38 lat mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym dano imię Józef, a rodzicami chrzestnymi jego byli Błażej Rapa i Katarzyna Lipiec. Akt ten stawiającym i świadkom przeczytano i przez nas podpisany został [Odręczny podpis księdza sporządzającego akt – nieczytelny]”

W akcie urodzenia znajdują się podwójne daty. Związane to jest z kalendarzem juliańskim (starym stylem) obowiązującym w Rosji i gregoriańskim (nowym stylem) obowiązującym na terenie Rzeczypospolitej. Różnica wynosi 13 dni.

Rzysko-katolicka parafia
Potok-Wielki

Metryka urodzenia.

Niniejszym zaświadczam, że według księgi metrycznej z 1 *912*
roku, № *17* aktu *Józef Ciasnocha*
syn *Adama i Eleonory*
córka *Kapmłós*
urodzon *4 w Gwizdowie*
dnia *20 Sierpnia* 1 *912* roku (tysiąc *Dei-*
wojśset dwunastego roku
Potok-Wielki dnia *14 kwietnia* 19*22* r.

Urządnik Stanu Cywilnego *Ks. Abramczyk*



Józek od najmłodszych lat był „bystry”. Niestety nie dane mu było się kształcić tak, jak by tego pragnął. Były lata, że do szkoły powszechnej w Gwizdowie, która powstała w 1921 r., jak wspominał, mógł chodzić tylko od późnej jesieni do wiosny, kiedy to w polu i w lesie „nie było roboty”. Nie przeszkodziło mu to jednak w nauce. Mały Józek za swoje osiągnięcia otrzymał dekret pochwalny.

RADA SZKOLNA POWIATOWA W JANOWIE LUBELSKIM



Janów Lub. dnia *13 V. 1925 roku.*

Dekret pochwalny

Ciasnocha Józef.
uczeń klasy (oddziału) *II* szkoły *L. J. pl. powsz.*
w *Gwizdowie* gmina *Wodzisław* zasługując na
szczególną pochwałę
za regularne uczęszczanie do szkoły, szczególną pilność w nauce
i wzorowe zachowanie się tak w szkole, jak też poza szkołą.
Janów dnia *26. czerwca 1925.*
Kierownik szkoły
Włodek Skolliński

Powinny dekret wydaje Rada Szkolna Powiatowa na wniosek Zarządu Szkoły wyrażając nadzieję, że uczeń ten i nadal zasługiwac będzie na szczególną pochwałę.


Kierownik szkoły *Jagomier* Dyrektorzcach *Włodek Skolliński*

Swym wnukom – Bogusi, Markowi i Ani – opowiadał, że często trzymały się go psikusy i wykorzystywał to, iż miał większą wiedzę, niż inne chłopskie dzieci uczęszczające do szkoły w Gwizdowie. Nieraz zdarzało mu się źle podpowiadać kolegom, którzy bezmyślnie powtarzali to, co „najbystrzejszy” w klasie Józek, im powiedział. Na pytanie, dlaczego tak robił, odpowiadał, że powinni sami myśleć, a nie czekać, aż ktoś im podpowie.

OKRĘG SZKOLNY *Lubelski*

Szkoła Powszechna *jedna klasowa* w *Gwizdowie*.
GMINA *Modlibonice*.

ROK SZK. 19*35/36*,  KL. (ODDZ.) *III*.

CENZURA SZKOLNA
(NUMER KSIĘGI GŁÓWNEJ _____)

Ciasnocha Józef


urodzony dn. *21 stycznia* 19*12* w *Gwizdowie*
w powiecie *Janów Lubelski* wyznania *rym-katolickiego*
W roku szkolnym 19*35* uczęszczał do kl. (oddz.) *III* sprawował się *dobrze* i przy *dobrym* pilności w naukach wykazał następujące postępy:

W nauce religji	<i>bardzo dobry</i>
„ języku polskim	<i>bardzo dobry</i>
„ arytmetyce i geometrii	<i>dobry</i>
„ <i>rytmice</i>	<i>dobry</i>
„ historii	<i>dobry</i>
„ geografii	<i>dobry</i>
„ rysunkach	<i>bardzo dobry</i>
„ robotach ręcznych	<i>dobry</i>
„ gimnastyce	<i>bardzo dobry</i>
„ <i>szyciu</i>	<i>bardzo dobry</i>

Z ogólnej liczby dni szkolnych opuścił dni *3 dni*.
w tem usprawiedliwionych *3* nieusprawiedliwionych *0*.

Na podstawie danych powyższych uznaje się *Józefa Ciasnochie* za uzdolnionego do pobierania nauki w przyszłym roku szk. 19*36* w kl. (oddz.) *IV*.

Kierownik Szkoły
Helena Scholliówna



Naucz. Oddziału
Helena Scholliówna

Warto zwrócić uwagę na zapis nazw przedmiotów znajdujących się na świadectwie: geometrii, historii, geografji. Zgodnie z obowiązującymi dziś zasadami ortograficznymi poprawny zapis jest następujący: geografii, historii, geografii. Świadczy to o tym, iż język jest żywą materią, która ulega ciągłym zmianom i przeobrażeniom. To co dziś jest błędem, kiedyś było zgodne z normą językową.

Na drugiej stronie cenzurki można zapoznać się ze skalą ocen. Ciekawostką jest ocena pilności uczniów. Można również zauważyć, że oceny zachowania są takie same jak oceny otrzymywane dziś przez uczniów w szkole. Interesująco prezentuje się skala ocen, która jest pięciostopniowa. Można było otrzymać ocenę celującą, czyli 5, a także ocenę mierną – 2 (takie nazewnictwo oceny 2 obowiązywało w polskiej szkole od 1991 r. Od roku szkolnego 1999/2000 zmieniono nazwę oceny 2 na *dopuszczająca*). A więc nie było w skali ocen oceny o nazwie bardzo dobry. Natomiast na świadectwie znajduje się taka ocena. Dlaczego? Na to pytanie chyba już nie odpowiemy. Kolejną nieścisłością na świadectwie jest błędna data urodzenia 21, a nie jak wynika z aktu urodzenia 20 stycznia.

3 listopada 1933 r. Józef Ciasnocha rozpoczął służbę wojskową w wojsku polskim. Trafił do kawalerii – 24 pułku ułanów R.K.U. Kraśnik, 4 szwadronu ułanów.



Józef Ciasnocha (pierwszy z lewej)
wraz z kolegami z wojska,
z prawej zdjęcie w mundurze z 1934 r.





6 XII 1933 r. – przysięga w wojsku



26 VII 1935 r. – przegląd koni w drużynie dowódcy

30 czerwca 1935 r. trafił do drużyny dowódcy jako sanitariusz. 21 lipca awansował do stopnia starszego ułana, zaś 5 listopada 1938 r. awansowano go do stopnia kaprała.

Dowódcy szybko zauważyli, że ten chłopski syn ma duży potencjał, który powinien być wykorzystany. Młodego chłopaka z Lubelszczyzny wysłano na kurs podoficerski do Lublina.

Treść świadectwa:

„Kadra Zapasowa 2-go Szpitala Okręgowego Kompanja [pisownia oryginalna] Szkolna L.p. 14

ŚWIADECTWO

Ul. Ciasnocha Józef urodzony dnia 20 I 1912 r. we wsi Gwizdów, powiatu Janów Lubelski, województwa Lubelskiego ukończył w czasie od 1 grudnia 1934 r. do dnia 28 lutego 1935 r. KURS KANDYDATÓW NA PODOFICERÓW SANITARNYCH FUNKCYJNYCH przy Kadrze Zapasowej 2. Szpitala Okręgowego w Lublinie z wynikiem dobrym lokatą 14/77.

Dowódca Kompanji /-/ [własnoręczny podpis nieczytelny] Pogoda Zygmunt

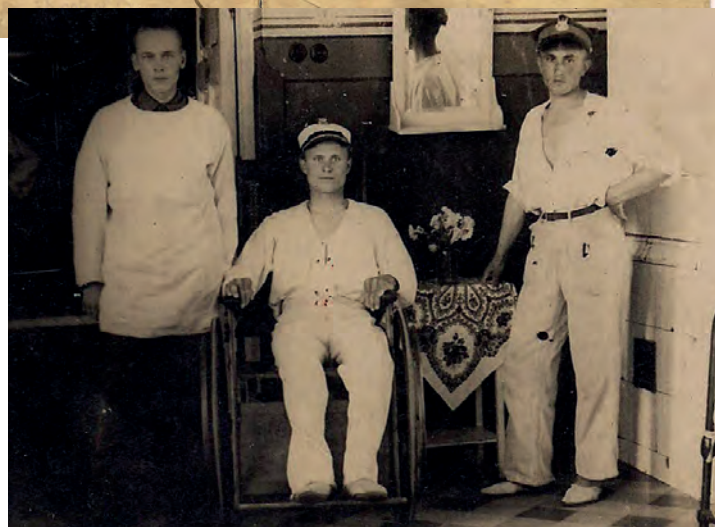
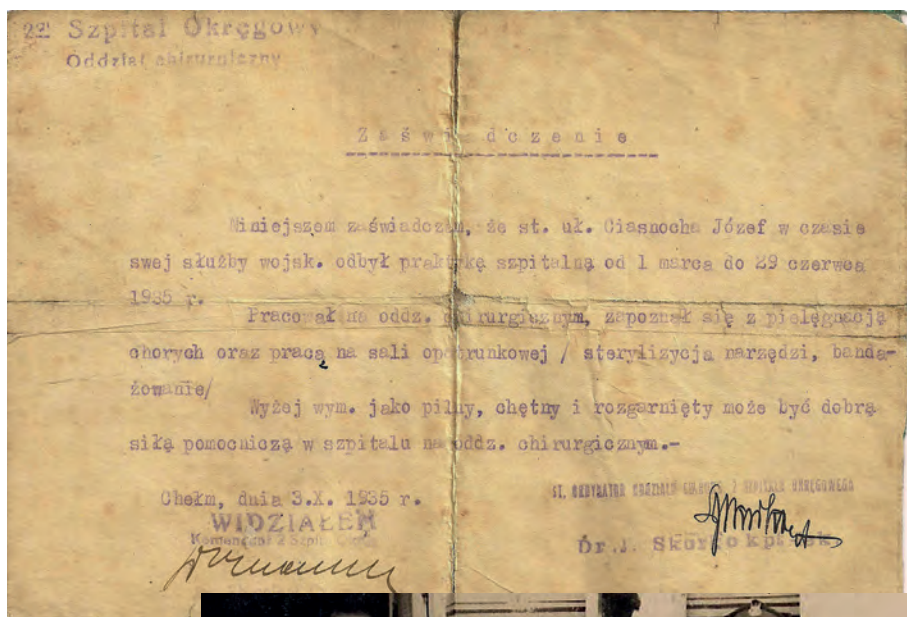
Odcisk okrągłej pieczęci z Godłem Państwa w otoku i napisem: „2-gi Szpital Okręgowy w Lublinie” Lublin, dn. 28 lutego 1935 r.

Komendant Kadry Zapasowej 2-go Szpitala Okręgowego /-/ [własnoręczny podpis nieczytelny] dr Ceceniowski Stanisław ppłk. Komendant Kadry”.



Józef Ciasnocha (czwarty z lewej w górnym rzędzie)

Ukończył kurs sanitarny i odbył praktyki szpitalne. Określony jako „rozgarnięty” mógł stanowić dobrą pomoc chirurgiczną.



Powyżej zaświadczenie o praktykach na oddziale chirurgicznym, poniżej Józef Ciasnocha (pierwszy z lewej) w czasie praktyk szpitalnych

Gdy nadszedł jeden z najstraszniejszych dni w naszej historii, 1 września 1939 r., 27-letni Józef Ciasnocha, wówczas już mąż Stefanii Szwedówny i ojciec małego Czesia, został powołany do wojska.

W czasie kampanii wrześniowej jego oddział został rozbity pod Warszawą i to stamtąd 30 września 1939 r. wrócił na Maliniec, gdzie po ślubie zamieszkał wraz ze swoją nową rodziną.

Z jego powrotem do domu wiąże się też pewna historia, której głównym bohaterem był mój dziadziu – wówczas niespełna trzyletni Czesio. Po śniadaniu, kiedy mama (moja prababcia) sprzątała ze stołu, Czesio do swego kubeczka zbierał okruszki chleba, mówiąc, że to dla taty, który zaraz przyjdzie i będzie głodny. Jakież było zdziwienie Stefanii, gdy w drzwiach, gdy jeszcze nie zdążyła umyć kubka Czesia i wyrzucić resztek, które jej synek przygotował dla taty, zobaczyła swego męża – Józefa.

Czy był to niezwykle zbieg okoliczności, czy też jakieś niezwykle przeczucie drzemiące w sercu małego chłopca. Tego nigdy się nie dowiemy. Pewne jest jednak, że Józef Ciasnocha szczęśliwie wrócił do domu.

W czasie wojny służył swoją pomocą wielu oddziałom partyzanckim, których w lasach janowskich nie brakowało.

Z racji tego, że od dziecka znalazł te lasy, był doskonałym przewodnikiem i jak mówił: „Prowadzałem partyzantów na akcje przeciw Niemcom”. Służył także swą wiedzą medyczną wszystkim, którzy tego potrzebowali.

Po doświadczeniach wojennych, które w tym rejonie Rzeczypospolitej były szczególnie dotkliwe dla ludności cywilnej, także dla naszej rodziny, Józef postanowił przenieść się wraz ze swoją rodziną na tzw. Ziemię Odzyskaną.

W pacyfikacji wsi Osówek zginęli krewni ze strony babci pradziadka Józefa – Marianny Rapa. A także z rodziny Lewandowskich – krewnych ze strony prababci Zofii Szwedo z d. Lewandowskiej. Mieszkańcy wsi zostali bestialsko wymordowani za pomoc partyzantom, którzy w janowskich wioskach zawsze mogli liczyć na życzliwość i wsparcie mieszkańców, nawet za cenę życia.

Tablica poświęcona pamięci mieszkańców Osówka zamordowanych za pomoc partyzantom



ANTONI SYP Z RODZINĄ
WALENTY SYP Z RODZINĄ
STANISŁAW GOLEN Z RODZINĄ
STANISŁAW ROCZNIK Z RODZINĄ
JAN NIEKOCHAŃSKI Z RODZINĄ
BŁAŻEJ RAPA Z RODZINĄ
TOMASZ RAPA Z RODZINĄ
BOLESŁAW RAPA Z RODZINĄ
ANTONI LUCIAN Z RODZINĄ
ADAM KRÓL Z RODZINĄ
ADAM SKRZYPEK Z RODZINĄ
JAN SKRZYPEK
STANISŁAW SKRZYPEK
FRANCISZEK LUCIAN
FELIKS BUDKOWSKI
ANNA SIEBIDA
BOLESŁAW LEWANDOWSKI

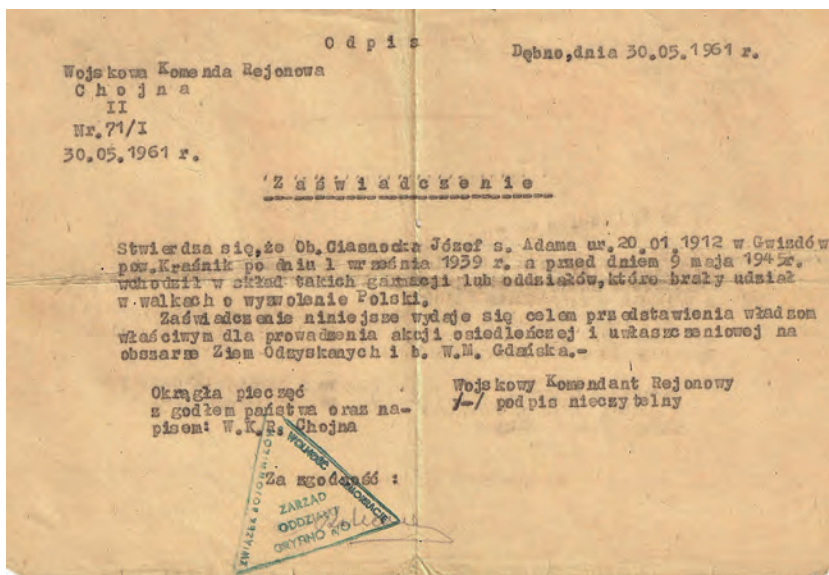
CZEŚĆ ICH PAMIĘCI
OSÓWEK DNIA 29 IX 1967

Z opowieści prababci Stefanii – mamy dziadka Czesława, którą przekazała mi babcia Kazia i ciocie Anna i Bogumiła – znam jedną niezwykłą opowieść.

Z racji tego, że Czesio był jeszcze bardzo mały, Stefania nie pracowała w polu ani w lesie jak inne kobiety, zajmowała się swym małym synkiem i obejściem. W związku z tym inne kobiety korzystały z pomocy Stefanii i pozostawiały pod jej opieką także swoje dzieci.

Pewnego dnia, gdy mężczyźni pracowali w lesie lub polu, do wsi zajęchali Niemcy. Otoczyli całą niewielką miejscowość. Stefania nie miała szans, aby uciec do pobliskiego lasu, w którym wraz ze swym synkiem i innymi dziećmi mogła znaleźć bezpieczne schronienie. Postanowiła pozostać w domu i powierzyć siebie i dzieci Bogu. Modląc się, usłyszała ryk motorów i na podwórze zajęchało kilkunastu Niemców, którzy szybko rozbiegli się po wszystkich zabudowaniach. Jeden z nich, ten który przyjechał na motorze, skierował się do domu. Gdy stanął w drzwiach, dzieci rozplakały się. Szukały schronienia w ramionach Stefanii, która mogła je tylko przytulić. Niemiec popatrzył na Stefanię i wystraszone dzieci, uśmiechnął się

Po zakończeniu zawieruchy wojennej Józef i Stefania postanowili rozpocząć swoje nowe życie na Ziemiach Odzyskanych, jako osadnicy wojskowi. Józef wraz z mężem swej siostry – Franciszki – przyjechał wcześniej do Weltynia, który nazywał się wówczas Włotyń. Wybrali dla swych rodzin piękne, duże, murowane domy – tak różne od tych, które pozostawili wśród lasów janowskich.



„Stwierdza się, że Ob. Ciasnocha Józef s. Adama ur. 20.01.1912 r. w Gwizdowie pow. Kraśnik po dniu 1 września 1939 r. a przed 9 maja 1945 r. wchodził w skład takich organizacji i oddziałów, które brały udział w walkach o wyzwolenie Polski.

Zaświadczenie niniejsze wydaje się celem przedstawienia władzom właściwym dla prowadzenia akcji osiedleńczej i uwłaszczeniowej na obszarze Ziemi Odzyskanych b. W.M. Gdańska.

Wojskowy Komendant Rejonowy – [podpis nieczytelny]”

Do opowieści Babci Kazi dołączyła ciocia Ania, która niemal codziennie odwiedza Babcię. I to ona kontynuowała niezwykłą opowieść o moich pradziadkach.

Dziadek Józek wspominał, że wszystko było niezwykle. Zaskoczyły ich nawet brukowane ulice we wsi, a przede wszystkim piękny kościół, w którym żołnierze radzieccy urządzili stajnię dla koni. Załatwienie formalności związanych z przejęciem w posiadanie gospodarstw trochę trwało, a zapasy

żywności szybko się skończyły. Pieniądzy też za wiele nie było, a nawet gdyby były, to nie było co za nie kupić. Żeby przetrwać w tych warunkach, osadnicy gotowali „rosół” z młodych wron.

Wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy do Weltyńia przybyła cała rodzina: Józef, jego małżonka Stefania i niespełna dziesięcioletni Czesio.



Rodzina Ciasnochów –
koniec lat 40-tych XX wieku

Dla Czesia wszystko było nowe, niezwykle i ciekawe. Puste domy nęciły swoją zagadkowością i były polem niezwykłych odkryć dla młodego, żądnego wrażeń człowieka. Już po kilku dniach mały majsterkowicz złożył sobie z niekompletnych rowerów swój pierwszy jednoślad. Oczywiście fascynujące były pozostałości wojenne – czołg, samolot – na pobliskim polu. Niestety na dzieci czyhało wiele niebezpieczeństw – niewybuchy, niewypały, a także ciekawość, która skłaniała je, np. do rozbijania bomb. I w tej dziedzinie Czesio był prawdziwym mistrzem. Dla niego to igranie ze śmiercią skończyło się szczęśliwie. Dla jego kilku kolegów – niestety nie.

Wojna, choć już miniona, nadal zbierała swoje krwawe żniwo i to wśród najmłodszych.

Ale wróćmy na chwilę do Stefanii. Wyobraźmy sobie taką scenę. Wysocka, 27-letnia brunetka o brązowych oczach wchodzi do wielkiej, wyłożonej kafelkami kuchni. Stawia na środku swój tobolek, siada na nim i zaczyna płakać. Nic jej nie cieszy – ani wielki dom, ani piękne zabudowania gospodarcze, ani perspektywa lepszego życia. Łzy płyną jej po policzkach

i nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Nawet podekscytowanie jej syna. Głos więźnie jej w gardle. Mówi tylko cicho: „Józek, gdzieś ty nas przywiózł? Jak my tu będziemy żyć? Przecież tu były Niemcy!”

Po latach wspominała, że gdyby ktoś jej wtedy powiedział, że pieszo ma wracać na swój ukochany Maliniec, gdzie zostawiła mamę Zofię i tatę Marcina, a także swe siostry Janinę i najmłodszą Stasię, zrobiłaby to bez zastanowienia.

Mijały dni. To co obce, stawało się swoje, bliskie, moje, nasze. Mój nowy sąsiad, mój dom, moja ziemia.

Pewnie każdy, kto przybył wówczas do Włotyń (Weltyń), czuł podobnie. A przybyli tu Polacy z różnych stron. Najwięcej było ich z dawnych Kresów Rzeczypospolitej, z województw: lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławskiego, lubelskiego, okolic Wilna, Zamojszczyzny i innych rejonów naszej Ojczyzny. Byli także ci, którzy wracali z robót z głębi III Rzeszy i postanowili pozostać tu, bo tu już była Polska. Byli też wędrowcy z Francji, którzy w Weltyńiu znaleźli swój nowy dom. W Weltyńiu pozostało także kilku Polaków, którzy tu pracowali w czasie wojny.

Józef i Stefania szybko zintegrowali się z nową społecznością. Czesio we wrześniu 1946 r. poszedł do szkoły. Józef zajął się uprawą roli. Służył także swoją wiedzą medyczną. W domu przy ulicy Gryfińskiej uruchomiono punkt PCK.



Na zdjęciu widoczna jest z lewej strony tablica z napisem: „POLSKI CZERWONY KRZYŻ / PUNKT SANITARNY

Zdjęcie przedstawia Stefanię Ciasnochę i bratanicę Józefa – Marię



Rodzina Ciasnochów: Stefania,
Józef i Czesław. Na ścianie
widoczna tablica ze znakiem PCK
(zdjęcie pochodzi z końca
lat 40-tych XX w.)

Każdy wiedział, gdzie w razie nagłej potrzeby można zwrócić się o pomoc. Fachowość Józefa została doceniona przez służby medyczne i zaproponowano mu pracę w gryfińskim szpitalu. Jednak Józef, mimo namów żony, odmówił. Dla niego – syna chłopa – najważniejsza była ziemia, którą mógł uprawiać, a ona odwdzięczała się swymi plonami.

Choć to również w okresie Polski Ludowej nie było takie proste. Niejednokrotnie przymusowe dostawy nałożone na rolników przekraczały ich możliwości i z tego tytułu Józef też miał wiele kłopotów. Karany był m.in. przez Kolegium ds. Wykroczeń za niewywiązywanie się z przymusowych dostaw płodów rolnych. W okresie tworzenia kolchozów, odmówił wstąpienia do niego i dlatego obwołano go kulakiem.

W tzw. okresie stalinowskim za przygotowanie kołędników i kołędowanie na wsi również ukarany został przez Kolegium ds. Wykroczeń.

Józef, oprócz pracy na roli, zajmował się także zbieraniem ziół i odławianiem pijawek, które dostarczał do gryfińskich aptek. Jeszcze po jego śmierci zdarzały się sytuacje, że w domu przy ulicy Gryfińskiej pojawiali się nieznajomi, którzy słyszeli, że tu można dostać pijawki.

W czasach, gdy mieszkał jeszcze w lasach janowskich, pozyskiwał także jad zmił, których tam nie brakowało.

Zimą w gospodarstwie nie było tyle pracy, wyplatał więc koszyki, robił beczki, niecki, drewniane łyżki i inne przedmioty, które były przydatne w domu i w obejściu.

Po latach z punktu pierwszej pomocy zachowała się księga chorych, pieczętka, szczypce do wrywania zębów, szklane strzykawki, buteleczki po jodynie, pojemnik do sterylizacji narzędzi.

Stefania zaangażowała się w prace społeczne, szczególnie na rzecz parafii w Weltyniu.

W powstaniu parafii swój udział miał także Józef, który wraz z kilkoma mieszkańcami udał się do biskupa z prośbą o utworzenie w ich wiosce nowej parafii. Mieszkańców przybywało. Na świat przychodzili nowi. Ta prośba została spełniona i w 1959 r. w Weltyniu powołano parafię. Do tej pory Weltyń był częścią parafii w Gryfnie, w której to w 1947 r. Czesio przyjął z rąk ks. Jana Palicy, I Komunię Świętą.

Zapis z kroniki parafialnej:

„Do chwili erekcji, tj. 22.02.1959 r. kościół w Weltyniu był administrowany przez księży z Gryfina. Pragnienia mieszkańców i ich starania zostały urzeczywistnione. W uroczystość katedry św. Piotra Jego Ekscelencja ks. Bp. Gorzowski Wilhelm Pluta eryguje parafię Weltyń. Paragraf 2 i 3 Dekretu brzmi: „Nowa parafia powstaje z podziału parafii pod wezw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Starym Czarnowie i pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Gryfnie. W tym celu odlącono od parafii w Gryfnie miejscowości: Weltyń, Gardno, Wirów, Wysoka. Od parafii w Starym Czarnowie: Żelislawiec, Kartno i przyłączono do nowej parafii p.w. św. Szczepana w Weltyniu.”

Pierwszym proboszczem został mianowany ks. Franciszek Moździerz (ur. 18.06.1931 r., wyświęcony 24.06. 1956 r. zm. 2016 r.). Proboszczem zostaje zaledwie trzy lata po otrzymaniu święceń kapłańskich. Swoją posługę rozpoczyna w trudnych warunkach. Pierwszą trudnością na drodze młodego księdza jest brak mieszkania. Proboszcz wraz ze swoją matką zamieszkał w wynajętym pokoju z kuchnią mieszczącym się w domu Michała Surowego przy ulicy Gryfińskiej...

Zapis z kroniki parafialnej:

„W latach 1946–1959 Weltyń był kościołem filialnym parafii Gryfino. Bezpośrednio po wojnie kościół był zdemolowany. Ludzie, którzy przybyli do Weltynia z różnych stron Polski, a nawet Europy szukają swego nowego miejsca na ziemi, nowego domu, dobrej ziemi, ale nie wyobrażają sobie tego

bez Boga. Swoje pierwsze kroki kierują do kościoła, który po opuszczeniu Weltynia przez swych dawnych mieszkańców oraz wojsko, przeważnie rosyjskie, nie przypomina Domu Pana. Ale już w 1946 r. naprawiono dach i sufit. Wewnątrz widok był przerażający – odpady, śmieci, resztki zabitego konia, brak okien. Zachował się tylko ołtarz i ambona. sprzątno z pośpiechem. Mieszkańcy Weltynia we mszach świętych uczestniczyli w Gryfnie, tam też weltyńskie dzieci przyjęły pierwszą komunię świętą.

Staraniem mieszkańców ks. Dziekan Palica poświęcił dwa przydrożne krzyże, które stały się symbolem tego, że na te ziemie wróciła Polska. Poświęcenie odbyło się w obecności władz powiatowych. We wsi zawiązał się komitet na rzecz remontu kościoła, w jego skład weszli: Jan Lehman, Bronisław Lewandowski, Jan Łysakowski. Zebrano pewną kwotę pieniędzy. Po pewnym czasie utworzono nowy komitet w składzie: Józef Czekan, Józef Ciasnocha, Jerzy Szaraczek [?], Jerzy [?], Bronisław Lewandowski, Brunon Chęciak. Pod egidą tego komitetu naprawiono dach, uporządkowano plac kościelny. W dniu św. Szczepana (26 XII) 1946 r. ks. Dziekan Palica poświęcił kościół.”



Do sakramentu bierzmowania przystąpiło 380 osób. Świadcami bierzmowania byli: Ciasnocha Stefania i Gieraga Michał

Zapis z kroniki parafilanej:

„24 maja 1964 r. odbywa się wizytacja arcybiskupa Ignacego Jeża. W powitaniu Jego Ekscelencji biorą udział wszystkie stany.

Ks. arcybiskup udziela sakramentu bierzmowania. Do sakramentu przystępuje 380 osób. Świadcami bierzmowania byli Stefania Ciasnocha i Michał Gierga.

Ks. arcybiskup odwiedził chorych oraz rodzinę wielodzietną.”

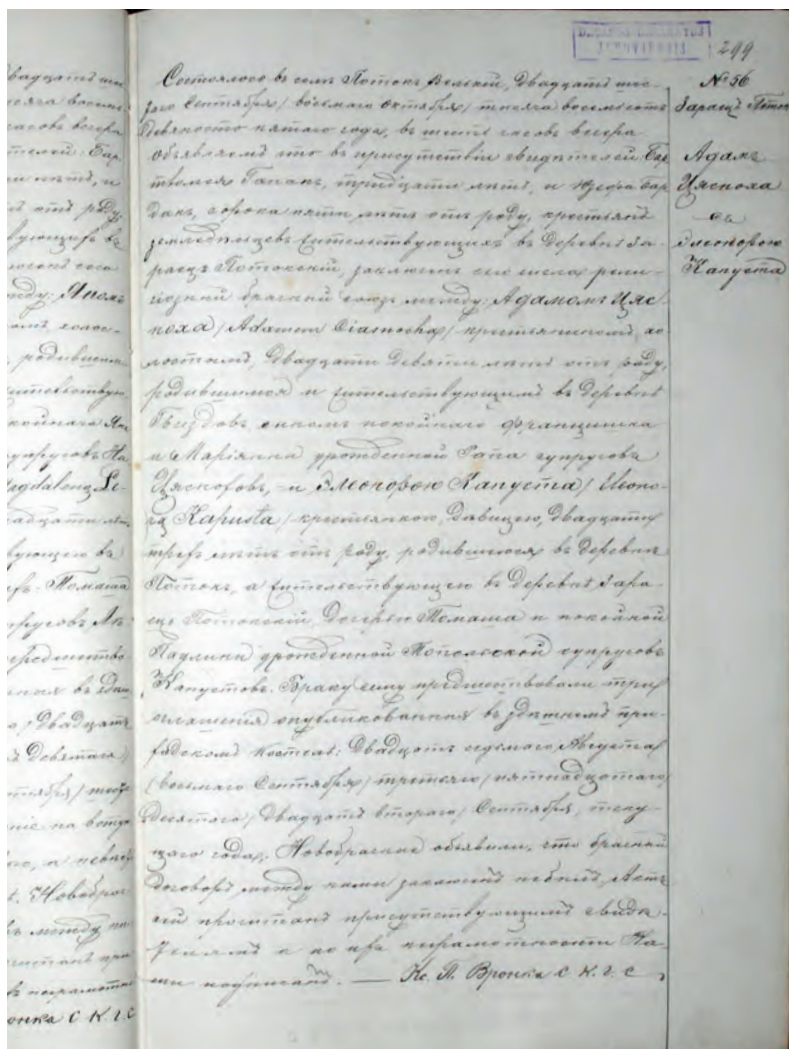
Stefania zajęła się oprawą świąt kościelnych. Uczyla dziewczynki sypania kwiatów, czuwała nad liturgią słowa, przewodziła śpiewom. Uczyla recytacji wierszy, wygłaszanych z różnych okazji.



Stefania Ciasnocha, ks. Franciszek Moździerz – pierwszy proboszcz parafii w Welnym oraz dziewczynki sypiące kwiatki w okresie święta Bożego Ciała

Czas szybko płynął. Czesio stał się Czesławem i sam założył rodzinę wraz z Bronisławą z domu Figiel. Z tego związku na świat przyszło troje dzieci: Bogumila, Marek i Anna. Bronisława, to pierwsze imię Babci Kazi, która przybliżyła mi historię mojej rodziny. Jej poznanie ułatwiły zgromadzone przez pradziadka dokumenty i fotografie. Teraz wiem, jak jest to ważne, żeby wiedzieć, kim się jest i skąd się pochodzi. Doceniłam też fakt, że babcia „niczego nie wyrzuca”. Kiedyś to ja opowiem historię mojej rodziny swoim dzieciom.

Dzięki pomocy cioci Ani udało mi się dotrzeć do aktów urodzenia i zgonu moich prapradziadków. Poniżej znajdują się ich skany oraz tłumaczenie z języka rosyjskiego.



Akt ślubu prapradziadków Ciasnochów – Eleonory i Adama, 1895 r.

Tłumaczenie aktu ślubu Adama Ciasnocha i Eleonory Topolskiej „Działo się to we wsi Potok Wielki 26 września/8 października 1895 r. o godz. 6:00 po południu (18:00) w obecności świadków Bartłomieja Gapak [?] 30 lat mającego i Józefa Bardak 45 lat mającego – włościan, gospodarzy rolnych mieszkających we wsi Zarajec Potocki zawarty został związek małżeński pomiędzy Adamem Ciasnocha włościaninem lat 29 mającym urodzonym i zamieszkałym we wsi Gwizdów synem zmarłego Fraciszka i Marianny urodzenia Rapa małżonków Ciasnochów i Eleonorą Kapusta włościanką

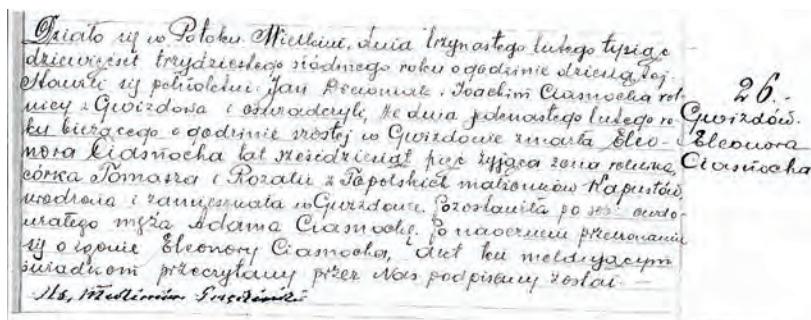
23 lata mającą urodzoną we wsi Potok, a zamieszkałą we wsi Zarajec Potoczek, córką Tomasza i zmarłej Pauliny z domu Topolskiej małżonków Kapustów. Małżeństwo to poprzedziły trzy ogłoszenia (zapowiedzi): 27 sierpnia/8 września; 3/15 września; 10/22 września. Nowożeńcy oświadczyli, że [treść nieczytelna/niezrozumiała]. Przez nas podpisany został. Książd P. Wronka”



Zdjęcie zaprezentowane obok przedstawia mojego prapradziadka Adama Ciasnochę. Ono także znalazło się w domowym archiwum. Jest to jedyny wizerunek prapradziadka, który zachował się w naszej rodzinie. Jednak, znając członków rodziny Ciasnochów, można śmiało powiedzieć, że geny pradiadka Adama wciąż są żywe, ponieważ pomiędzy męskimi członkami rodu wciąż zauważalne jest podobieństwo. Pradiadek wygląda

na człowieka surowego i groźnego. Z opowieści rodzinnych wiem, że był bardzo pracowity, a jego hobby było pszczelarstwo.

Akt zgonu Eleonory Ciasnochy z d. Kapusta – 11 lutego 1937 r.



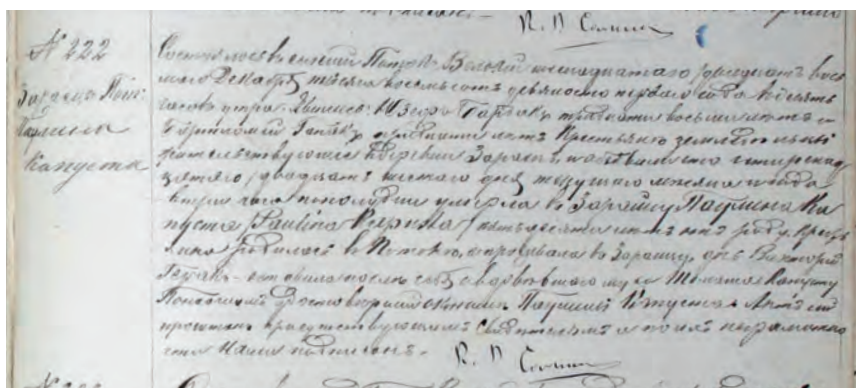
Treść aktu zgonu:

„Działo się to w Potoku Wielkim dnia trzynastego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku o godzinie dziewiątej. Stawili się pełnoletni Jan Drewniak i Joachim Ciasnocha rolnicy z Gwizdowa i oświadczyli, że dnia jedenastego lutego roku bieżącego o godzinie szóstej w Gwizdowie zmarła

Eleonora Ciasnocha lat sześćdziesiąt pięć żyjąca żona rolnika, córka Tomasz i Rozalii z Topolskich małżonków Kapustów urodzona i zamieszkała w Gwizdowie. Pozostawiła po sobie owdowiałego męża Adama Ciasnochę. Akt ten meldującym świadkom przeczytany przez nas podpisany został. [Własnoręczny podpis księdza nieczytelny]”

Na uwagę zasługują pewne nieścisłości dotyczące Eleonory Kapusty. W akcie ślubu z Adamem Ciasnochą jako miejsce urodzenia wskazany jest Potok, zaś w akcie zgonu widnieje Gwizdów. Rozbieżności dotyczą także imienia matki Eleonory. W akcie ślubu wskazana jest Paulina, a w akcie zgonu Rozalia. Wydawać się może, że jednak dane znajdujące się w akcie małżeństwa są bardziej wiarygodne, ponieważ podawane były przez samych zainteresowanych. Dane do aktu zgonu podawał najstarszy syn – Joachim.

Akt zgonu prapraprababci Pauliny Kapusty z d. Topolskiej z d. Topolskiej matki prapraprababci Eleonory Ciasnochy



Tłumaczenie aktu zgonu Pauliny Kapusty z d. Topolskiej

„Działo się to we wsi Potok Wielki 16/28 grudnia 1891 r. o godzinie 7:00 rano. Stawili się Józef Barak 38 lat mający i Bartłomiej Ganiak [nieczytelny], włościanie, gospodarze rolni i oświadczyli, że 14/26 grudnia bieżącego roku o godz. [nieczytelny] po południu umarła we wsi Zarajec Paulina Kapusta z d. Topolska, urodzona w Potoku [?], zamieszkała w Zarajcu córka Wiktorii Gierak. Zostawiła owdowiałego męża Tomasza Kapustę. Po naocznym przekonaniu się o zgonie Pauliny Kapusty [nieczytelny]. Świadkom [nieczytelny] przez nas podpisany został. [Podpis księdza nieczytelny]

Treść aktu urodzenia Stefanii Szwedówny – 5 marca 1917 r.:

[pisownia oryginalna]

„Działo się to w Potoku Wielkim, dnia jedenastego marca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku o godzinie drugiej po południu. Stawił się Marcin Szwedo, lat trzydzieści cztery mający, włościanin, gospodarz rolny, we wsi Maliniec zamieszkały, w przytomności Walentego Lewandowskiego, lat pięćdziesiąt i Antoniego Szwedo, lat czterdzieści siedem mający, obudwóch włościan, gospodarzy rolnych, w Hucie Józefowie zamieszkały, i okazał nam dziecię płci żeńskiej, oświadczając, że jest urodzone we wsi Maliniec, dnia piątego marca bieżącego roku, o godzinie dziewiątej wieczór, z jego małżonki Zofii z Lewandowskich, lat trzydzieści sześć mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym, w dniu dzisiejszym odbytym nadane zostało imię Stefania, a rodzicami jego chrzestnymi byli: Walenty Lewandowski i Regina Fuszara. Akt ten stawiającym i świadkom wszystkim pisać nieumiejącym przeczytany – podpisaliśmy.

[Odręczny podpis księdza – nieczytelny]”

Na koniec odwołam się do słów Cypriana Kamila Norwida:

„...aby drogę mierzyć przyszlą,
trzeba-ć koniecznie pomnieć, skąd się wyszło!”

Dzięki opowieściom babci Kazi oraz cioci Ani uzyskałam wiedzę na temat „skąd wyszłam”. Poznałam historię mojej rodziny po mieczu. Wreszcie zrozumiałam, że historia to nie jest tylko przedmiot, którego ucze się w szkole, ale ma ona realny wpływ na życie wszystkich ludzi – moje i mojej rodziny też. To historia zdecydowała, że mieszkam tutaj – na Ziemi Gryfińskiej. Gdyby nie decyzja pradziadka Józefa, nigdy byśmy tu nie trafili. To zawierucha wojenna i jej konsekwencje zdecydowały, że Pomorze Zachodnie trafiło do Polski, a moi pradziadkowie brali czynny udział w budowaniu polskości tych ziem.

Martyna Liszewska

Liceum Ogólnokształcące

w Zespole Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 Roku
w Kaliszu Pomorskim

Mój pradziadek - policjant z fotografii

Wstęp

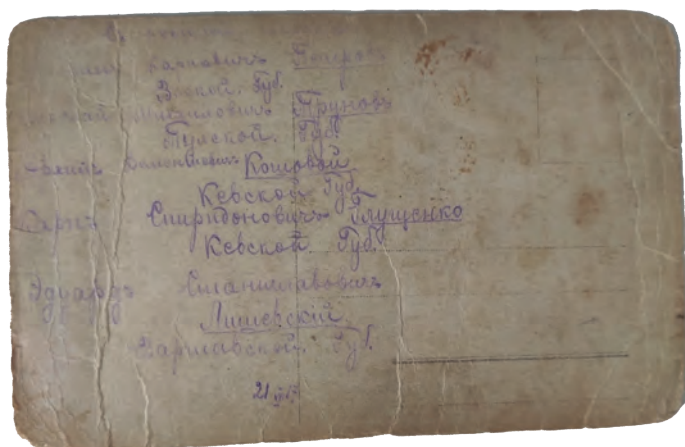
Gdy otrzymałam informację w szkole o konkursie „Znajdź swoją rodzinną pamiątkę i opisz jej historię”, od razu wiedziałam, że powinnam wziąć w nim udział, ponieważ historia mojej rodziny jest bardzo ciekawa. Od pokoleń związana ze służbą w policji, walką o wolność i niepodległość Polski. Wielokrotnie słyszałam historie mojego pradziadka Edwarda Liszewskiego oraz dziadka Witolda Liszewskiego opowiedane przez tatę. Bardzo często tato opowiadał i pokazywał mi album ze starymi zdjęciami członków mojej rodziny, które są dla nas bardzo ważną, bezcenną, pilnie strzeżoną, pamiątką rodzinną. Najważniejsze wśród zdjęć są zdjęcia mojego pradziadka, a szczególnie jedno, jedyne, na którym został sfotografowany w okresie międzywojennym, w mundurze policjanta.

Zdjęcia pradziadka z rodzinnego albumu

Na pierwszym miejscu w albumie znajduje się zdjęcie mojego pradziadka Edwarda Liszewskiego, urodzonego 3 lutego 1889 r. w Tarczynie. Jest to zdjęcie czarno-białe przedstawiające siedzącego pradziadka na krześle przy stoliku w rosyjskim mundurze. Zdjęcie wykonane było u fotografa w Tarczynie. Pradziadek mieszkający w zaborze rosyjskim został przymusowo wcielony w ramach poboru do armii carskiej, gdzie odbywał służbę wojskową jako młody chłopak, mając zaledwie 19 lat.

Zdjęcie Edwarda Liszewskiego z okresu służby wojskowej w armii carskiej





Odręczna informacja napisana przez Edwarda Liszewskiego na odwrocie fotografii z 1917 r.

W albumie znajduje się także zdjęcie, które jest opisane przez pradiadka na odwrocie w języku rosyjskim. Z opisu wynika, że zostało wykonane w lipcu 1917 r., ponieważ na informacji widnieje data 21 lipca 1917 r. Opis zawiera dedykację dla żony Marianny Liszewskiej, czyli dla mojej prababci. Zostało wysłane z frontu wschodniego podczas I wojny światowej. Zdjęcie jest czarno-białe, wykonane u fotografa i przedstawia pradiadka wraz z kolegami, z którymi w tamtych czasach służył.



Edward Liszewski (siedzi pierwszy z prawej strony) z kolegami – I wojna światowa

Najcenniejsza fotografia z rodzinnego albumu

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r. i walce o granice, pradziadek w 1920 r. wstąpił do policji w okręgu warszawskim. Pracował między innymi w Tarczynie, w Grójcu oraz Mogielnicy, miejscowościach w okolicach Radomia. Dosłużył się stopnia przodownika posterunku policji w Tarczynie, gdzie służył jednoosobowo i miał pod sobą kilka gmin. Był wtedy już mężem i ojcem czwórki dzieci: Janiny, Henryka, Witolda, Ryszarda.



Zdjęcie Edwarda Liszewskiego z żoną i synem Henrykiem wykonane podczas drogi do kościoła w Tarczynie, połowa lat 30-tych XX w.

Oczywiście zdjęcia mojego pradziadka z okresu służby w wojsku carskiej Rosji i I wojnie światowej są dla mnie bardzo ważne, jednak najważniejszym zdjęciem z przekazem dla mnie jest zdjęcie pradziadka w trakcie służby w policji. Jest to jedyne zdjęcie gdzie widać pradziadka w mundurze policyjnym. Na zdjęciu widać postać mojego pradziadka – Edwarda, moją prababcie, żonę Edwarda – Mariannę oraz ich syna – Henryka.

Zdjęcie zostało wykonane w jedną z niedziel podczas drogi do kościoła w Tarczynie. Zważywszy na przypuszczalny wiek Henryka na zdjęciu, około 15 lat można przypuszczać, że zostało wykonane około roku 1935. Zdjęcie ma naderwany róg. Być może zostało uszkodzone w portfelu, w którym było ukrywane przez córkę pradziadka Janinę Liszewską od roku 1945 do 1989. Jest to jedyne zdjęcie pradziadka z okresu służby w policji, w mundurze, gdyż pozostałe fotografie w obawie przed represjami wobec pradziadka i jego rodziny zostały spalone przez córkę Janinę podczas II wojny światowej.

Wojenne i powojenne losy Edwarda Liszewskiego

Po ataku Niemiec na Polskę i wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 r. pradziadek chciał przedostać się wraz z innymi policjantami oraz elitą warszawską do Rumunii. Po agresji ZSRR na Polskę w 17 września 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej i został wywieziony przez NKWD do Ostaszkowa. Został wraz z innymi polskimi jeńcami zamknięty w starym opuszczonym kościele, skąd cudem uciekł z powrotem do Warszawy. W tamtym czasie jeszcze nikt nie wiedział jaki los spotka polską inteligencję i elitę ze strony Rosjan. Dziś wiemy, że większość więźniów obozu w Ostaszkowie, została wiosną 1940 r. wymordowana przez NKWD na rozkaz Stalina strzałami w tył głowy. Tego dramatycznego losu udało się uniknąć mojemu pradziadkowi.

Wybuch wojny w 1939 r., okupacja niemiecka i sowiecka, a potem komunistyczna Polski po wojnie, spowodowały, że pradziadek zakończył na zawsze służbę w policji. Podczas II wojny światowej Tarczyn znalazł się pod okupacją hitlerowską. Niemcy w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie mieszkał pradziadek, i gdzie wrócił po ucieczce z Ostaszkowa, utworzyli w oparciu o przedwojennych policjantów, tzw. Policję Polską Generalnego Gubernatorstwa, potocznie nazywaną granatową policją. Przedwojenni policjanci pod groźbą surowych represji musieli przymusowo wstąpić i służyć w tej formacji. Jednak Edward Liszewski nie chciał współpracować z okupantem i nie wstąpił do granatowej policji. Oznaczało to dla niego konieczność ukrywania się w obawie przed aresztowaniem przez Niemców do końca wojny. Z opowieści taty wiem, że w związku z tym faktem wszystkie dokumenty pradziadka wraz z legitymacją oraz mundurem policyjnym zostały spalone, a pradziadek przez sześć lat okupacji nie przebywał w miejscu zameldowania, tylko się ukrywał, będąc przez cały czas w drodze, aby za długo nie przebywać w jednym miejscu. Bał się o życie swoje i najbliższych.

Dalsza historia pradziadka związana była z przyjazdem w 1945 r., na jak to nazywała komunistyczna propaganda – Ziemie Odzyskane – do Drawska Pomorskiego, z obawy przed represjami ze strony Urzędu Bezpieczeństwa, które groziły pradziadkowi z powodu służby w przedwojennej policji. Oczywiście powrót do służby w utworzonej przez polskich komunistów Milicji Obywatelskiej byłby możliwy, ale nie wchodził w grę. Pradziadek jako policjant służył tylko wolnej i suwerennej Polsce. W Drawsku Pomorskim Edward Liszewski podjął pracę w zakładzie energetyki na stanowisku rachmistrza. Do końca życia ukrywał w fakt, że był przed wojną policjantem. Prowadząc spokojne życie wraz z rodziną Edward Liszewski zmarł 1 sierpnia 1974 r. w Drawsku Pomorskim, gdzie został pochowany.

Znaczenie zdjęć pradziadka

Jakie jest znaczenie tych zdjęć w mojej rodzinie? Oczywiście ogromne. Dla mnie te zdjęcia są bardzo ważnymi pamiątkami. Dzięki nim poznałam historię pradziadka, przedwojennego policjanta. Dowiedziałam się jak wyglądał on i inni dawno nieżyjący członkowie mojej rodziny, których nie miałam okazji poznać.

Mój pradziadek Edward Liszewski był wzorem do naśladowania dla swoich synów. Henryk w czasie II wojny światowej był harcerzem Szarych Szeregów. Wszyscy synowie, Ryszard, Henryk i Witold, służyli w wojsku. Mój tato, Mariusz Liszewski odziedziczył po swoim dziadku Edwardzie zamiłowanie do pracy w policji. Dzisiaj jest policjantem w niepodległej Polsce. We wrześniu 2021 r. podjęłam naukę w klasie policyjno-penitencjarnej kaliskiego liceum także dlatego, że zamierzam kontynuować rodzinną tradycję. Po ukończeniu szkoły chcę wstąpić w szeregi policji, tak jak uczynił to w okresie międzywojennym mój pradziadek, a teraz mój tato.

Żałuję, że pradziadek nie doczekał wolnej Polski. Na pewno byłby dumny z wnuka policjanta i prawnuczki, która również chce podążać jego śladami.

W albumie rodzinnym mamy wiele zdjęć taty w mundurze policjanta, ale zdjęcie pradziadka, najcenniejsze ze wszystkich, chociaż najbardziej zniszczone, jest tylko jedno...

Oliwia Białkowska

Szkoła Podstawowa im. Władysława Szafera w Widuchowej



Zwykła, czarna rękawiczka. Zniszczona już, ale nadająca się jeszcze do noszenia. Osoba, która ją nosiła to moja prababcia. Prababcia Wanda często zakładała rękawiczki. Miała ich kilka par. Były dostosowane do różnych pór roku. Niestety po prababci została tylko jedna para. Jest to nasza pamiątka. Dlaczego prababcia często nosiła rękawiczki? O tym właśnie opowiem. Losy mojej krewnej były tragiczne, ale warte opisania, bo niewątpliwie ciekawe.

Prababcia Wanda – w zasadzie Stanisława Kurkowska z domu Wójcik – pochodziła z Małej Kujawskiej. Urodziła się w tym cudownym roku 1920. Roku urodzenia naszego papieża Jana Pawła II i „Cudu nad Wisłą”. Miała trudne dzieciństwo oraz młodość. Przypadały one na pierwsze lata odzyskania niepodległości i upadku II RP oraz czasu okupacji niemieckiej i sowieckiej. Pochodziła z ubogiej rodziny chłopskiej, która miała, jak na owe czasy, niewielkie perspektywy. Po ukończeniu szkoły powszechnej mogła albo iść do pracy w dworze pańów Borzewskich w Ugoszczu, albo wyjść za chłopa z kilkoma morgami ziemi. Padła też propozycja wstąpienia do zakonu lub zabieganie o pracę w cukrowni Ostrowite, której współzałożycielem i długoletnim prezesem był Antoni Borzewski. „Chłopa nie chcę, brat jest księdzem, więc Bogu wystarczy...” – mówiła. Została dozorcą w zakładzie produkującym cukier.

Czas beztronski minął wraz z rokiem 1939. Obrazy wojny, przemocy i śmierci całkowicie zmieniły świat. Mimo skromnej pensji, która i tak w większości szła na utrzymanie domu rodzinnego znikło coś, co było najważniejsze – bezpieczeństwo i radość życia. Wraz z okupacją niemiecką nastaly ciężkie czasy. Zaczynalo brakowac jedzenia i coraz wiecej ludzi glodowalo. Rarytasem byly ziemniaki, cukier zas byl towarem luksusowym. Te biale krysztalaki, w tych trudnych czasach, byly lekarstwem dla niedozzywionych dzieci. Byl praktycznie niedostepny, poniewaz cala

produkcję wywożono do Niemiec. Polakom zostawały wysłodki, czyli odpady z buraków. Jeśli ktoś miał krowę lub świnie, karmiono je nimi. Po roku okupacji już nie było zwierząt hodowlanych. W większości konfiskowali je Niemcy i wysyłali do swojego kraju jako łupy wojenne. Jeśli komuś udało się jakimś cudem ukryć zwierzęta, to dawno zostały zjedzone. Ludzie zaczęli wysysać z suchej melasy sok lub gotować z niej dziwne zupy.

Pracownicy cukrowni wynosili małe bryłki cukru dla dzieci słaniających się z wycieńczenia. Na początku każdy ukradkiem, by nikt nie widział, lecz później już jako zorganizowana grupa.

Prababcia Wanda pracowała jako dozorca, który pilnuje i odpowiada za cukier przed załadunkiem transportu do Niemiec. Któregoś dnia doliczono się braków. Prababcie aresztowano. Najpierw były groźby, lecz później obiecywano nagrodę, a gdy to nie pomagało zaczęło się bicie. Po kilku dniach takiego przesłuchiwanie oprawcy stwierdzili, że to nie ma sensu. Jeden z przesłuchujących stwierdził, że ma coś niezawodnego. Przyniósł przedmiot, który włożono w rękę prababci. Między palce włożył kolki, które rozszerzały stawy i unieruchamiały całą dłoń. W nadgarstku i łokciu zawiązano pasy. Ręka nawet nie drgnęła. Oprawca wyciągnął z kieszeni garść drewnianych drzazg cienkich jak igły.

– Kto kradł cukier? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała ze łzami prababcia.

– Zaraz się dowiemy – z szyderczym uśmiechem powiedział oprawca.

Wziął drzazgę i zaczął ją wbijać pod paznokieć z wielką precyzją i radością. Bóg jeden wie tylko, jak daleko niósł się wrzask prababci i jak przeraźliwy musiał być płacz. Bóg jeden wie, jak wielką rozkosz sprawiało to niemieckiemu katowi. Bóg jeden wie, w jak strasznym tańcu złączyły się krzyki ofiary i śmiech oprawcy.

– Dziecko, w tej chwili modliłam się do Boga tylko o szybką śmierć, by się to skończyło. Tak bardzo chciałam umrzeć, by to się skończyło. Nie wiem, jak długo to trwało i nie pamiętam, ile razy mdlałam. Traciłam przytomność, lecz szybko odzyskiwałam świadomość, aby znów usłyszeć to samo pytanie – opowiadała prababcia.

– Powiedz, kto kradł cukier? – wciąż pytał.

– Nie wiem – odpowiedziała.

I kolejną drzazgę powoli, z wielką precyzją, wbijał pod paznokieć prababci.

– Nie wiem, jak długo to trwało i nie wiem, co się działo. Przestałam czuć, lecz jedyne, co pamiętam, to jak zmieniali rękę i znów, to samo pytanie, ta sama odpowiedź i ten sam przeraźliwy ból, wrzask, płacz i szyderczy śmiech. Po jakimś czasie odpowiedziałam, że to ja, tylko ja. Obudziłam się z przeraźliwym bólem. Wylam, płakałam, mdlałam. Nie wiem, jak długo tam byłam. Nie wiem, bo prócz bólu nie było niczego. Przeraźliwego bólu. Wyrzucili mnie na ulicę, płakałam. Strasznie płakałam. Ktoś mnie podwiózł kawalek wozem, później troszkę podreptałam i jakimś cudem znalazłam się w domu. Wieści na wiosce szybko się rozchodzą i wszyscy przychodzili niby z chęci pomocy, ale raczej z ciekawości. Każdy chciał zobaczyć dziesięć palców z wystającymi drzazgami. W okolicy nie było już polskich lekarzy. Jeden z chłopów załatwił tylko sobie znanym sposobem wizytę u niemieckiego lekarza. Wioska zebrała to, co miałabym zapłacić lekarzowi. Trochę ziemniaków, kur, kaczek... i ludzie z cukrowni rzucili groszem obficie, oj obficie. Zawieźli mnie wozem tak z dwadzieścia kilometrów. Wprowadzili, zobaczyłam niemiecki mundur. Krzyczałam jak opętana, wrywałam się, bałam się. Wepchnęli mnie na siłę do gabinetu. A on taki dumny, niewzruszony. Kazał wszystkim wyjść. Podszedł i zaczął odwijać szmaty. Siadł i się rozplakał. On płakał i ja płakałam. Nagle wstał energicznie, otarł łzy i zaczął krzyczeć. Przyszli inni Niemcy. Wszyscy biegają coś noszą i szykują. Dowiedziałam się, że będą operować. Lekarz mówił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, ale nie wszystko da się uratować. Zakażenie! Przez miesiąc chodziłam dzień w dzień do tego lekarza. Zmiana opatrunku, jakieś maści, posypki, leki. I tak co dzień. Czasem takim wozem ktoś mnie podwiózł, a czasami trzeba było iść. Po jakimś miesiącu Polka, która sprzątała u niego, już czekała na ulicy. Mówiła, abym uciekała, bo doktora aresztowali. Nigdy już więcej go nie zobaczyłam. Nie podziękowałam mu. Medyk nie wziął ani grosza ode mnie. Nikt nie wie, co z nim się stało – opowiadała prababcia Wanda.

Dlaczego z prababcią kojarzą mi się rękawiczki? Prababcia po torturach miała blizny na dłoniach. Dla każdej kobiety widoczna blizna jest przykra. Aby ukryć tę swoją „pamiątkę”, często nosiła rękawiczki. Osłaniając ręce, unikała również dociekliwych pytań o pochodzenie blizn. Nie lubiła do tego wracać.

Powojenna historia prababci jest owiana tajemnicą. Wszechobecny strach mówienia o tym, co nastąpiło po, jak i w trakcie tzw. wyzwolenia, był nagminny wśród członków całej rodziny. Ze strzępków opowieści można złożyć obraz, który w minimalnym stopniu odwzorowuje to, co się wtedy działo.

Prababcia Wanda miała trudne życie. Zakochała się podczas okupacji w chłopaku z sąsiedniej wsi. Czy był partyzantem, czy kim innym – nikt tego nie wie. Rodzice prababci nie byli do tego związku przekonani. Żadne argumenty nie pomagały. To była miłość! Chłopak po wyzwoleniu nie wyszedł z lasu. Złapano go w 1950 r. i zamknięto w więzieniu. Mówili, że to bandyta. Wypuszczono go po 1954 r. Moja prababcia nigdy go nie opuściła, nie zniechęciło jej ludzkie gadanie, nie pomogło nawet przepuknienie księdza. Miał być ślub... Ksiądz się nie zgodził.

Z tej miłości przyszła na świat moja babcia Jadwiga, lecz nie dane było jej poznać ojca, gdyż zmarł przed jej narodzeniem. Prababcia została sama z nieślubnym dzieckiem. Nie było jej łatwo w tamtych czasach. Pierwszy związek z miłości zakończył się tragicznie. Przyszedł czas na związek z rozsądkiem. Józef Kurkowski oświadczył się prababci w 1960 r., w tym roku odbył się także ślub. Wdowiec z czwórką dzieci i panna z dzieckiem. Całe szczęście było to udane małżeństwo. Pradziadek Józef był starszy od babci o 10 lat. Zmarł, gdy dzieci były już dorosłe, ale jeszcze nie założyły rodzin. Wszystkie dzieci, prócz mojej babci Jadwigi wyjechały na Śląsk. W 1977 r. za mąż wychodzi córka Jadwiga. Z małżeństwa tego urodziło się pięcioro dzieci. Zięć prababci, a mój dziadek Stefan z wykształcenia był budowląncem. Założył firmę, co za czasów komunizmu nie było czymś normalnym. Biznes niestety się nie udał. Zapadła decyzja, że wyjeżdżają. Padło na województwo szczecińskie. Było to w 1985 r. Po pół roku pracy w Kombinacie dziadek dostał pięciopokojowe mieszkanie w Lubiczu i tak też prababcia zamieszkała z moimi dziadkami. Sprzedała dom, działkę i łąkę. Bardzo bała się jechać na Zachód. Zawsze mówiła, że Niemcy tam wrócą. Bała się ich do końca. W Lubiczu wiodła spokojne życie jako rencistka, pomagała w wychowywaniu wnuków. Co roku jeździła na wakacje, jak to mówiła „w swoje strony”. Zawsze powtarzała, że chce tam umrzeć. Któregoś dnia przyszła kobieta, która złożyła propozycję ubiegania się o odszkodowanie za krzywdę. Prababcia nie wyraziła zgody. Nie chciała wracać do tamtych dni. Przychodziła kilka razy i w końcu prababcia się ugięła i podpisała. Wnuk prababci, a mój wujek Andrzej opowiadał, że tylko raz widział, gdy prababcia płakała i było, to wtedy, gdy trzymała w ręku plik banknotów. Gdy zapytał co się stało odpowiedziała: „Wykupili moje sumienie...!”

Latem 1995 r., jak co roku, prababcia wyjeżdżała na wakacje do Torunia. Tego lata mówiła, że jedzie do swojego domu rodzinnego, by umrzeć. Nikt nie przypuszczał, że tak się stanie. Była bardzo szczęśliwa z powodu

przyjazdu i już na wejściu poprosiła swoją siostrę, żeby ją zameldowała, bo ona tutaj zostaje tu się urodziła i tu umrze.

Niestety po miesiącu pobytu u swojej siostry, 21 sierpnia 1995 r., prababcia zmarła. Została pochowana na cmentarzu w Rózu.

Nie poznałam mojej prababci, ale opowieść o niej jest wciąż żywa podczas spotkań rodzinnych. Ja i mój brat Marcel, gdy tylko mamy okazję, opowiadamy losy naszej prababci. Prababcia nie lubiła wracać do tamtych czasów. My natomiast czynimy to, zawsze gdy tylko nadarzy się okazja. Nie można milczeć!

Wiktoria Stępczyńska

Szkoła Podstawowa nr 4 w Stargardzie

Historia pamiętki rodzinnej - z pamiętnika Wiktorii Stępczyńskiej

„Trwałość wspomnień zapewnia nam
wytrwałość w życiu.”

Kamila Kampa

Stargard, 1 kwietnia 2021 r.

Był piękny, słoneczny dzień. Początek Wielkanocy. Pojechałam z rodzicami do babci Teresy i dziadka Stanisława. Kiedy zjedliśmy rodzinny obiad zapytałam babcię dlaczego wybrała zawód księgowej. Co skłoniło babcię do zainteresowania się ekonomią? Babcia uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Moim ulubionym przedmiotem była matematyka, a ekonomia to liczby, zestawienia i analizy. To taki mój magiczny, cyfrowy świat! Całe nasze życie, wnusiu, to ekonomia. Już małe dzieci dokonują wymiany barterowej. To taka wymiana towarami bez udziału pieniądza. Pamiętasz jak byłaś przedszkolakiem i wymieniałaś się z koleżankami petshopami. Zastanawiałaś się czy propozycja złożona przez twoją koleżankę jest korzystna. Decydowałaś, którą zabawkę przeznaczysz na wymianę. To były pierwsze kroki w świecie ekonomii.

To co mówiła babcia miało sens, ale w tamtym momencie ekonomia wydawała mi się bardzo nudna. Moja mama też jest ekonomistką. Czasami przyglądam się jej pracy i zastanawiam się co może być ciekawego w wykonywaniu różnych obliczeń czy tworzeniu sprawozdań finansowych. Myślałam, że ekonomia nie ma nic wspólnego z codziennym życiem. Kilka miesięcy później okazało się jak bardzo się myliłam.

Przełomowy moment w postrzeganiu przeze mnie ekonomii nastąpił, gdy dostałam pierwsze w życiu stypendium naukowe. Nie były to duże pieniądze, ale miały dla mnie ogromną wartość. Dostałam je za wyniki w nauce oraz zwycięstwa w ogólnopolskich konkursach przedmiotowych. Mama bardzo się ucieszyła i powiedziała, że sama zapracowałam na taką nagrodę. Uznała, że to moje wynagrodzenie za dobrą pracę. Byłam z siebie

dumna. To nie były pieniądze otrzymane od rodziców, ale samodzielnie przeze mnie zdobyte. Pierwszy raz długo zastanawiałam się na co je wydać. Byłam już zbyt duża, by kupować zabawki. Mama pozwoliła mi wydać pieniądze na co tylko zechcę. Wspomniała jednak, że dobrze jest inwestować środki w takie rzeczy, dzięki którym zdobywa się nowe umiejętności i w przyszłości można więcej zarobić. Postanowiłam połączyć przyjemne z pożytecznym. Uwielbiam czytać mangi. Kupiłam w księgarni internetowej trzy mangi w języku angielskim. Pomyślałam, że poznam losy nowych bohaterów, a jednocześnie udoskonalam umiejętność czytania tekstów w języku obcym. Teraz, kiedy przyjechałam do babci i dziadka nadarzyła się okazja, by pochwalić się swoją decyzją. Pobieglam do pokoju, wyjęłam z plecaka książki i krzyknęłam:

– Babciu, dziadku! Zobaczcie co kupiłam za swoje stypendium.

Dziadkowie pochwalili mnie za moje osiągnięcia i za to, że tak mądrze wydałam pieniądze. Kiedy tłumaczyłam babci dlaczego mangi są interesujące, zobaczyłam na regale w salonie kolekcję różnych banknotów. Podeszłam bliżej, żeby je zobaczyć. Były piękne.

– Babciu, który banknot jest dla ciebie najcenniejszy? – zapytałam.

– Wszystkie są cenne wnosiu, ale najcenniejszy przekazałam twojej mamie, gdy skończyła osiemnaście lat – odpowiedziała babcia.

Okazało się, że moja mama ma przy sobie pieniądze, o którym wspomniała babcia Teresa. Poprosiłam mamę, by mi go pokazała. Mama wyjęła go z kieszonki portfela. Widok pieniądza wzruszył babcie. Wzięła do ręki banknot marki polskiej z 1919 r.



– Ten banknot jest bardzo cenną pamiętką rodzinną – oznajmiła babcia Teresa. – Mój tata – Stanisław Bański – otrzymał go od swojego ojca Józefa, gdy osiągnął pełnoletność. Dziadek Józef twierdził, że ma magiczną moc i chroni przed biedą. Jego posiadacz miał mieć szczęście w interesach. Mój tata, a twój pradziadek, był przedsiębiorczym i pracowitym człowiekiem. Prowadził gospodarstwo rolne, potrafił dobrze inwestować pieniądze, wybudował dom i dbał o rozwój zawodowy swoich dzieci. Kiedy ja skończyłam osiemnaście lat tata przekazał mi banknot o nominale jednej marki polskiej prosząc, abym miała go zawsze przy sobie gdy będę podejmowała ważne ekonomiczne decyzje. Nie wiem czy to bardziej zasługa otrzymanej pamiętki rodzinnej czy mojej wiedzy, ale podejmowane przeze mnie decyzje w większości były trafne – stwierdziła babcia. Wikusiu, ja przekazałam pamiętkę rodzinną twojej mamie, a moja córka przekaże ją tobie, kiedy skończysz osiemnaście lat. Niech zapewni ci szczęście w interesach!

Pomyślałam, że fantastycznie jest posiadać taki talizman. Z pewnością wiara w jego działanie powoduje, że posiadacz staje się bardziej odważny i pewny swoich decyzji, a to podstawa sukcesu.

Stargard, 2 kwietnia 2021 r.

Wiele osób z rodziny miało okazję przekonać się o magicznej mocy pamiętki. Musiałam uporządkować w głowie wszystkie informacje. Sięgnęłam po drzewo genealogiczne mojej rodziny, które kilka lat temu, stworzyłam z pomocą mojej mamy. Wśród moich bliskich zobaczyłam babcię Teresę i jej rodziców: Helenę i Stanisława. Tata mojej babci – Stanisław Bański – żył w latach 1916–1991. Teraz mogłabym dopisać do mojego drzewa kolejną ważną osobę – Józefa Bańskiego, który żył w latach 1889–1965. Był on ojcem Stanisława Bańskiego.

Poprosiłam mamę, aby jeszcze raz pokazała mi banknot polskiej marki. Ponownie na niego spojrzalam.

– To bardzo interesująca pamiętka – stwierdziłam.

Poprosiłam babcię Teresę, żeby przedstawiła mi jej historię. Babcia czekała na tę prośbę, gdyż z dużym entuzjazmem zaczęła swoją opowieść.

– Przenieś się oczami wyobraźni do 1918 r. – powiedziała.

– To rok odzyskania przez Polskę niepodległości! – krzyknęłam.

Babcia była wyraźnie zadowolona, że znam ten ważny historyczny fakt. Pochwaliła moje zaangażowanie w rozmowę i kontynuowała opowieść, którą kilkadziesiąt lat temu usłyszała od swojego dziadka.

– Wnusi, Polska po odzyskaniu niepodległości była w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej – stwierdziła babcia. Z lekcji historii wiesz, że polskie ziemie były scalone z obszarów zajmowanych przez trzech zaborców i dlatego na tych terenach obowiązywało kilka różnych systemów miar i wag, systemów walutowych, podatkowych i prawnych. Organizacja nowego państwa polskiego po odzyskaniu niepodległości nie była łatwym zadaniem. Pierwsza wojna światowa bardzo niekorzystnie odbiła się na sytuacji gospodarczej II Rzeczypospolitej. Fatalne skutki dla przemysłu miała wyniszczająca i eksploatacyjna polityka państw zaborczych. W czasie wojny zaczęto wywozić wyposażenie fabryk. Z początku wywożono je do Rosji, a w czasach okupacji niemieckiej i austro-węgierskiej na zachód i południe. Dodatkowo grypa „hiszpanka”, tyfus płamisty oraz inne choroby dziesiątkowały wyczerpane wojną społeczeństwo. Problemem był także głód i bardzo wysoki poziom bezrobocia. Trudna była sytuacja na wsi. Tu najważniejszymi problemami były przeludnienie i duża liczba chłopów bezrolnych. Konieczna była odbudowa potencjału przemysłowego i rolniczego Polski, a to początkowo wymagało bardzo wysokich wydatków finansowych. Tymczasem państwo polskie musiało inwestować duże środki w rozwój wojska, aby bronić granic wolnego kraju. Wojna spustoszyła olbrzymie obszary i dlatego na rynku brakowało wielu towarów, szczególnie rolnych. Niedobór towarów prowadził do wzrostu ich cen. Jednym z najważniejszych wyzwań dla pierwszych rządów II Rzeczypospolitej było wprowadzenie jednej waluty. W czasie wojny niemieckie władze okupacyjne utworzyły Polską Krajową Kasę Pożyczkową, która od 1917 r. emitowała markę polską. Po odzyskaniu niepodległości zdecydowano, że do czasu ustabilizowania się sytuacji politycznej obowiązywać będzie właśnie ta waluta. W taki sposób do 1923 r. marka polska wyparła inne waluty obowiązujące na ziemiach polskich tj.: ruble carskie, markę niemiecką, korony, ostmarki, grzywny, karbowanie.

– Babciu, ta nasza pamiątka rodzinna to marka polska z lat, o których właśnie mi opowiadasz? - zapytałam.

– Tak Wikusiu, mój dziadek zachował ten banknot, gdyż miał on dla niego szczególne znaczenie. Za chwileczkę ci to wyjaśnię – odpowiedziała babcia.

– Twój prapradziadek zajmował się rolnictwem – kontynuowała. – Jego gospodarstwo znajdowało się na terenach województwa kieleckiego, obecnego świętokrzyskiego. W 1921 r. w Polsce ponad 63% ludności zajmowało się rolnictwem, ogrodnictwem i leśnictwem. Polska była wtedy krajem rolniczym. Państwo polskie zmagало się z brakiem kapitału

i ogromnymi wydatkami związanymi między innymi z prowadzeniem wojny polsko-bolszewickiej. Wydatki były większe niż dochody do budżetu państwa. Państwo polskie dodrukowywało pieniądze, aby móc finansować najważniejsze zadania. Pojawiła się inflacja.

– Czy Ty Wikusiu znasz pojęcie inflacji? – zapytała babcia.

– Tak babciu, znam to pojęcie – odpowiedziałam. – Moja mama mówi, że teraz mamy w Polsce inflację największą od dwudziestu paru lat. Przyczyniły się do tego między innymi epidemia koronawirusa i wojna na Ukrainie. Polska złotówka traci na wartości co oznacza, że za te same pieniądze z biegiem czasu kupujemy coraz mniej towarów. Mama narzeka też na rosnącą ratę kredytu zaciągniętego kilka lat temu na zakup domu. Drożący kredyt jest wynikiem podwyżek stóp procentowych.

– Słyszę, że doskonale wiesz na czym polega inflacja – stwierdziła babcia. Taka właśnie inflacja w 1921 r. początkowo napędzała gospodarkę. Polacy wiedzieli, że pieniądź traci na wartości i dlatego chętniej kupowali towary i usługi. Takie zachowanie społeczeństwa przekładało się na rozwój rolnictwa i przemysłu. Wpływało także korzystnie na wzrost eksportu, gdyż ceny polskich produktów były niższe od cen podobnych produktów wytwarzanych za granicą. W 1923 r. wartość pieniądza spadła jednak na tyle mocno, że zjawisko inflacji zaczęto określać mianem hiperinflacji: 1 dolar w 1919 r. kosztował 93 marki polskie, a w 1923 – 6 050 000 marek. Tak duża utrata wartości przez markę powodowała spadek zaufania do waluty i do państwa.

Byłam zaskoczona tymi kwotami. Próbowałam sobie wyobrazić tak niekorzystną sytuację. Z uwagą i zaciekawieniem słuchałam babci.

– Wikusiu, Twój prapradziadek był bardzo zmartwiony tą niekorzystną sytuacją – kontynuowała babcia. To był mądry człowiek, który interesował się ekonomią i potrafił ocenić stan polskiej gospodarki. W tamtych czasach bardzo przyjaźnił się z Ignacym Padlewskim. Razem analizowali sytuację na polskiej wsi i decydowali co kupić za uzyskane środki finansowe. Ignacy był kawalerem, który czasami inwestował pieniądze w ryzykowne przedsięwzięcia. Na to nie mógł pozwolić sobie mój dziadek utrzymujący żonę i dzieci. Ignacy twierdził, że posiada talizman przyciągający pieniądze. Był nim banknot pierwszej zarobionej marki polskiej wydanej w 1919 r. W 1925 r. przyjaciel mojego dziadka poważnie zachorował i niedługo potem zmarł. Przed śmiercią przekazał dziadkowi swój talizman i prosił, żeby przyjaciel zawsze nosił go przy sobie, a uchroni rodzinę przed biedą. Mój dziadek

bardzo wierzył w ten talizman i faktycznie nigdy nie zaznał głodu, choć zbliżał się ciężki czas wielkiego kryzysu gospodarczego.

– To piękna historia – powiedziałam, przerywając wypowiedź babci. – Fantastycznie jest mieć takiego przyjaciela. Czyli banknot polskiej marki to talizman Pana Ignacego?

– Tak Wikusiu, dzięki Ignacemu znalazł się w naszej rodzinie, a ponieważ dla mojego dziadka miał ogromną wartość to stał się naszą pamiątką rodzinną – powiedziała babcia. Dziadek przekazał ten banknot osiemnastoletniemu Stanisławowi, mojemu tacie, i powiedział: „Noś zawsze przy sobie ten pieniądz, a nie zaznasz biedy. To pamiątka rodzinna, którą ci przekazuję, która będzie cię chroniła przez kryzysami i złymi decyzjami, tak jak chroniła mnie odkąd tylko znalazłem się w jej posiadaniu. Musisz w to mocno wierzyć i krzewić tę wiarę wśród kolejnych pokoleń”.

– Babciu, to niezwykła historia. Ja już wierzę w moc tego banknotu – krzyknęłam.

– Ten pieniądz naprawdę jest magiczny – stwierdziła babcia i kontynuowała swoją opowieść. Wikusiu, dzięki zmianom w produkcji oraz korzystnym warunkom atmosferycznym w połowie lat dwudziestych wyraźnie poprawiła się sytuacja na wsi. Rosły ceny artykułów rolnych, kupowano artykuły przemysłowe, zwłaszcza maszyny i urządzenia rolnicze. Za część zarobionych pieniędzy chłopci kupowali ziemie i powiększali swoje gospodarstwa. Tak czynił również mój dziadek Józef. Modernizacja wsi nie miała jednak szerszego zasięgu. Rolnicy szczególnie dotkliwie odczuli wielki kryzys gospodarczy, który rozpoczął się w 1929 r. Gwałtownie spadły ceny na artykuły rolne. W 1935 r. za pszenicę chłopci otrzymywali jedynie 34%, a za żyto 32% cen obowiązujących w 1928 r. Podobny spadek dotyczył również innych płodów rolnych. Chłopi, aby uzyskać pieniądze niezbędne na opłacenie podatków, spłatę długów czy zakup artykułów przemysłowych, musieli sprzedać trzy razy więcej produktów. Brakowało jednak pieniędzy na zakup nawozów sztucznych i maszyn co uniemożliwiało zwiększenie produkcji. W tej sytuacji rodziny oszczędzały ograniczając własne spożycie. Na rynku pojawiała się więcej żywności, co jednak prowadziło do dalszego spadku cen. Do tego ceny żywności były niższe niż ceny artykułów przemysłowych co jeszcze bardziej komplikowało sytuację rolników. Chłopi musieli rezygnować z zakupu większości towarów przemysłowych, brakowało im ubrań i obuwia. Rezygnowano nawet z kupowania zapalek, powracając do stosowania hubki i krzesiwa. Dziadek Józef opowiadał, że zawsze robił zapasy różnych artykułów na tzw. „czarną godzinę”. Wraz

z ogólnoświatowym kryzysem ta godzina nastąpiła, a zapasy były wtedy nieocenione. Tak udało się naszej rodzinie przetrwać kryzys gospodarczy. Rząd próbował wyprowadzić rolnictwo z przedłużającego się kryzysu, podejmując działania mające na celu zahamowanie spadku cen na artykuły rolne, oferowano specjalne kredyty dla rolników. Wychodzenie z kryzysu przebiegało jednak powoli i dopiero jesienią 1935 r. widocznie poprawiła się sytuacja ludności wiejskiej. Zwiększyła się produkcja, rolnicy chętniej inwestowali w maszyny rolnicze i nawozy sztuczne. Tak wyglądała sytuacja tuż przed II wojną światową.

– Czy polska marka, nasza rodzinna pamiętka, tobie babciu też przyniosła szczęście i dobrobyt? – zapytałam.

– Z pewnością mogę to stwierdzić – odpowiedziała babcia. – Na początku lat siedemdziesiątych wyjechałam z Kielc do Katowic. Tam kontynuowałam kształcenie, a następnie rozpoczęłam pracę na stanowisku księgowej. Nigdy nie brakowało mi pieniędzy, raz było ich więcej, innym razem mniej, ale zawsze były. Byli też wokół mnie dobrzy ludzie, którzy pomagali w trudnych chwilach. Chcę wierzyć i wierzę, że to zasługa banknotu, talizmanu, rodzinnej pamiętki.

– Babciu, a jaka postać widnieje na banknocie jednej polskiej marki? – zapytałam.

– Na banknocie umieszczona została królowa Polski św. Jadwiga Andegaweńska. Projektant posłużył się wizerunkiem Królowej z obrazu Jana Matejki – odpowiedziała babcia i zamyśliła się.

W tym czasie szybko włączyłam tablet i w wyszukiwarce internetowej wpisałam: królowa Jadwiga Andegaweńska. Na stronie Archidiecezji Krakowskiej przeczytałam: „Jedyna kobieta na tronie polskim. Młoda, piękna, mądra... – mogła mieć wszystko czego dusza zapragnie! Wybrała dobro swoich poddanych i kraju, któremu królowała. Ten wybór dał Polsce stabilizację i dobrobyt na kilkaset następnych lat. Ale Królowa Jadwiga była znana głównie ze swojej łagodności, odwagi, mądrości i troski o poddanych. Jadwiga Andegaweńska urodziła się 18 lutego 1374 r. w Budzie. Była córką króla Węgier i Polski – Ludwika oraz Elżbiety Bośniackiej – w jej żyłach płynęła krew przodków francuskich, polskich, węgierskich i bośniackich. Jadwiga i Władysław królowali wspólnie niemal 13 lat. Mimo dużej różnicy wieku doskonale się rozumieli. Władysław bardzo kochał Jadwigę, która mimo trudnych początków ich znajomości, z czasem także go pokochała. Darzyli się ogromnym szacunkiem i zaufaniem”.

Nagle usłyszałam głos babci.

– Jest już późno. Jutro dokończymy naszą rozmowę – powiedziała babcia Teresa.

Wciąż wpatrywałam się w banknot z wizerunkiem królowej Jadwigi. Ziewnęłam... Nagle usłyszałam:

– Kim jesteś młoda damo? Dlaczego analizujesz mój życiorys i nie dajesz mi odpocząć?

Bardzo się wystraszyłam. Obok siebie zobaczyłam postać z banknotu. – Czy Pani to królowa Jadwiga? – z wrażenia nie mogłam się poprawnie wysłowić.

– Tak. Nie mogę zaznać spokoju. Ciągłe ktoś o mnie pisze, mówi! – odpowiedziała Jadwiga Andegaweńska

– Cieszę się, że Panią widzę! Nazywam się Wiktoria. Dzisiaj babcia opowiedziała mi o pamiętce rodzinnej! – krzyknęłam. – To polska marka z 1919 r., banknot, na którym Pani widnieje.

– Ciszey! Nie krzycz tak w środku nocy! Bardzo dobrze, że w tak młodym wieku interesujesz się ekonomią. Lubię takie odważne istoty.

– Jak to jest być królową Polski? – zapytałam.

– To bardzo odpowiedzialne zadanie, wymagające wielu wyrzeczeń. Ja poślubiłam litewskiego księcia Władysława Jagiellę na rzecz chrystianizacji Europy, choć zaręczona byłam z księciem Wilhelmem i to za niego pragnęłam wyjść za mąż. Z czasem pokochałam Władysława. On bardzo mnie kochał. W rządzeniu bardzo pomaga wiara. Ja zawsze byłam pobożną osobą i wiele razy gorliwie modliłam się prosząc Chrystusa o radę. Królowa musi interesować się wieloma sprawami, które dotyczą jej poddanych i wciąż uczyć się czegoś nowego. Musi być osobą serdeczną o silnej osobowości i pewnym charakterze. Ważna jest też znajomość języków obcych. Oprócz języka polskiego i węgierskiego, znam też łacinę, niemiecki i włoski.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem – powiedziałam.

– Ja też jestem pod wrażeniem tego, że ty młoda damo uczysz się języka japońskiego – stwierdziła królowa. Trzeba mieć silną wolę, żeby uczyć się tak trudnego języka. Silna wola to już połowa sukcesu. Myślę, że byłby z ciebie niezły, młody zarządca. Czy możesz coś dla mnie napisać w języku japońskim? – zapytała Jadwiga Andegaweńska.

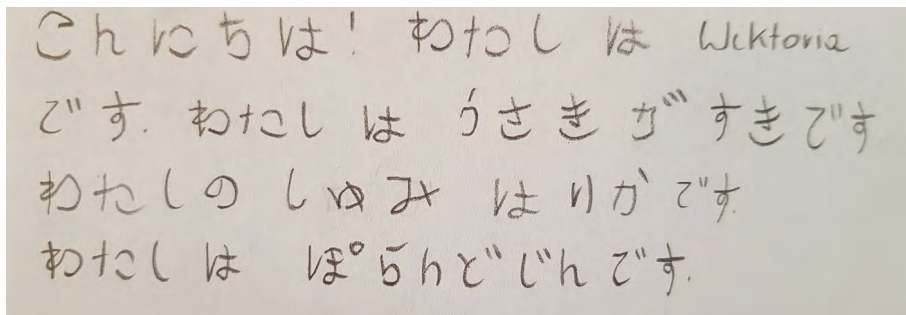
– Ależ oczywiście – odpowiedziałam zadowolona.

Wzięłam kartkę i napisałam na niej po japońsku tekst: „Dzień dobry. Nazywam się Wiktoria. Lubię króliki. Moim hobby jest przyroda. Jestem Polką.” Następnie wręczyłam kartkę mojemu gościowi.

Królowa postanowiła zatrzymać prezent ode mnie na pamiątkę naszego spotkania.

– Znajomość języków obcych, a szczególnie tych mniej popularnych jest nieoceniona. Umożliwia swobodną komunikację z przedstawicielami innych narodów – stwierdziła.

To było wspaniale uczucie zaimponować takiej osobistości. Byłam szczęśliwa!



Tekst napisany w języku japońskim – prezent dla królowej Jadwigi Andegaweńskiej

Postanowiłam opowiedzieć gościowi o moich przedsiębiorczych działaniach.

– Królowo Jadwigo, od kilku miesięcy staram się samodzielnie zdobywać pieniądze – powiedziałam. Sprzedaję ubrania, których już nie noszę lub inne rzeczy, których już nie używam na internetowej platformie sprzedażowej. Oczywiście wszystkie oferowane przez mnie towary są w bardzo dobrym stanie.

– Cóż to za platforma? – zapytała królowa Jadwiga. – Nie znam takiego narzędzia ekonomicznego.

– To platforma z czasów, w których obecnie żyję – tłumaczyłam. Posługuję się takim oto telefonem. Na niego pobrałam aplikację. Robię zdjęcia rzeczy, które chcę sprzedać. Opisuję każdą rzecz, ustalą cenę. Publikuję ofertę sprzedaży na platformie i czekam na klienta. Czasami negocjuję cenę z klientem, który chce kupić mój towar. Po sprzedaniu towaru pakuję go do koperty lub kartonu, drukuję opłaconą wcześniej etykietę wysyłkową i zanoszę przesyłkę do paczkomatu. Paczkomat to system automatycznych skrzytek pocztowych służący do nadawania i odbierania przesyłek. Przesyłka dociera do klienta, on potwierdza jej dostarczenie i jeśli nie ma żadnych zastrzeżeń to ja otrzymuję pieniądze za towar na moje indywidualne konto utworzone na platformie. W taki sposób zdobywam pieniądze, które wydaję

na zaspokojenie różnych potrzeb. Głównym czynnikiem decydującym o cenie jest jakość i stan używanego towaru. Analizuję rynek i sprawdzam na różnych aukcjach internetowych, w jakich cenach taki sam lub podobny towar oferują inni sprzedawcy i wtedy ustaląm własną cenę. Muszę się też pochwalić, że wiem co to jest budżet gospodarstwa domowego i każdego miesiąca tworzę taki własny mały dokument – powiedziałam. – Nauczyłam się zestawiać dochody i wydatki przyglądając się jak robi to mój tata.

Pokazałam królowej mój budżet za miesiąc marzec.

Budżet – marzec 2021 rok

Rodzaj dochodu	Kwota (zł)	Rodzaj wydatku	Kwota (zł)
Środki z programu: Rodzina 500 plus	500,00	Zakup książek w języku angielskim	300,00
Kieszonkowe od rodziców	200,00	Bilet do kina	16,50
Środki uzyskane ze sprzedaży towarów na internetowej platformie sprzedażowej	450,00	Zakup japońskiej figurki kolekcjonerskiej	220,00
		Zakup smakołyków w sklepiku szkolnym	35,50
RAZEM:	1150,00	RAZEM:	572,00

Moje dochody były wyższe od wydatków o 578 zł. Czyli osiągnęłam nadwyżkę budżetową. Mama twierdzi, że takie oszczędności trzeba kumulować i właściwie inwestować. Tak robią moi rodzice. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Spojrzałam na zamyśloną twarz królowej Jadwigi i nagle usłyszałam dźwięk budzika i głos babci:

– Wikusia wstawaj, pora na śniadanie! – zawołała babcia.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że leżę w łóżku. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Babciu! Babciu! – wołałam. – Miałam niesamowity sen. Rozmawiałam z królową Jadwigą z banknotu. To było pasjonujące spotkanie!

Babcia spojrzała na mnie zdziwiona i powiedziała – Wczoraj dużo czasu poświęciłaś na analizowanie informacji o tej ważnej, historycznej postaci i dlatego przyśniła ci się w nocy.

Stargard, 3 kwietnia 2021 r.

Mój ostatni sen był tak realny, że nie mogłam uwierzyć w słowa babci. Wiedziałam tylko, że nadszedł czas na dłuższą przygodę z ekonomią. Wierzę mocno w to, że polska marka z wizerunkiem królowej Jadwigi, czyli moja pamiętka rodzinna, będzie talizmanem przynoszącym mi w przyszłości szczęście i dobrobyt. Poczulałam, że pamiętki rodzinne to wyjątkowe rzeczy. Kiedy trzymamy je w dłoniach to czujemy obecność naszych przodków. Babcia i dziadek zaproponowali mi spacer po parku. Ten świąteczny dzień trzeba spędzić z rodziną. Dzisiejszy wpis do pamiętnika będzie krótki.

Postanowiłam literacko zakończyć rozważania o mojej pamiętce rodzinnej. Napisałam wiersz. To najlepsze podsumowanie tego czego dowiedziałam się w ostatnim czasie.

*W pamiętkach rodzinnych
znajduje się dusza i rozum i serce,
zostawione przez naszych przodków,
gdy dotykały ich ręce.*

*Pamiętki to talizmany dobroci,
świadkowie historii pokoju i złości.
Kierunkowskazy na drodze naszego życia,
wskazujące prostszą drogę do przebycia.*

*Pamiętki to ścieżki do świata przeszłości
Niewidzialne nici łączące nas z przodkami.
Dzięki nim poznajemy historię naszych rodzin,
ciesząc się, że takie rodziny mamy.*

Michał Pancielejko

Szkoła Podstawowa nr 5 im. UNICEF w Koszalinie

Dowód osobisty dziadka - niewyjaśniona zagadka

Wszyscy wiedzą, że zwykle mamy dwie babcie i dwóch dziadków. Tak też jest w moim przypadku. Większość z nas dobrze zna swoje babcie i dziadków. Znam bardzo dobrze swoją babcie Stasię i dziadka Zenka – rodziców mojej mamy. Nie poznałem nigdy swojej babci Mieci i dziadka Aleksego – rodziców mojego taty. Znam ich tylko z opowieści mojego taty, ponieważ zmarli ponad dwadzieścia lat temu, a ja urodziłem się dopiero w 2009 r.

Słyszałem od mojego taty wiele opowieści o moim dziadku Aleksym. Starych pamiątek po dziadku zachowało się niewiele. Jest jedno zdjęcie dziadka ze swoimi rodzicami i rodzeństwem zrobione w 1934 r., srebrne 10 zł z 1937 r. z wizerunkiem Marszałka Józefa Piłsudskiego oraz dowód osobisty wydany przez Urząd Gminny w Brasławiu z dnia 27 kwietnia 1939 r. – krótko przed wybuchem II wojny światowej w dniu 1 września 1939 r.

Rzeczy te bardzo mnie zainteresowały, a szczególnie dowód osobisty. Zauważyłem, że rodzice dziadka Aleksego mieli na imię Maria i Michał. Pewnie nie przypadkowo moi Rodzice dali mi na imię Michał, po moim pradziadku. Miejscowości Pustoszka, w której urodził się i mieszkał dziadek nie znalazłem na aktualnych mapach. Znalazłem natomiast miejscowość Pustoszki w pobliżu Brasławia, na starych przedwojennych mapach, które odszukałem w Internecie (<https://www.radzima.net/pl/map/>). Przed II wojną światową było to na terenie II Rzeczypospolitej, a obecnie jest na terytorium Białorusi. Przeglądając aktualną mapę Google, niedaleko Brasławia w pobliżu jeziora Strusta, znalazłem miejscowość o znajomo brzmiącej nazwie Pancielejki (pisane cyrylicą Пантелейки). Dziadek mówił mojemu Tacie, że była w pobliżu miejscowość o takiej nazwie. Mój tata potwierdził te informacje, gdyż w 2006 r. był razem z moją mamą odwiedzić rodzinne strony swoich rodziców, tj. Brasław i okolice.

Dziadek był najmłodszy z dziewięciorga rodzeństwa. W dowodzie miał wpisany zawód rolnik. Z tego, co mi przekazał mój tata, ziemi było niewiele. Aby tak duża rodzina utrzymała się, więc dziadek razem z braćmi dodatkowo zajmowali się stolarstwem – budowali szafy na ubrania.

Na drugiej stronie dowodu jest informacja o potwierdzeniu obywatelstwa polskiego w dniu 28 sierpnia, ale niewyraźnie jest wpisany rok, który można odczytać jako 1941 r. lub 1944 r.? Ciekawe, że obywatelstwo potwierdzono na podstawie wystawionego w języku niemieckim dokumentu: *Der Pass wire für Pancielejko Aleksy bestätigt.*

<p>Nr. 117.</p> <p>Nazwisko <u>Pancielejko</u></p> <p>Imię <u>Aleksy s. Michała i Marii</u></p> <p>Data urodzenia <u>23.V.1918r.</u></p> <p>Miejsce urodzenia <u>w. Pustoszcza</u> <u>zau. w Pustoszcza.</u></p> <p>Zawód <u>rolnik.</u></p> <p>Wzrost <u>180cm.</u></p> <p>Tworzywość <u>owalia.</u></p> <p>Włosy <u>blond.</u></p> <p>Oczy <u>niebieskie</u></p> <p>Znak szczególne <u>nie ma</u></p> <p>Wydany dnia <u>27 kwietnia 1939r.</u></p> <p>WZT <i>W. Krawczyk</i> K. Krawczyk</p> <p>STAROSTA GMINNY W DAWYDOWIE POWIAT GRZĘSZKOWSKI</p>	 <p><u>Aleksy Pancielejko</u></p> <p>Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. nr 32, poz. 309) stwierdzam, że wymieniony w niniejszym dowodzie</p> <p>jest obywatelstwem (ka) polskim (a) po zaufaniu stwierdzam</p> <p>na podstawie <u>Der Pass wire für Pancielejko Aleksy bestätigt</u></p> <p>Uradz. <u>Wrocław</u> <u>Biuro Wymiarów</u></p> <p>Dnia <u>28.III.1941</u> <u>Blatnik</u></p> <p><i>E. Tolmiewski</i></p>
<p>WYCIĄG</p> <p>Z ART. 18 I 19 KOMPROMISU PREZYDENTA R. P. Z DNIA 16 MARCA 1928 R. O EWIDENCJI I KONTROLI RUCHU LUDNOŚCI (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309).</p> <p>Art. 18</p> <p>Dla ułatwienia legitymowania się wydawane będą na żądanie przez gminy dowody osobiste osobom w tych gminach zamieszkałym i zameldowanym. Za dowód do potwierdzenia obywatelstwa polskiego uważa się dowód osobisty, jak również dowód (wersja z obywatelstwem) o tak wyrażone, nie posiadać</p> <p>Art. 19</p> <p>Osoby, posiadające dowody osobiste, wymienione w art. 18 poprzednim, mogą prosić powiatową władzę administracji ogólnej o zatwierdzenie w dowodzie osobistym, że są obywatelami polskimi.</p> <p>Powiatowa władza administracji ogólnej nie odmówi zatwierdzenia jeżeli po sprawdzeniu stwierdzi, że osoba, składająca wniosek o zatwierdzenie, przysługującemu jej obywatelstwu posiada.</p>	<p>Województwo <u>wielkopolskie</u></p> <p>Powiat <u>brzeski</u></p> <p>Gmina <u>brzeska</u></p> <p>DOWÓD OSOBISTY</p> <p>Ser. E. № 675794</p> <p>wydany na podstawie art. 18 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309).</p>

Próbując ustalić, czy był to rok 1941 czy 1944, musiałem poznać kilka faktów historycznych. Było to trudne ponieważ materiału związanego z II wojną światową nie przerabialiśmy jeszcze na lekcjach historii w siódmej

klasie. Z pomocą taty i zasobów z Internetu trochę to sobie poukladałem. Krótco po wybuchu II wojny światowej tereny w pobliżu Brasławia, gdzie mieszkał dziadek, znalazły się w strefie interesów ZSRS (Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich). Stało się tak ponieważ w dniu 17.09.1939 r. wschodnie granice Polski zostały zaatakowane przez Armię Czerwoną. Było to następstwem zawartego, tuż przed wybuchem II wojny światowej, w dniu 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie, tajnego układu o nieagresji pomiędzy III Rzeszą a ZSRR. Układ sowiecko-niemiecki zwany też jest układem Hitler-Stalin (lub jako pakt Ribbentrop-Mołotow). W wyniku tego układu terytorium Polski, po kampanii wrześniowej, zostało podzielone pomiędzy III Rzeszę i ZSRR. Tutaj przytoczę opowieść mojego taty, o tym jak dziadek Aleksy w latach 70-tych XX wieku, jako członek ZBoWiD, był zapraszany do szkół podstawowych na historyczne pogadanki o wojnie. Dziadek znając historię, również z własnych przeżyć, wspominał m.in. o pakcie Ribbentrop-Mołotow, nazywając go „czwartym rozbiorem Polski”. Po kilku takich wystąpieniach dziadka zaprzestano zapraszać do szkół, ponieważ prawda ta nie była wtedy politycznie poprawna.

Po zajęciu przez ZSRR wschodnich terenów Polski zaczęły się prześladowania ludności polskiego pochodzenia. Dziadek został wcielony do Armii Czerwonej i wysłany na przeszkolenie wojskowe, na sporne pogranicze ZSRR i Finlandii. Był to teren Karelo-Fińskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Z opowieści dziadka wynikało, że na terenach tamtych było bardzo zimno. Poranna toaleta polegała na dobiegnięciu do zamarznętej wody, wykuciu przerębli i kąpieli. Rozpryskiwana woda zamarzała w powietrzu albo na włosach żołnierzy, a dziadek pełniąc wartę 10 maja, odmroził sobie uszy.

22 czerwca 1941 r. Niemcy rozpoczęły wojnę z ZSRS, określaną operacją Barbarossa. Już na początku lipca 1941 r. wschodnie tereny przedwojennej Polski, w tym Brasław i okolice, zostały zajęte przez Niemców. W tym czasie oddział, w którym służył dziadek Aleksy, został przegrupowany do walki z wojskiem niemieckim. Po pierwszych starciach, zostali pokonani, a dziadek dostał się do niewoli niemieckiej. Przetrzymany był jako jeńiec wojskowy w kilku niemieckich obozach jeńców. Szczęśliwie udało się dziadkowi zbiec z kolejnego transportu kolejowego, być może kierowanego do obozu koncentracyjnego. Wędrował nocami, w kierunku swojego domu rodzinnego, ponieważ musiał ukrywać się przed Niemcami, ale również przed wojskiem radzieckim. Żołnierzom Armii Czerwonej, którzy dostawali się do niewoli groził za to sąd polowy i rozstrzelanie,

gdyż niewola była traktowana jako dezercja. W końcu dziadek dotarł do domu, ale nadal ukrywał się. Ponieważ w czasie tym tereny te znajdowały się pod okupacją niemiecką, stąd być może, zaświadczenie o obywatelstwie polskim zostało stwierdzone na podstawie dokumentu w języku niemieckim.

Druga wersja, co do roku poświadczenia obywatelstwa polskiego, jest następująca. Pod koniec 1944 r., gdy wojska niemieckie były już w odwrocie, władze ZSRS zaczęły tworzyć 2-gą Armię Wojska Polskiego, głównie na bazie ludności z Kresów Wschodnich. Dziadek, aby uniknąć ponownego wcielenia do Armii Czerwonej lub wywiezienia w głąb Rosji, zaciągnął się na ochotnika do tej Armii Wojska Polskiego. Być może dlatego w dowodzie osobistym dziadka znalazło się to zaświadczenie o obywatelstwie polskim datowane właśnie 28.08.1944 r.

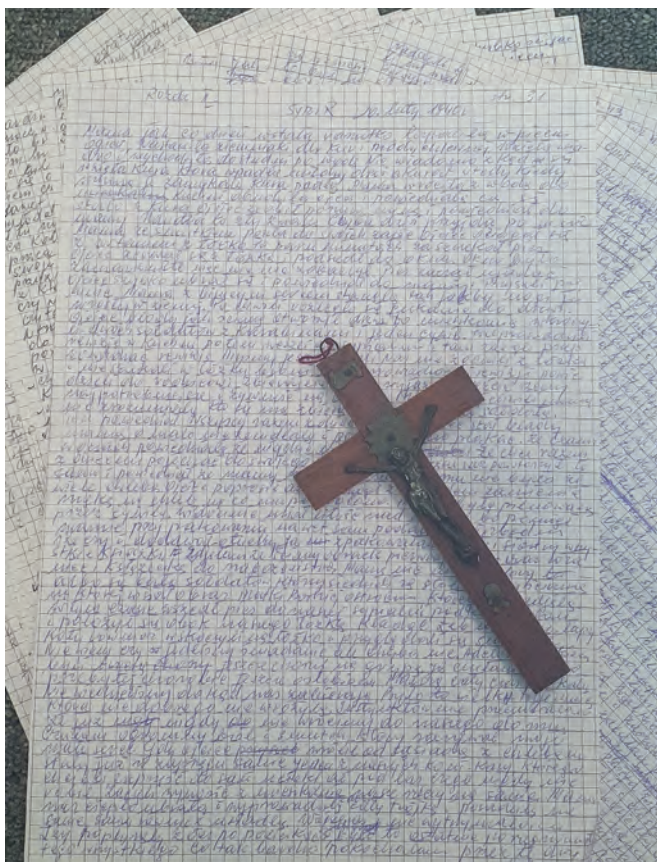
Zagadki z rokiem tego wpisu nie wyjaśniłem ostatecznie i nie wiem, która data jest prawdziwa 1941 r. czy 1944 r. Opisałem tu nasze przypuszczenia oparte na wydarzeniach historycznych i wspomnieniach o dziadku Aleksym, zapamiętanych przez tatę i jego rodzeństwo. Być może sięgając do materiałów archiwalnych w miejscowości Brasław, udało by się ustalić kiedy i w jakim celu były wystawiane takie dokumenty niemieckojęzyczne, jak ten: *Der Pass wire für Pancielejko Aleksy bestätigt*, potwierdzający obywatelstwo polskie mojego dziadka.

Nehir Scarlett Duran

Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie

Pamiętnik z Syberii

Uwielbiam przeglądać starocie na strychu. Jest to skarbnica nie tylko niepotrzebnych rzeczy, ale również wielu przedmiotów, które mogą się jeszcze kiedyś przydać. Moim ulubionym zajęciem było zawsze szperanie w pochowanych po kątach kartonach, których od dawna nikt nie ruszał, a być może zapomniał nawet o ich istnieniu. Pewnego dnia otworzyłam jeden z pokrytych szarym kurzem kartonów. Nie było w nim nic zasługującego na uwagę, ale gdy przedostałam się przez stertę starych dokumentów, zauważyłam połówki już trochę skoroszyt z zapisanymi odręcznie, luźno poskładanymi notatkami.



W pierwszej chwili chciałam odłożyć go na miejsce, ale coś mi podpowiadało, aby tego nie robić. Pismo było trochę niewyraźne, lecz przy większym skupieniu byłam w stanie je odczytać. Notatki zawierały 121 gęsto zapisanych stron. Moim oczom ukazała się historia mojej babci Reni opisująca czasy jej dzieciństwa, które w brutalny sposób zostało przerwane.

Pomiędzy kartkami schowany był krzyż wielkości dłoni dorosłego człowieka z postacią Jezusa. Krzyż wykonany był z drewna pomalowanego na kolor brązowy, który w niektórych miejscach już wyblaknął. Jezus wykonany był ze srebra, które z upływem czasu straciło swój połysk i bardzo ściemniało, przypominając raczej brąz. Na odwrocie krzyża, na krótszym jego ramieniu widniał czarnego koloru poziomy napis „Pamiętka”, natomiast na dłuższym ramieniu można było zauważyć wydłubaną jakby jakimś ostrym narzędziem inskrypcję – „Jelna, maj 1939 roku”.



Odnaleziony rękopis wzbudził moje ogromne zainteresowanie, dlatego postanowiłam jak najszybciej zanurzyć się w jego treści. Po przeczytaniu pierwszej strony wiedziałam, że będzie to najciekawsza lektura, jaką przeczytałam do tej pory. Zasyłałam się więc w wygodnym miejscu i zaczęłam czytać:

W cichą księżycową noc z 9 na 10 lutego 1940 r., kiedy jeszcze wszyscy spali, mama jak każdego dnia wstała pierwsza. W mieszkaniu było zimno. Kobieta rozpalila ogień w piecu, wzięła wiadra, poszła do studni nabrać wody i weszła do kuchni. Sięgnęła ręką za klamkę, aby zamknąć drzwi. W tym momencie z grzędy zleciała kura i wpadając między drzwi, zginęła na miejscu. Obudził się mój ojciec i usłyszawszy co się stało, podniósł się z łóżka przerażony.

– Andzia, to jest zły znak. Na pewno dziś przyjdą po mnie – powiedział. Tak zaczyna się ta opowieść o dniach niepewnych, dniach strachu, w których niespełna 10-letnie dziecko wyrwane z domowych pieleszy, aby przetrwać, musiało szybko wydorosnąć.

Przecucie mojego pradziadka sprawdziło się. Przyszli, ale nie po niego, lecz po całą rodzinę. Wkroczyli do kuchni soldaci, kazali zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i prowiant na drogę, po czym zapakowali ich na sanie i zawieźli na dworzec kolejowy. Na stacji stał już pociąg towarowy do przewozu bydła. Na peronie tłoczyli się ludzie. Słychać było płacz dzieci i rozpacz dorosłych. Załadowano wszystkich do wagonów, a drzwi zaryglowano żelazną sztabą. Panowała ciasnota i ciemność. Najgorsze jednak było to, że nie wiedzieli, dokąd ich wywożą oraz czy przeżyją tę podróż. Jedyną pociechą mojej babci była pamiątka, którą otrzymała w 1939 r. od swojej ukochanej babci Zosi – drewniany krzyż, który miał ją zawsze strzec od złego, a zabrany w ostatniej chwili spoczywał bezpiecznie pod stertą ubrań. Życie w wagonie z dnia na dzień stawało się coraz gorsze. Brak wody, żywności oraz lekarstw powodował, że wielu starszych umarło, a dzieci nie miały siły płakać z powodu braku mleka. Podróż trwała wiele tygodni, aż pewnego dnia dojechali do celu.

Uzbrojony żołnierz kazał im opuścić wagony. Nie mieli siły i chcieli się na nogach. Powsadzano ich do samochodów ciężarowych i dalej ruszyli w drogę. Nie widzieli nic oprócz śniegu. Mróz był przeraźliwy i aby się ogrzać, przytulali się jeden do drugiego. Przywieziono ich do Żylobietu, miejscowości w stepach Kazachstanu i umieszczono w baraku. Jedna izba na dwie rodziny, taki był przydział. Na środku była płyta kuchenna, beczka na wodę i dwie lampy naftowe. Ta kuchenna płyta od tej pory stała się najważniejszą rzeczą w nowym domu – biło od niej ciepło.

Życie na zesłaniu, zwłaszcza w stepie, było bardzo trudne. Z powodu mrozów sięgających w zimie do minus 50 stopni dostęp do wody był utrudniony i aby ją otrzymać, ludzie często roztapiali śnieg. Problem był również z opalem, ponieważ śniegi uniemożliwiały częste dostawy drewna, za które i tak trzeba było słono płacić, a nie wszystkich było na to stać. Chleb był na kartki, ale tylko dla tych, którzy pracowali zgodnie z zasadą „kto pracuje – ten je”, dlatego też dzieci powyżej 14-go roku życia zamiast chodzić do rosyjskiej szkoły, musiały pracować, a te młodsze, jak moja babcia, zajmowały się zbieraniem kiziaków, czyli suchych odchodów pędzonych krów, które służyły zimą za opał w izbach. Mama mojej babci podjęła pracę w kopalni złota „Staraciele” jako sortownik. Do pracy miała trzy

kilometry, a dojście tam zimą graniczyło z cudem. Praca przy sortowaniu była ciężka, ale zarobki dobre. Pewnej zimy wracając ze swojej zmiany, prababcia została otoczona przez stado zgłodniałych wilków. Jeszcze chwila, a rzuciłyby się na nią, gdyby nie jeden z kozackich sąsiadów, który w celu ich spłoszenia wystrzelił z broni lowieckiej. Niebezpieczne również były burze śniegowe. W trakcie takiej burzy domy i baraki były zasypane śniegiem po sam dach. Ten stan potrafił utrzymywać się nawet kilka dni. Podczas jednej z takich burz, kiedy nie byli w stanie wyjść na zewnątrz, zachorowała siostra mojej babci – Adela. Brak dostępu do lekarstw oraz zimno panujące w izbie spowodowały ostre zapalenie płuc. Cała rodzina pograżyła się w modlitwie. Babcia przytulając do piersi jedyną pamiątkę, którą udało jej się zabrać, czyli krzyż – modliła się również o zdrowie siostrzyczki. Kiedy wydawałoby się, że już nie ma najmniejszej szansy na ozdrowienie – stał się cud. Pewnego poranka Adela oprzytomniała, a choroba odeszła. Tego samego dnia śniegi zelżały i można było wychodzić na zewnątrz.

Na wiosnę trzeba było długo czekać. Rozeszła się również wiadomość o napadzie Niemców na Rosję. Zesłańcy cieszyli się bardzo, ponieważ ujrzeli w tym swoją szansę na powrót do domów. Zaczął się również pobór mężczyzn do wojska. Mojemu pradziadkowi udało się zostać z rodziną, ale wiele jeszcze było przed nimi. Jesienią zaczęto zbierać ochotników, tym razem do armii Andersa. Ojciec babci zgłosił się jako jeden z pierwszych. Rodzina pozostała sama, a bez męskiej pomocy była teraz gorzej traktowana przez władze sowieckie, ponieważ uważano ich za wrogów. Prababcia straciła pracę. Nastaly dni ciężkie i pełne głodu. W celu zaspokojenia podstawowych potrzeb sprowadziła do izby koleje dwie rodziny. Mieszkali w ciasnocie, wszy skakały po nich jak na trampolinie, ale dało się przeżyć. To właśnie wtedy moja babcia postanowiła spisywać wspomnienia. Tak mijały dni, noce i lata.

Rok 1944 był najgorszy w życiu babci Reni. Zachorowała jej mama. W domu nie było pieniędzy, bonów, jedzenia – przymierali z głodu. Nikt nie był w stanie im pomóc – wszędzie panowała bieda. Ponownie babcia wyjęła ukryty drewniany krzyż i zaczęła się modlić. Nie wiadomo ile to trwało, ale pewnego poranka sąsiedzi wpadli z wiadomością, że na stacji kolejowej stoi wagon z żywnością przyslaną dla Polaków przez rząd brytyjski. Babcia pobiegła szybko na stację nie wiedząc, że przyniesie do domu gorsze nieszczęście. Z dostarczonej mąki owsianej ugotowano zacierkę na wodzie. Podano ją również chorej prababci oraz córeczce lokatorów – małej 5-letniej Lusi. W środku nocy zaczęły wszystkich boleć brzuchy. Pojawiły

się biegunka i wymioty. Prababcia z tego wyszła cało – miała Lusia niestety po dwóch dniach odwodniła się i umarła. Życie straciło dla nich sens, ale nie było wyjścia – trzeba było dalej trwać z nadzieją na powrót do domu.

Nastala zima roku 1945. Babcia skończyła właśnie 15 lat i znalazła pracę w ogrodnictwie. Jej mama również odzyskała swoją dawną posesję co sprawiło, że życie stało się łżejsze. Jak ogromną radość sprawiały całej rodzinie pierwsze kupony na materiały sukienkowe, olej, czaj i cukierki – tego nie da się nawet opisać. Z frontu nie nadchodziły żadne wieści, więc nie wiadomo było czy pradziadek nadal żyje. Czas mijał, a rodzina radziła sobie jak tylko potrafiła w tej nowej rzeczywistości. W maju nagle coś się zmieniło. Był to słoneczny dzień i babcia przebywała na polu ziemniaczanym, kiedy to ogłoszono koniec wojny. Radość ogarnęła wszystkich polskich zesłańców. Uwierzyli w rychły powrót do swoich domów. W Boże Narodzenie, zasiadając do stołu wigilijnego, nie przypuszczali, że będą to ostatnie ich święta w Kazachstanie i że następne spędzą już w Polsce.

„Wracamy do domu” – tak oznajmiła prababcia na początku marca 1946 r. Należało jedynie otrzymać od władz pozwolenie na wyjazd do Polski. To co miało być najłatwiejsze okazało się być tym najtrudniejszym. Wiele rodzin dostało odmowę wyjazdu w tym rodzina prababci. Przez nieprawidłowości w dokumentach musieli udowodnić, że są Polakami. Jedynym dowodem, który spowodował zmianę decyzji władz, okazał się krzyż, który babcia Renia przechowywała przez cały okres zesłania. To właśnie ta jedyna pamiątka starych i dobrych czasów z Jelnej, z której pochodzili, sprawiła że powrót do domu stał się możliwy.

Droga powrotna odbyła się również w bydłych wagonach, ale już inne nastroje towarzyszyły zesłańcom. Wiedzieli, że wracają do domu, ale nie wiedzieli jeszcze, że ten dom jest gdzie indziej, że tereny, na których były ich domy, już nie należały do Polski, a ich wywożą na tzw. Ziemię Odzyskane, gdzie przyglądano im się jak dziwołogom, wytykano palcami i wyzywano od syberyjskiej holoty. Znowu byli jak wygnańcy – tym razem z ziemi rosyjskiej do poniemieckiej. Moja babcia nigdy nie zobaczyła już ukochanej babci Zosi, od której dostała pamiątkowy krzyż ani swojej Jelnej, w której spędziła pierwsze 10 lat swojego życia.

Każda pamiątka rodzinna ma swoją historię. Pamiątka w postaci odkrytego przeze mnie krzyża została przedstawiona w kolejnej historii – dzieciństwa mojej babci. Kiedy jej świat się zawalił, była młodsza ode mnie. Mimo przeciwności losu przetrwała i pozostawiła po sobie świadectwo tych okrutnych dni, które mam nadzieję, nigdy nie powrócą. Odnaleziony

krzyż już nie leży na dnie kartonu pomiędzy zapisanymi kartkami. Dzisiaj wisi on nad moim łóżkiem i wierzę, że będzie mnie tak samo chronił, jak chronił moją babcię.



Janina Poradzevska

Szkoła Podstawowa nr 45 z Oddziałami Integracyjnymi
im. ks. Jana Twardowskiego w Szczecinie

Pamiętką rodzinną, którą opiszę jest drewniana tabliczka wykonana własnoręcznie przez mojego pradziadka Floriana. Widnieje na niej spis potraw, które podane były w obozie jenieckim w Colditz w Wigilię 1939 r. Nasza pamiątka rodzinna ma więc przeszło osiemdziesiąt lat, a pradziadek przywiózł ją z sobą, kiedy po II wojnie światowej wrócił do rodzinnego domu.



Tabliczka to drewniany prostokąt o wymiarach około 17x11 cm pomalowany bezbarwnym lakierem. Znajduje się on w ramce wykonanej z tego samego materiału. Można ją powiesić za pomocą małego drucianego kółeczka, również zrobionego samodzielnie przez pradziadka. W prawym górnym rogu tabliczki wycięta jest promieniująca gwiazda betlejemaska, a pod nią widnieje napis „Wigilia 23 XIII 1939 Oflag IV C”. Z lewej strony wydrapana jest choinka przystrojona bombkami, łańcuchem, świeczkami i gwiazdą na czubku. W centralnej części tabliczki umieszczony jest napis „SPEISEN FOLGE”, co oznacza w języku niemieckim „menu”. Zarówno literki, jaki i ozdoby choinkowe wycięte są w taki sposób, by tworzyły w drewnie otwory. Pod tą częścią tabliczki znajduje się kawałek srebrnej folii przymocowany drugą cieniutką deseczką. Ten zabieg powoduje, że widać srebrzyste pobłyski, gdy światło pada na tabliczkę. Myślę, że ma to oddawać wigilijny i uroczysty nastrój, a ozdoby na drzewku mają imitować prawdziwe świąteczne świecidelka. Pradziadek ciekawie i pomysłowo wymyślił sposób na oddanie odświętnego nastroju w ciężkich warunkach panujących w obozie. Poniżej, mniejszymi literami, wycięta jest data i menu wigilijne oraz nazwisko oficera służbowego obozu. Wszystkie te informacje zamieszczone są w języku niemieckim. Na tabliczce widnieje data *Sonntagabend 23 XII 1939*, czyli sobota 23 grudnia 1939 r. i wykaz zaplanowanych na kolejny dzień posiłków. Rano, o 7.15 – kawa i chleb, w południe – nie przewidziano jedzenia, a wieczorem, o 16.00 – barszcz z ziemniakami, śledź, kluski z makiem i cukrem oraz kompot. Na samym dole, przy ramce, wryte jest nazwisko oficera służbowego obozu – ppor. Skoczeń. Domyślam się, że to on był odpowiedzialny za ten skromny, świąteczny posiłek.

Tabliczka jest wykonana dokładnie i starannie. Zachowała się bardzo dobrze, prawie wcale nie ma uszkodzeń. Ciekawostką jest, że pradziadek w menu zapisał słowa „barszcz” i „kompot” w języku polskim. Najprawdopodobniej nie znalazł niemieckich nazw tych potraw. Widać również, że wycięcie drobnych ozdób na choince sprawiło mu trudność, może był to brak odpowiedniego narzędzia albo jakaś nierówność w strukturze drewna.

W roku 1939 mój pradziadek miał 27 lat, żonę i malutkiego synka. Był kierownikiem szkoły powszechnej w Terebliczach na terenie dzisiejszej Białorusi. Szczęśliwe i spokojne życie przerwał wybuch II wojny światowej. Do wojska polskiego został zmobilizowany latem w Brześciu na Bugiem. Właśnie tam pożegnał się z rodziną, której nie widział przez ponad pięć następnych lat. Walczył w szeregach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga. Brał udział

w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej stoczonej pod Kockiem. Wieczorem 4 października 1939 r. został postrzelony w nogę, a rano następnego dnia w punkcie opatrunkowym dowiedział się o podpisaniu przez dowódców kapitulacji. Razem z innymi rannymi został przewieziony do Radomia, gdzie w szpitalu przebywał do połowy listopada.

Z Radomia pradiadek z małą grupą oficerów został przetransportowany do jenieckiego obozu specjalnego Oflag IV C Colditz, który znajdował się niedaleko Drezna. Jak wspominał, w małym zamku na skalach, w którym mieściło się więzienie z początku było tylko 34 więźniów, jednak krótko później przez jeńców zostały zajęte wszystkie wolne pomieszczenia. To właśnie tam, przed pierwszymi świętami Bożego Narodzenia, spędzonymi w niewoli i z dala od bliskich powstała opisywana przeze mnie drewniana tabliczka. Wtedy, i przez wszystkie kolejne wojenne lata, pradiadek był samotny i smutny. Tęsknił za żoną i małym synkiem, martwił się o ich bezpieczeństwo i chciał do nich wrócić. Wspominał, że warunki, w jakich jeńcy przebywali w Colditz były stosunkowo dobre, dużo lepsze niż w kolejnych obozach...

Pradiadek ponad pięć lat, jako jeńiec wojenny spędził w niemieckich oflagach, czyli obozach przeznaczonych dla oficerów. Były one zlokalizowane w następujących miejscowościach: Colditz, Prenzlau, Neuenbrandenburg (wszystkie znajdują się obecnie na terenie Niemiec) oraz Gross Born (czyli Borne Sulinowo w woj. zachodniopomorskim). Kontakty z rodziną utrzymywał jedynie za pomocą korespondencji – mógł napisać dwa listy i jedną kartkę w miesiącu. Większość tych przesyłek również zachowała się w rodzinnych zbiorach. W czasie II wojny światowej Niemcy utworzyli kilkanaście tysięcy obozów i więzień, do niewoli wzięli ok. 18 mln ludzi z 30 państw. Jednym z nich był mój pradiadek.

Koniec wojny zastał pradiadka w Gross Born, tam doczekał wyzwolenia obozu przez Armię Wojska Polskiego. Nareszcie mógł wrócić w rodzinne strony. Podróż tę odbył głównie przypadkowymi połączeniami kolejowymi i piechotą. Do domu rodzinnego w Wielkopolsce dotarł 26 lutego 1945 r. Czekala na niego matka, żona i 7-letni syn, z którym żegnał się, gdy dziecko miało niespełna dwa lata. Wraz z pradiadkiem do domu dotarli radość i ulga, ale też przerażające wspomnienia i kilka bezcennych dzisiaj pamiątek, w tym opisana tabliczka.

Hanna Kozłowska

Szkoła Podstawowa nr 2 w Sianowie

Kryształowa wdzięczność

Stoi za szybą, na najwyższej półce kredensu. Błyszczyc się i mieni w słońcu, załamując jego promienie. Znam jej każde wyraźnie zaznaczone wgłębienia układające się w kwiaty i luki. Pomiedzy nimi zaakcentowane zostały spływające zamrożone krople wody. Jej brzegi, przypominające falbankę, dodają uroku i elegancji. Kształtem przypomina łódkę. Od kiedy pamiętam, budziła moją ciekawość, ponieważ jej zawartość – różnokolorowe cukierki, przyciągały jak magnes. Jej tajemniczość podkreślał fakt, że nigdy nie wolno jej było dotknąć. Teraz już wiem, dlaczego tylko mama albo babcia mogły ją myć. Jest dla nich zbyt wartościowa, aby coś mogło jej się stać. A w moich niezdarnych dłoniach nie była bezpieczna. Kiedy poznałam jej historię i dla mnie stała się cenna. Jej dzieje przedstawię oczami i słowami mojej prababci Jadwigi Kraszewskiej, która często opowiadała, jak ten skarb znalazł się w naszej rodzinie:



„Uciekaliśmy. Musiałam chronić siebie i swoje małenstwo. Urząd Bezpieczeństwa za bardzo interesował się mną i moim mężem Janem, który został postrzelony i kulal. Nie mogło się wydać, że walczył w Armii Krajowej,

ja byłam łączniczką. Droga z Hrubieszowa do Majewa, koło Elbląga, ciągnęła się w nieskończoność. Była to zima 1945 r. Dzięki żołnierzom, którzy swoimi plecakami zasłaniali okna w pociągu, nie padał na nas śnieg. W Majewie przywitał nas zaprzyjaźniony ksiądz z AK, który znalazł dla nas dom. Nie było z tym większych problemów, ponieważ niemiecka ludność cywilna po wojnie została przesiedlona. Niektórzy chcieli jechać do Rzeszy, inni zostali do tego zmuszeni. Na Ziemiach Odzyskanych władze polskie utrudniały życie Niemcom, którzy spotykali się z coraz większą wrogością. Pozwolono nam zająć gospodarstwo, które wcześniej należało do przesiedleńców. Było ono duże, a praca nie należała do najłżejszych. Sklepy były słabo zaopatrzone. Dobrze, że mieliśmy krowę, dzięki której mój synek Rysiu nie głodował. Przed wojną mieszkalam w wiosce koło Włodzimierza Wołyńskiego wraz z Ukraińcami, teraz z Niemcami. Większość z nich już wyjechała zabierając ze sobą swój dobytek. Widziałam jak ze łzami w oczach opuszczali ziemie zamieszkiwane przez nich od lat. Wśród osób, które jeszcze pozostały byli dwaj chłopcy, w wieku 15 i 17 lat. Mieli zabrać się drugim transportem. W innym gospodarstwie mieszkała młoda Niemka, która niedawno urodziła. Podczas wojny straciła męża. Teraz także czekała na wyjazd. Dopiero na wiosnę obsialiśmy pola i posadziliśmy ziemniaki. Wszyscy głodowaliśmy. O marchewce dla dziecka mogłam tylko pomarzyć. Nikt nie chciał pomóc tym biednym chłopcom, którzy czekali na opóźniający się wyjazd. Błąkali się po wsi w poszukiwaniu zajęcia i jedzenia. Nie mogli liczyć na wsparcie, bo przecież to Niemcy – „wrogowie”. W naszym gospodarstwie było sporo pracy, a mój kochany Janek był dobrym gospodarzem. Skromnego jedzenia starczyło i dla nich. Przychodzili, pomagali. My odwdzięczaliśmy się troską i jedzeniem. Żyliśmy się. Z mąki i żółtek nauczyłam się robić kaszkę, którą karmiłam dzieci. Mleka wystarczyło i dla tej młodej dziewczyny oraz jej dziecka. Chłopcy w podziękowaniu przynosili nam to, co wcześniej ukryli, co pozostało im po rodzicach – ręczniki, pościel, obrusy, serwetki i naczynia. Wśród nich była również... kryształowa salaterka, która od tylu lat gości na naszym stole. Reszta darów po latach zużyła się. Pozostała tylko ona. Wiele razy przeprowadzaliśmy się, a ona razem z nami i ze wspomnieniami o tych młodych ludziach.”

Prababcia nigdy nie przeszła obojętnie obok potrzebującego człowieka. Przeżyła 90 lat. Odeszła od nas w 2015 r., jednak dzięki kryształowej salaterce wciąż żyje w naszych wspomnieniach. Widzimy w nich jak opowiada o swoim życiu: o służbie w AK; o ciężącym na niej wyroku śmierci

wydanym przez UPA (Ukraińską Powstańczą Armie); o pomocy ukrywającym się Żydom we Włodzimierzu Wołyńskim. Była dzielna i odważna. Troszczyła się o wszystkich. Nigdy nie miały dla niej znaczenia narodowość czy wyznanie, ale człowiek i jego dobro. Za każdym razem, gdy spojrzę na ten cenny kryształ widzę prababcię Jadzię. Chciałabym być taka jak ona, a salaterka przypomina mi o tym. Od siedemdziesięciu czterech lat, ta piękna pamiątka stoi na środku stołu podczas rodzinnych spotkań. Patrząc na nią, zawsze wspominamy naszą kochaną prababcię i to, jaka była. Dla mnie jest symbolem dobroci, miłości i życia ponad podziałami. Dzisiaj tak trudno pochylić się nad innym człowiekiem, dostrzec jego potrzeby i cierpienie, być może dlatego dla mojej rodziny, kryształ, który wspominam, pełen jest, już nie słodkości, a miłości do innych, tolerancji i wrażliwości. Mam tę cichą nadzieję, że kiedyś i moje dzieci będą hołubiły te kilka szklanych załamań odbijających w ciepłe dni promienie słońca...

Olaf Łukaszewicz

Szkoła Podstawowa w Daszewie

Szmaragdowe w jej oczach iskierki radości

Nie, to nie był prawdziwy szmaragd ani żaden z kamieni szlachetnych, a dla Janka była to najcenniejsza pamiątka, jaka pozostała mu po jego mamie. Pierścionek już dawno rozkruszył się na drobne części, ale szmaragdowe szkiełko przypominające drogocenny kamień, wciąż mieniło się w słońcu wszystkimi odcieniami zieleni.

Zieleń kojarzyła się Jankowi z ciepłem, wiosną, lasem, który tak bardzo kochał, ale od kilku miesięcy również z kolorem oczu pewnej dziewczyny. Stasia mieszkała kilka ulic dalej, spotykali się najpierw potajemnie, ale już wkrótce okazało się, że są dla siebie stworzeni.

Czasy nie były wówczas najlepsze, po klęsce Napoleona zgodnie z postanowieniami Kongresu Wiedeńskiego z lat 1814–1815 Wilno przypadło Rosji. Mimo wielu oczekiwań nie weszło w skład Królestwa Polskiego. Na początku XIX w. kultura rozwijała się w Wilnie całkiem prężnie – wszak za rządów cara Aleksandra I rozwinął się Uniwersytet Wileński. Stał się ośrodkiem niezwykle aktywnego ruchu umysłowego i jednocześnie centrum polskości. Wykładali tam: Jan i Jędrzej Śniadeccy, znani jako bracia Śniadeccy, Joachim Lelewel, a studentami byli m.in.: Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Powstawały liczne towarzystwa naukowe i patriotyczne związki studenckie: promieniści, filomaci i filareci. W konspiracyjnym środowisku znaną z aktywnej działalności postacią był wtedy Tomasz Zan, poeta i przyjaciel Mickiewicza, który był związany z Towarzystwem Filomatów i Zgromadzeniem Filaretów. Niestety, tuż po powstaniu listopadowym, rząd carski zamknął wiele szkół, w tym również uniwersytet. Nadeszły jednak gorsze czasy, gdyż po powstaniu styczniowym w Wilnie rozpoczęły się represje, wiele osób stracono w publicznych egzekucjach, jeszcze więcej zesłano na Sybir. Rozpoczęła się bardzo agresywna rusyfikacja i prześladowania.

W takich okolicznościach niezrażony niczym Janek zdecydował, że chce spędzić ze Stasią resztę swojego życia. Nie był osobą majątną, ale postanowił zaimponować swojej wybrance i sam wykonał „pierścionek zaręczynowy”, który pierścionkiem nigdy nie był. Ze znalezionej w lesie rogu jelenia



wykonał medalion, w którym własnoręcznie umieścił szmaragdowe oczko pozostałe z pierścionka jego mamy. Stasia oczywiście przyjęła oświadczenia i wówczas w jej oczach zaszalały iskierki radości. Janek i Stasia pobrali się w małym kościółku, w otoczeniu najbliższej rodziny. Dwa lata później, na świat przyszła ich córka – Jadwiga.

Był rok 1900. Represje nie ustawały i niestety nie ominęły również moich antenatów. Pewnej nocy Jan został zabrany z domu. Wyszedł tak, jak stał. Nikt wówczas nie podejrzewał, że Janek już nigdy nie zobaczy swojej córki Jadzi, ani szmaragdowych oczu Stasi. Razem z tysiącem innych Polaków i Litwinów został zesłany na Sybir.

Stasia z malutką córką musiała sobie radzić sama. W najsmutniejszych chwilach Stasia płakała i ścisłała w dłoni medalion, modląc się jednocześnie o powrót Janka. Tak się jednak nie stało.

Jadwiga rosła. Wybuchła I wojna światowa. Tak naprawdę zarówno Polacy, jak i Litwini, wiązali z wojną nadzieję na odzyskanie niepodległości przez Wilno i Wileńszczyznę.

We wrześniu 1917 r. w Wilnie wybrano Radę Litewską tzw. Tarybę, która 16 lutego 1918 r. ogłosiła niepodległość i powstanie niepodległego Królestwa Litwy.

Rozstrzygnięcie przynależności państwowej Wilna i Wileńszczyzny bez uszczerbku dla zamieszkujących te rejony Polaków, Białorusinów i Litwinów nie było sprawą prostą. Za Litwą przemawiały sprawy historyczne,

Litwini zwyczajnie nie chcieli się wyrzec swojej historycznej stolicy. Natomiast za Polską przemawiała statystyka, ponieważ ponad połowę mieszkańców Wilna stanowili Polacy. W tych warunkach zrozumiałe, że strona polska nie chciała rezygnować z miasta.

W pierwszych dniach stycznia 1919 r. Jadwiga miała już 19 lat, wówczas Wilno ponownie zostało zajęte przez Armię Czerwoną. Jednak już w kwietniu zostało odbite przez wojska polskie. Jadzia stojąc w tłumie

wiwatujących Polaków z dumą patrzyła, jak Naczelny Wódz Józef Piłsudski konno wjeżdża do Wilna przez Ostrą Bramę. Wydał on wówczas odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, zapowiadając, że to społeczeństwo samo zdecyduje o swojej przyszłości. Spotkało się to jednak z protestem Litwinów i bardzo zaogniło sytuację wewnętrzną.

I chociaż ponownie czasy nie należały do najspokojniejszych, to nawet wówczas znalazło się miejsce na odrobinę uczucia i miłości. Jadzia miała 25 lat, kiedy poznała Feliksa, cztery lata starszego właściciela pokaznej stadniny. Feliks nie był rosłym mężczyzną, oglądając zdjęcia mógłbym nawet powiedzieć, że był malutkim, drobnym człowieczkiem. Nie miało to większego znaczenia dla Jadzi, nie namyślała się długo z odpowiedzią na słynne pytanie – „czy zostaniesz moją żoną?”. Zgodziła się bez wahania. Ślub wzięła ubrana w białą, długą koronkową suknię, a na jej szyi zawisł medalion подарowany przez Stanisławę.

Niedługo potem na świat przyszła pierwsza córka – Helena. Wkrótce potem reszta dzieci, w sumie siedmioro. Życie toczyło się miarowym rytmem, nie zawsze przybierało różowe barwy, jednak rodzina zawsze trzymała się razem. Gdy Helena miała 8 lat, wybuchła II wojna światowa. Po 40 dniach okupacji Wilno zostało przekazane Republice Litewskiej, później wcielone do Związku Radzieckiego, aby od 1941 r. znaleźć się pod okupacją hitlerowską.

W mieście nastąpił wówczas straszliwy terror. Helena i jej rodzeństwo byli świadkami pogromu – prześladowaniom poddawano tysiące mieszkańców. Niestety ten horror dotknął również rodzinę Heleny. Jej babcia Stanisława, wraz z rodziną żydowską, którą ukrywała w swoim domu została wywieziona do ponarskich lasów i tam zamordowana.

Po nieudanej akcji AK pod kryptonimem „Ostra Brama”, Wilno zostało zdobyte przez Sowieców. Po wojnie kilkaset tysięcy Polaków z Wilna, zostało przesiedlonych na teren dzisiejszej Polski. Jadwiga i Feliks wraz z dziećmi, zmuszeni byli pozostawić majątek i stadninę i w poczuciu racji, gdyż czuli się Polakami, wyruszyli na nieznaną im ziemię.

Los przywiódł ich do Lulewic. Małej wioski niedaleko Białogardu. Wiedli tutaj spokojne, wiejskie życie, połączone z ciężką pracą na gospodarstwie. Helena i jej rodzeństwo chodzili do szkoły, a popołudniami pomagali rodzicom w pracy. W pewnym momencie swojego życia, Feliks zdecydował się sprzedać gospodarstwo i przeprowadzić się z rodziną do Białogardu.

W 1950 r. Helena miała 19 lat i właśnie wtedy poznała Wacława, chłopaka krzepkiego, wesołego, ale i pełnego młodzieńczego animuszu.

Bardzo szybko zostali parą, ich związek przypieczętowała przysięga małżeńska, a przepiękną suknię Heleny zdołał – ma się rozumieć – medalion wykonany przez Jana. Stało się to już niemal tradycją – medalion ze szmaragdowym oczkiem był świadkiem wydarzeń ważnych, pełnych emocji, uczuć i miłości.

Gdy w 1951 r. na świat przyszła pierwsza córka Heleny i Wacława – Teresa wiadomo było, kto odziedziczy medalion.

Mam w domowym albumie piękne zdjęcie babci Teresy – ma 19 lat, pięknie się uśmiecha, a w oczu „rzuca się” ten właśnie medalion. Sam nigdy go nie widziałem. Byłem jeszcze dzieckiem, gdy babcia Teresa zmarła. Niewiele też o nim opowiadała, ponieważ dopiero po jej śmierci historia niezwyklej pamiątki wyszła na jaw. Tradycja przekazywania medalionu z pokolenia na pokolenie i używaniu go w chwilach ważnych, trochę się zatarła. Babcia nie założyła medalionu w chwili ślubu. Po śmierci babci, medalion trafił do rąk mojej ciotki Kasi, która nie wyszła za mąż – i jak się zarzeka – nigdy nie wyjdzie. Wybrała go sobie spośród wszystkich możliwych przedmiotów stanowiących pamiątkę po mamie. Ciotka opowiadała, że nie знаła historii tego przedmiotu, który od dziecka ją fascynował. Dowiedziała się o wszystkim dopiero po śmierci swojej mamy, a mojej babci.

W tej chwili medalion znajduje się tysiące kilometrów stąd w Londynie. Wiem, że trafi on kiedyś w moje ręce. Mam nadzieję, że ani ja, ani medalion nigdy nie będziemy musieli być świadkami tragedii spowodowanych historyczną zawieruchą i będzie mi się on kojarzył tylko z pięknymi rzeczami, jak szmaragdowe iskierki radości w oczach mojej prapraprababci Stasi.

Szanowni Czytelnicy!

Po konsultacjach Komisja Konkursowa w składzie, z ramienia Kuratorium Oświaty w Szczecinie: Zachodniopomorska Kurator Oświaty Magdalena Zarębska-Kulesza, Małgorzata Duras i Daniel Wróbel, a z Archiwum Państwowego w Szczecinie: Iga Bańkowska, Anna Cichy i Janina Kosman, postanowiła aby podzielić się dodatkowo historiami pięciorga uczniów-wychowanków Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Mieszka I w Chojnie. Prace konkursowe: Sandry Kuballek, Tomasza Halikowskiego, Patryka Stańczaka, Mateusza Dopierały i Kamila Pitury szczególnie zapadły nam w pamięć, ze względu na dojrzałość sądów, perspektywę, a także obraną konwencję. Ci młodzi ludzie, udziałem których niejednokrotnie były wydarzenia trudne, bolesne, w bardzo dojrzały sposób podsumowują doświadczenia swoje i swoich rodzin. W piękny sposób piszą o swoich bliskich, wskazują, że w ich rodzinach nie było tradycji gromadzenia pamiątek rzeczowych, ale była pielęgnowana i przekazywana z pokolenia na pokolenie pamięć miejsc i ludzi, w formie przekazów ustnych. Mimo niełatwego życia, wracają pamięcią do najwcześniejszych lat, wspominają ludzi, którzy ich otaczali, robiąc to z wielkim szacunkiem i wdzięcznością. Motywem, który również przewija się w tych pracach, jest podkreślenie roli szkoły, w której się uczą, jak również roli nauczycieli, trenerów, którzy motywują ich do nauki i kierują ku pomyślnej przyszłości.

Tu także wyrazy uznania należą się Panu Andrzejowi Krywalewiczowi, nauczycielowi historii i opiekunowi, pod którego kierunkiem niniejsze prace powstały.

Sandra Kuballek

Branżowa Szkoła I Stopnia

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chojnie

Moja rodzina pochodzi ze środowiska wiejskiego. Babcia, dziadek podjęli w latach 60-tych w minionym stuleciu pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym na Ziemi Bańskiej. Przez długi okres pracy zawodowej wykonywali różne prace. Porównywano ich do wiecznych tulaczy, którzy nigdzie nie mogli dłużej zagrzać miejsca. Nasze babcie, dziadkowie nie przywiązywali znaczenia do gromadzenia pamiątek materialnych. Pamiątkami są wspomnienia i opowieści tych ludzi.

Urodziłam się 22 lutego 2004 r. Mama ma na imię Agnieszka, pochodzi z Rożnowa, moi dziadkowie byli pracownikami miejscowego PGR w Rożnowie. Jakaś przyczyna spowodowała, że akurat w Rożnowie pozostali, otrzymali mieszkanie. Babcia moja ma na imię Genowefa. Dziadek miał na imię Daniel, zmarł w 2017 r. Moja mama Agnieszka przyszła na świat jako najmłodsze dziecko. Jako dorosła kobieta zamieszkała w pobliskim Borzymku, to właściwie nie wiem, znajdują się tam do dziś trzy domy mieszkalne z zabudowaniami gospodarczymi. Borzymek znajduje się w lesie. Rodzice zamieszkali w samodzielnym domu, który był połączony z dwoma sąsiednimi budynkami. Urodziłam się jako drugie dziecko w rodzinie. Najstarsza jest moja siostra Nikola, później przyszedł czas na mnie, młodszy ode mnie są moi bracia: Grzegorz, Wiktor, siostra Amelka i najmłodszy Alan. Mieszkaliśmy w Borzymku do roku 2016 r. W naszym domu znajdowały się cztery pokoje, kuchnia. Brakowało łazienki. Kapaliśmy się w starej misce, prawdopodobnie ta miska była „taka pokoleniowa”. Wychodek drewniany znajdował się na podwórzu. Wioska małeńka położona w pobliżu zapomnianej, zniszczonej drogi łączącej Rożnowo i Borzym. W nocy był spokój, cicho, może aż za cicho. Z opowiadań dorosłych wiem, że zwierzęta z lasu, szczególnie dziki często chodziły wokół domów, zabudowań gospodarczych. Mało zapobiegliwy sąsiad w odpowiednim czasie nie odgrodził ogrodu, nie zabezpieczył, wówczas dziki, sarny niszczyły uprawy. Blisko płynęła rzeka Tywa. W miejscu, gdzie przed latami stał młyn wodny, kamienie po budowli zatrzymywały wodę, w miejscu gdzie dawniej pracował młyn wodny, utworzył się staw. Było niebezpiecznie, duże kamienie pozostały z zabudowań młyna i znajdowały się w różnych miejscach w wodzie. Znałam na pamięć dno i dlatego bezpiecznie dochodziliśmy z rodzeństwem do piaszczystego brzegu. Ważną osobą był nasz sąsiad, nazywał się pan Edward. Dużo nam pomagał. Gdy potrzebna

była konsultacja lekarza, zawoził nas bez problemu do pobliskiego Gryfina do lekarza. Podobnie, gdy udawaliśmy się zrobić większe zakupy, pan Edward podobnie, zawoził nas do tego miasta. Zapamiętałam, że kiedyś niebezpiecznie rozbiła głowę moja siostra Amelka. Niezastąpiony sąsiad zostawił swoje miejsce pracy, przyjechał i w pośpiechu oddalił się do gryfińskiego szpitala. Tam na miejscu, ranę zszyl lekarz, pomału się zagoiła. Niejednokrotnie nam pomógł. Pan Edward zostanie chyba na zawsze w mojej pamięci. Podobnie dobrze zapamiętałam sąsiadki, dwie starsze panie: Zosia i Wanda. Z panią Zosią zbieraliśmy jabłka, ponieważ w jej ogrodzie rosło kilka starych jabłoni. Zawsze pogodna, życzliwa i szczerza. Od pani Wandy dostałam na swoje urodziny prezent, który sprawił mi wiele radości. Co ciekawe nasi sąsiedzi to było starsze pokolenie. Pani Wandy dzieci i wnuki mieszkały w dużym mieście. Pani Zosia była samotną osobą. Wraz z moim rodzeństwem byliśmy w Borzymku jedynymi dziećmi, co najprawdopodobniej miało duży wpływ na serdeczność i życzliwość osób dorosłych wobec nas. Dojazd pojazdów ratownictwa albo policji był tutaj bardzo utrudniony. Dzisiaj myślę, że gdyby nagle, ktoś z nas mocno się zranił, to wykrwawiłby się przed przyjazdem karetki. A może się myłę... Dobrze zapamiętałam, gdy w wolne dni odwiedzał nas, jeden z moich kuzynów z Rożnowa. Dla mnie było bez znaczenia, czy odwiedził nas Dawid, Tycjan czy Gracjan. Oni byli zawsze wobec nas troskliwi, opiekuńczy, chociaż sami nie mieli łatwego życia. Wychowywani byli przez babcię Genię, ponieważ ich mama, a moja ciocia zmarła. Trudno dzisiaj jest mi przypomnieć, czym moi kuzynowie przyjeżdżali do Borzymka. Myślę, że pokonywali tych kilka kilometrów pieszo, rzadziej rowerem. Spędzaliśmy czas w zależności od pogody, w domu albo wokół budynków z lasem.

W 2016 r. trudne, uciążliwe warunki mieszkaniowe, brak toalety, problem z ogrzewaniem pomieszczeń mieszkalnych zimą oraz innych życiowych trudności wzbudziły zainteresowanie dziennikarza miejscowej „Gazety Gryfińskiej”. W wyniku podjętych przez wiele życzliwych osób działań otrzymaliśmy mieszkanie w Gryfinie. Początkowo życie w mieście traktowałam jako bardzo korzystną zmianę. Nowe mieszkanie, życie w Gryfinie stanowiło dla nas wiele radości. Odkąd zamieszkaliśmy w mieście, początkowo unikałam wspomnień związanych z Borzymkiem, jednak czas zmienia nas. Wiem, że za jakiś czas odwiedzę nasz pierwszy rodzinny dom. Dom w Borzymku i wszystko to, co się wydarzyło w czasie, gdy tam mieszkaliśmy to podwaliny naszego dalszego rodzinnego życia. Dziś jestem w innym miejscu świadoma, że podstawą naszego wspólnego dziedzictwa są lata dzieciństwa, które upłynęły w maleńkiej gryfińskiej wiosce.

Tomasz Halikowski

Branżowa Szkoła I Stopnia

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chojnie

Nazywam się Tomasz Halikowski. Urodziłem się w roku 2000. Dla mnie osobiście najważniejszymi pamiątkami rodzinnymi są wspomnienia dotyczące historii mojej najbliższej rodziny, dom w Myśliborzycach, wspomnienia związane z naszym życiem tutaj oraz kilka fotografii. „Co dało początek, stało się podstawą życia mojego i moich najbliższych? Co dla mnie jest początkiem?” Im więcej myślę i próbuję odpowiedzieć sam sobie logicznie o początek, przychodzi mi do głowy wszystko to, co związane jest z początkiem, okresem w życiu mojej rodziny, gdy jak ziarenka piasku w drewnianej skrzynce, każda chwila, dzień, tydzień, miesiąc i kolejne lata gromadzą się w symbolicznej drewnianej skrzyni i stanowią początek i naturalny, silny fundament mojego życia.

Aby wyrazić swoimi słowami, co pragnę przekazać, muszę się cofnąć do czasu dzieciństwa spędzonego w wiosce nieopodal Myśliborza. Nasz dom rodzinny to mniejsza połowa niedużego budynku kolejowego w Myśliborzycach. W roku 1999 po raz ostatni zatrzymał się krótki skład pociągu pasażerskiego na tutejszej stacji, pokonując drogę z Gorzowa do Myśliborza. Budynki kolejowe zostały zbudowane przed wybuchem I wojny światowej. Budynek stacji powstał na wzniesieniu od strony Myśliborza, z daleka dobrze widoczny. W górnej części widoczna była (przetrwała zresztą do dziś) nazwa stacji – nazwa wioski. Nieopodal istniał rozjazd torów i piaszczyste, wyłożone płytami perony. W przeciwnym do peronów kierunku, z drugiej strony stacji, znajdowały się budynki gospodarcze, zbudowane również z cegły. Rodzice hodowali gęsi, kaczki, kury, króliki. Sąsiad w sąsiednim budynku gospodarczym, na parterze hodował świnię, natomiast w wyższej części, pocztowe gołębie. Z okien naszego domu rozpościerał się widok na pola, na których pasły się krowy. Mama ma na imię Agata, przyjechała tutaj z okolic Gorzowa. Dziadkowie mojej mamy to Romowie, przyjechali na ziemię zachodnie z odległych, przedwojennych ziem polskich. Wcześniej życie spędzali na wozach, które stały się symbolem niekończącej się wędrówki. Zasymilowali się na swój sposób z lokalną społecznością w podgorzowskiej gminie Santok, odcieśli od życia koczowniczego. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy zmienili tradycyjny styl życia pod wpływem powojennych działań politycznych, czy po prostu pragnęli tego. Faktem jest, że gdy urodziły się ich dzieci, pokolenie rodziców mojej mamy

(moi pradziadkowie), wychowywali się w jednym rodzinnym domu, w Gralewie koło Gorzowa, w pobliżu gdzie Noteć wpływa do Warty. Tata na chrzcie otrzymał imię Jeremiasz, gdy był dorosły, dokonał zmiany na Jeremiusz. Tak pozostało. Rodzina jego przywędrowała z Rosji. Wielokrotnie słyszałem opowieści, że przez pokolenia zamieszkiwali w rosyjskiej wiosce, zabudowanej drewnianymi zabudowaniami. Oni uważali się za Rosjan, jako kraj swój wskazywali Rosję. W jakich okolicznościach przybyli na ziemie zachodnie, włączone po II wojnie światowej do Polski, nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. Rodzeństwo bliskie i dalsze taty, gdy przywoływali we wspomnieniach pionierskie lata powojenne, wpływające na Pomorzu Zachodnim, wspominali, że w tym czasie w domu posługiwali się początkowo językiem rosyjskim i pozostawali wierni tradycjom wschodnim. Później nastąpił czas zmian, początkowo małych, wręcz niewidocznych. Pod wpływem dorastania pokolenia tutaj urodzonych, wszystko się zmieniło. Rodzina ojca zamieszkała w okolicy Myśliborza. Moją rodzinną ziemią jest myśliborska, najważniejszym miastem Myślibórz. Mama jeszcze jako panna podjęła swoją pierwszą pracę w restauracji „Myśliborzanka”, która znajduje się do dziś na myśliborskim rynku, naprzeciwko ratusza. Później znalazła zatrudnienie w Ośrodku Harcerskim, zwanym Harcówką w Myśliborzu. Podobnie jak w Myśliborzance, podobnie tutaj gotowała obiady, przyrządzała posiłki. Tata pracował w Harcówce jako konserwator, tutaj rodzice się poznali. Gdy myślę o czasie, który upływał nam w Myśliborzyczach, to rozdzielam nasze życie rodzinne na tradycyjne, które dokonywało się w naszym domu, przy naszym współdziałaniu oraz wędrowanie. Na zakupy udawaliśmy się do pobliskiego Myśliborza. Droga, jaką pokonywaliśmy w jedną stronę to trzy tysiące kroków. Dziś z zamkniętymi oczyma widzę tę drogę. Wzdłuż alei w kierunku Myśliborza rosły poniemieckie grusze i śliwy węgierki oraz ałycze. Niektórzy miejscowi nazywali te niewielkie drzewa owocowe, śliwami wiśniowymi. W upalne dni drzewa śliw dawały upragniony cień. Powracaliśmy z pełnymi torbami, za każdym razem pewniejsi, że jesteśmy zabezpieczeni. Innym kierunkiem naszych wędrówek były pobliskie wioski: Wierzbówek, Kolonia Myśliborzyce, Zarzeczce, plaża i lasy wokół Jeziora Białego. Te wędrówki zmieniały mnie z każdą upływającą godziną, przywiązywałem się do wiejsko-leśnego krajobrazu. Kolegów, rówieśników pamiętam jak przez mgłę. Życie bezlitośnie upływa, pozostawiając w nas dobre i złe wspomnienia, bo takie ono jest.

Lata upływały, rodzice zdecydowali o rozstaniu. Wraz z siostrami zostałem z mamą. W 2009 albo 2010 r. zamieszkaliśmy w Myśliborzu

na rynku, gdzie mieszkamy do dzisiaj. Jestem coraz starszy i coraz silniej utożsamiam się z czasem, gdy nasza rodzina mieszkała w Myśliborzycach, w urokliwym budynku kolejowym.



Patryk Stańczak

Branżowa Szkoła I Stopnia

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chojnie

Bardzo duże znaczenie ma dla mnie historia mojej rodziny. Wiedzę czerpię z rozmów z najbliższymi. Jestem świadomy jak szybko przemija ludzkie życie, pragnę podzielić się opowieścią o bliskich mi osobach, które stanowią dla mnie najcenniejszą pamiątkę. Historia mojej rodziny to dom w Wilcze, koło Barlinka, który stanowi pamiątkę rodzinną i jest w moim odczuciu korzeniem rodziny.

Jestem uczniem klasy I Branżowej Zawodowej. Historia związana z moimi najbliższymi, opowieści moich dziadków, taty to moje korzenie i jednocześnie moje podwaliny. Historia dziadków, rodziców mojego taty rozpoczyna się w czasie II wojny światowej. Oddaję głos mojemu tacie Jarosławowi:

– „Tata mój na imię miał Henryk zapisany rok urodzenia 1941. Kilka lat przed wybuchem wojny dziadkowie mojego taty przyjechali z centralnej Polski tutaj do Niemiec, za pracą. Pociąg pasażerski zatrzymał się na dworcu w Pyrzycach. Prawdopodobnie z nimi przyjechało kilka innych rodzin, sezonowych robotników z Polski. Ich przyjazd był zorganizowany, najprawdopodobniej organizował go jakiś rodak, który tu od lat pracował. Dziadkowie dobrze zapamiętali przedwojenne Pyrzyce. Nieraz opowiadali, jak wyglądało to miasto i jak bardzo zostało zniszczone w czasie walk pod koniec II wojny światowej. Stąd trafili do wioski Jesionowo, która wówczas nazywała się Schönow. Zamieszkali u miejscowego gospodarza, który do samego wybuchu wojny zachował ludzką twarz wobec kilku zatrudnionych robotników. Babcia Józefa, dziadek Broniek byli mocno wierzącymi katolikami. Co ciekawe do Jesionowa w 1929 r. przybyli osadnicy z Fryzji, mieszkali tam blisko Morza Północnego. W tamtych czasach dominowała na ziemi pyrzyckiej, religia protestancka, natomiast osadnicy Holendrzy z Fryzji byli katolikami. Zdecydowali się tutaj zostać, postawili jednak dwa warunki miejscowym władzom: szkoła i katolicki kościół. Ci koloniści, którzy przybyli przed robotnikami z Polski duże znaczenie przywiązywali do swoich tradycji, które skwapliwie pielęgnowali. Udało się. Wielu miejscowych zaczęło przejmować obce tradycje przybyszów z Fryzji (regionalną kuchnię, obyczaje, a nawet religię). Święto Chrystusa Króla, połączone zostało z corocznym odpustem, obchodzono je bardzo uroczystie. Raz w tygodniu przyjeżdżali do Jesionowa polscy księża, odprawiali

nabożeństwa i powracali do Pyrzyc. Tak zapamiętali dziadkowie Jesionowo z tą specyficzną, ciekawą wielokulturową atmosferą. Nadeszła jesień to była chyba ostatnia przed wybuchem wojny. Babcia Józefa, która wówczas spodziewała się dziecka, i kilka jeszcze kobiet wybierały z ziemi ziemniaki i wrzucały do drucianych koszy. Nikt nie spodziewał się przedwczesnego porodu, babcia urodziła mojego tatę w siódmym miesiącu ciąży na stercie młodych ziemniaków. Na świat przyszedł mały Henio, mój tata. Dlaczego jako rok urodzenia został zapisany rok 1941, skoro tata urodził się w 1938, nie rozumiem, to była zawsze tajemnica rodziców i tak zostało. Później, gdy kończyła się wojna, szczególnie w pamięci moich dziadków i ojca zapadł czas walk o pobliskie Pyrzyce. Miasto przerażająco zostało zniszczone i opustoszałe. Ktoś pojawił się w wiosce, mówił – «Wy tutaj zostańcie, kto jak nie Wy powinni zostać! Polska zaczyna się teraz na rzece Odrze, a Schönów będzie inaczej się nazywać, otrzyma polską nazwę». I tak się stało, wieś otrzymała nazwę: Jesionowo. Dziadkowie w 1947 albo 1948 r. opuścili wioskę i zamieszkali w pobliskim Kłodzinie. Dziadek otrzymał pracę w grupie remontowo-budowlanej w utworzonym gospodarstwie państwowym. Dorósł mój tata, pracę znalazł w gospodarstwie w Kłodzinie. Tutaj poznał swoją przyszłą żonę Krystynę, moją mamę. Ja urodziłem się w roku 1974. Wychowałem się, ukończyłem szkoły, uzyskując zawód ogólnobudowlany. Nauczyłem się pracy hydraulika i stolarza. Przyszłą swoją żonę Wioletę poznałem już jako dorosły mężczyzna. Zamieszkaliśmy małej wiosce Wilcze. Na świat przyszli nasi trzej synowie: Konrad (2004), Patryk (2006), Maciek (2008). Przyszedł dzień, kiedy zdecydowaliśmy o naszym rozstaniu. Moi synowie pozostali ze mną. Kilka lat temu poznałem moją partnerkę – Kasię. Kobietę pod każdym względem wyjątkową. Babcia Kasi na imię miała Władzia, wraz ze swoim partnerem przybyli po 1945 r. z centralnej Polski. Zamieszkali w wiosce blisko Stargardu. Partner babci Kasi podjął pracę w pobliskim lesie, został przygnieciony przez wielkie, stare drzewo. Zgnębiona kobieta przyjechała z trójką małych córek do Barlinka. Tutaj poznała mężczyznę swojego życia. Babcia Władzia urodziła w 1950 r. małą Ełę, matkę Kasi. Moja partnerka przyszła na świat w 1980 r.”

Nasz świat to przede wszystkim okolice Barlinka i wieś Wilcze, która oddalona jest od Barlinka o około 7 kilometrów, skrótami droga przez las wynosi w jedną stronę do miasta 3 kilometry. W naszej wiosce znajdują się cztery domy. W jednym z nich mieszkamy. W naszej wiosce jest cisza i spokój. Z okien naszego domu widać pola i las. Blisko naszego domu przepływa rzeka Plonia, która omija stawy hodowlane, wpływa do większego jeziora.

Latem chętnie spędzamy czas nad jeziorem bez nazwy, które znajduje się blisko wioski Żydowo.

Historia moich dziadków, miejsca związane bezpośrednio z ich życiem to kolejne kamienie, które odkrywam w poznawaniu mojej historii. Życie moje nierozłącznie związane jest z naszym rodzinnym domem w Wilcze i zdarzeniami, które dla mnie stanowią historię rodziny.



Mateusz Dopierała

Branżowa Szkoła I Stopnia

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chojnie

Moi dziadkowie nie przywiązywali znaczenia do gromadzenia pamiątek materialnych. Podobnie jak wszyscy pracownicy państwowych gospodarstw rolnych wykonywali prace fizyczne, nie dbali o swoje wykształcenie, rozwój dodatkowych umiejętności. Często pracowali z całymi rodzinami. Satysfakcję uzyskiwali z wykonywanej pracy i otrzymywanych produktów żywnościowych. Bezpłatnie zajmowali pracownicze mieszkania, które były w tamtych czasach magnesem przyciągającym ludzi do życia w danym miejscu. Jestem świadomy, że udział w konkursie jest doskonałą okazją do pozyskania cennych informacji o historii bliskich. Zdaję sobie sprawę, że wartości w naszym życiu zmieniają się pokoleniowo. Z całą pewnością hierarchia ważności dla pokoleń urodzonych w okresie przedwojennym, w czasie wojny i w latach powojennych różniła się od współczesnej. Czas przemija, jednak wiele wartości w życiu pozostaje ponadczasowymi: życie ludzkie, miłość, rodzina, wolność.

Urodziłem się w 2004 r. w Gryfinie jako trzecie dziecko moich rodziców. Po mnie przyszedli na świat trzej bracia i dwie siostry. Mama ma na imię Zosia, tata – Marek. Rodzice po ślubie zamieszkali w Mętynie Małym. Mieszkaliśmy blisko rodziców mojego taty, moich dziadków: Marii i Henryka, którzy zmarli, tak jak żyli, razem, jedno po drugim w tym samym roku. Dziadkowie przyjechali po wojnie z Kresów. Urodzili się w latach 30-tych XX w. Ich udziałem stało się wiele trudnych wydarzeń: II wojna światowa, bieda, śmierć innych ludzi widziana niejednokrotnie na własne oczy. Po wojnie babcia z dziadkiem przyjechali ze swoimi rodzicami jako dwudziestolatkowie, jak już wspomniałem, z przedwojennych Kresów. Tutaj w Mętynie poznali się, pokochali i założyli rodzinę.

Historia, która wydarzyła się po wojnie w Mętynie do dnia dzisiejszego pozostaje w naszej pamięci. Dla mnie stanowi bardzo ważną pamiątkę rodzinną, ponieważ wielokrotnie wysłuchałem jej z ust babci i dziadka.

Opowieść o zamordowanych polskich żołnierzach, którzy zostali do Mętyna skierowani do pomocy przy zagospodarowaniu obszaru oraz zapewnienia bezpieczeństwa cywilnych osób, które wokół Mętyna przebywały zapadła w pamięci również wielu innych mieszkańców Mętyna. Bezpośrednio po zakończeniu wojny na placu przykościelnym w Mętynie Małym zgrupowana została niemiecka ludność. Tutaj przebywali wraz ze swoim dobytkiem,

oczekiwali na zorganizowany konwój w kierunku Odry. Ich bezpieczeństwa pilnowało kilku żołnierzy. Nagle pojawili się sowieccy szabrownicy. Oni zawsze szli w niewielkiej odległości za przemieszczającym się sowieckim wojskiem. Szabrownicy w czasie wojny to był nieodłączny pejzaż wojsk idących w kierunku Berlina. Wypatrzyli dużą grupę na placu przykościelnym, podchodzili, szukali bardziej i mniej wartościowych rzeczy w bagażach. Polscy żołnierze przeciwstawili się samowoli szabrowników, początkowo wywiązała się szarpanina. Co się później stało? Dlaczego polscy żołnierze oddalili się od placu? W opowieściach o tym nieoczekiwanym zdarzeniu powojennym wspomniano, że jako pierwszy został zamordowany polski żołnierz na skrzyżowaniu dróg w Mętynie. Dziadkowie i miejscowi ludzie wspominali, że zabity posiadał stopień porucznika. Kolejny żołnierz został zamordowany w pobliżu Leśniczówki pod Stokami. Pozostałych czterech Polaków zastrzelili blisko drogi, która prowadzi dziś na plażę w Stokach. Pamiątką są bezimienne groby w pobliskim lesie. Znajduje się tam siedem grobów polskich żołnierzy. Do dzisiaj opiekuje się grobami jeden ze starszych mieszkańców wioski.



Wspominano także mężczyznę, którego nazwisko brzmiało Poprawa. W pierwszych latach wojny trafił tutaj jako przymusowy robotnik, skierowany do pracy w miejscowej gorzelnii. Gdy wojna się skończyła, nadal tam pracował. Na własne oczy widział morderstwo, które na poruczniku na skrzyżowaniu dróg w Mętynie dokonali szabrownicy. Po zbrodni oddalili się w kierunku lasu, gdzie zastrzelono kolejnych żołnierzy. Pan Poprawa po wojnie odwiedzał miejsce pochówku żołnierzy, często z sobą zabierał

pierwszych powojennych mieszkańców wioski. Dzięki pamięci przekazywanej z pokolenia na pokolenie przetrwała pamięć o zamordowanych w Mętnie polskich żołnierzach.

Jeszcze jedna smutna opowieść z tych czasów mówi o jednej z pierwszych rodzin, które zdecydowały się zamieszkać w wiosce – rodzinie Wasylów. Do Polski powracali z robót przymusowych z terenu Niemiec. Rodzice z dziećmi przybyli chyba najszybciej. Troje dzieci zapadło na zakaźny, śmiertelny tyfus. Głowa rodziny, ojciec ułożył dzieci na wozie i zawiózł na cmentarz w Mętnie Małym, wykopał dół w pobliżu dużego kamienia. Głaz upamiętnia śmierć dzieci. Imiona później zostały przez ojca wydrążone w kamieniu. Głaz przetrwał i stanowi pamiątkę po tych mrocznych, smutnych czasach.

Mieszkaliśmy w Mętnie przez dziesięć lat. Później przeprowadziliśmy się w pobliże lotniska w Chojnie, gdzie moja rodzina spędziła około pięciu lat. Było to małe, gminne mieszkanie, gdzie panowały złe warunki mieszkaniowe. Później Urząd Miasta w Chojnie zaproponował moim rodzicom większe mieszkanie w wiosce Bary. Początkowo zamieszkaliśmy w mieszkaniu dwupokojowym. Później mama zabiegała w Urzędzie w Chojnie, aby nasze mieszkanie powiększyć o opuszczone mieszkanie, które sąsiedowało z naszym. Bary dawniej to jedno z gospodarstw miejscowego KPGR. Na początku lat 90-tych kombinat przestał istnieć, ludzie pozostali bez pracy, również mój tata. Do tego spotkała nas straszna tragedia, gdy miałem 13 lat. Nagle moja mama podczas prac domowych upadła i już nie wstała. Tata próbował mamę ratować, ale niestety mama zmarła. Tragedia.

Mam trzy miejsca na ziemi, do których zawsze chętnie wracam: Mętno, Bary i Chojna. Te dwa pierwsze kojarzą mi się z dzieciństwem, a Chojna z moją szkołą.

Kamil Pitura

Branżowa Szkoła I Stopnia

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chojnie

Nazywam się Kamil Pitura. Urodziłem się 22 stycznia 2002 roku w Szczecinie. Chciałbym opowiedzieć o ważnych dla mnie miejscach, do których zawsze wracam. Babcia Róża urodziła się w 1949 r., mieszka z nami, a dziadek Michał, urodzony w roku 1947, zmarł w 2012 r. Mam brata bliźniaka – Przemka – który jest starszy ode mnie o całe pięć minut. Mój młodszy brat ma na imię Wojtek. Od zawsze mieszkam w Godkowie w mieszkaniu kolejowym, bo i babcia i dziadek zatrudnieni byli w PKP. W wiosce istniała stacja kolejowa na rozdrożu dwóch tras kolejowych: Wrocław–Szczecin i Stargard–Siekierki. Oprócz stacji były jeszcze: rozdzielnia, nastawnia, lokomotywnia i wagonownia, gdzie przez całe swoje życie pracowała moja babcia. Dziadek przepracował długie lata w lokomotywni i wagonowni. Właściwie przez całe życie dziadkowie związani byli z koleją. Do szkoły podstawowej wraz z bratem Przemkiem uczęszczaliśmy do Godkowa. Od najmłodszych lat jeździłem na rowerze, dzięki czemu poznałem pobliskie tereny. Chyba nikomu z moich rówieśników nie udało się tak dobrze poznać okolic Godkowa. W wieku trzech lat swobodnie jeździłem na dwukółowym rowerze. Pamiętam do dziś, że jako kilkuletni chłopak dojechałem sam do Morynia, Jelenina, Godkowa Wsi i Mirowa. Gdy zostałem uczniem ośrodka w Chojnie, rozpocząłem regularne treningi sportowe. Szczególnie upodobałem lekkoatletykę i koszykówkę. Dzięki trenerowi, który jest dla mnie bardzo ważnym człowiekiem, doświadczyłem pierwszych sukcesów sportowych. Mój trener – pan Piotr zaszczerpił we mnie pasję sportową i potrzebę systematycznej pracy. Utkwiły mi w pamięci słowa trenera, że w każdym dziecku postrzega potencjalnego sportowca oraz, że jest zwolennikiem równego startu dla każdego. Jest dla mnie autorytetem i doceniam, że spotkałem tak wspaniałego człowieka na swojej drodze życia. Regularna, ciężka praca w czasie treningów, pierwszy mój obóz sportowy w Zakopanem, kolejne obozy i pierwsze poważniejsze zawody dały mi możliwość zasmakowania sukcesów i nagród. Każda chwila aktywnej pracy jest dla mnie bardzo ważna, doceniam jak ważną osobą w moim życiu jest mój trener. Udział w biegach przelajowych w Warszawie, który miał miejsce kilka lat temu, umożliwił mi zajęcie najwyższego miejsca na podium. Otrzymałem tytuł Mistrza Polski. Kolejnym wyjątkowym dla

mnie przeżyciem były mistrzostwa Polski w Ciechanowie. Tutaj wygrałem bieg na 400 metrów. Potem Halowe Mistrzostwa Świata w Toruniu. Nasza szkolna sztafeta zajęła trzecie miejsce. Moja mama Małgorzata, podobnie jak ja od najmłodszych lat uprawiała lekkoatletykę, jazdę na rowerze, osiągając wiele sukcesów i chyba jej przykład spowodował, że bierzemy udział w wielu zawodach lekkoatletycznych. Mój tata Grzegorz wychował się w Rurce i tutaj nadal mieszkają jego rodzice. Dom rodzinny stoi w pobliżu rzeki Rurzyca, która w Ognicy wpływa do Odry. Miejsce to bardzo lubię. Czuje się dobrze w Rurce, nie ma znaczenia dla mnie, że jestem już dorosłym mężczyzną. Wielokrotnie przebywając w Rurce, przywiązywałem duże znaczenie do opowieści babci, dziadka i rodzeństwa ojca. Zapamiętałem, że do wioski przyjechali w większości przesiedleńcy z wioski Czernielów Mazowiecki i pobliskich miejscowości, z terenu przedwojennego województwa tarnopolskiego. Z opowieści wynika, że pociąg składał się z czterdziestu wagonów bydłowych. Pociąg zatrzymał się w Gryfinie, jednak z uwagi, że prawie wszyscy osadnicy pochodzili z wiosek, prawie nikt nie zdecydował się na pozostanie w mieście. Po kilku godzinach postoju pociąg odjechał w kierunku Wrocławia, zatrzymał się w pobliżu wiejskiej stacji kolejowej w Lisim Polu. Stąd niektórzy z przybyłych poszli do wioski poszukiwać domów do zamieszkania. Większość z przybyłych odjechała na wozach drewnianych, do pobliskich wiosek, wielu z nich zamieszkało w Rurce. Ta stacja kolejowa w Lisim Polu, na której 26 września 1945 r. zatrzymał się pociąg z moimi przodkami jest bardzo symbolicznym i ważnym miejscem dla mojej rodziny. Przedwojenny budynek stacji, który przetrwał, to w moim odczuciu symboliczny początek naszej rodzinnej historii na Ziemi Gryfińskiej.



*Gala rozdania nagród
Laureatom III edycji konkursu historyczno-literackiego
„Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”*

W piątek 10 czerwca 2022 r. w Sali Rycerskiej w gmachu Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie odbyła się gala rozdania nagród laureatom konkursów ogłoszonych przez Kuratorium Oświaty w Szczecinie, w tym 20 nagrodzonym w 3 edycji konkursu historyczno-literackiego pn. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.

Gale uświetniły występy: Anny Kuźniak, uczninicy XVI Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie oraz artystów z Przedszkola Publicznego nr 27 „Żagielek” w Szczecinie.

Fot. Daniel Wróbel (Kuratorium Oświaty w Szczecinie)



Od lewej: Zachodniopomorska Kurator Oświaty Magdalena Zarębska-Kulesza, autor zwycięskiej pracy Kacper Samulak, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk



Zachodniopomorska Kurator Oświaty Magdalena Zarębska-Kulesza



Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie
dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk



Występ Anny Kuźniak, uczennicy XVI Liceum Ogólnokształcącego w Szczecinie



Występy artystów z Przedszkola Publicznego nr 27 „Żągielek” w Szczecinie



**ARCHIWA
PAŃSTWOWE**
ARCHIWUM PAŃSTWOWE
W SZCZECINIE



Kuratorium Oświaty
w Szczecinie